

M A G A Z Y N

MUZEUM
PAMIĘCI
SYBIRU

SYBIR

NR 3 / GRUDZIEŃ 2019 / ISSN 2544-6096



ROK GUSTAWA HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO

SYBERYJSKI
SMAK CZEKOLADY

SKARBY
Z MONTE CASSINO

WIDZIAŁEŚ
RZECZYVISTE?

2. BIEG PAMIĘCI SYBIRU

BIAŁYSTOK, 8 LUTEGO 2020 ROKU



Szczegóły na stronie
www.sybir.bialystok.pl

Zapisy na stronie
www.bialystokbiega.pl/biegpamiecisybiru/

www.facebook.com/muzeumpamiecisybiru

SYBIR

MAGAZYN MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

Wydawca: Muzeum Pamięci Sybiru

ul. Węglowa 1, 15-121 Białystok, www.sybir.bialystok.pl

Redakcja: dr Tomasz Danilecki, Anna Kietlińska, Karolina Mosiej-Zambrano (fotoedytor), Justyna Owłasiuk, dr Piotr Popławski, Anna Pyżewska, Monika Szarejko, dr Sylwia Szarejko, Katarzyna Śliwowska, dr Marcin Zwolski (redaktor naczelny, tel.: 795 650 885, e-mail: m.zwolski@sybir.bialystok.pl)

Projekt graficzny: Est.Media, www.estmedia.pl

Druk, skład i łamanie: Orthdruk Sp. z o.o.

Zdjęcia nieopisane pochodzą ze zbiorów Muzeum Pamięci Sybiru lub z domeny publicznej.

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadestanych tekstach.

Wydawnictwo informuje, że dołożyło należytej staranności w rozumieniu art. 355 par. 2 kc w celu odnalezienia aktualnych dysponentów autorskich praw majątkowych do fotografii. Z uwagi na to, że przed oddaniem niniejszej publikacji do druku poszukiwania te nie przyniosły pełnego rezultatu, wydawnictwo zobowiązuje się do wypłacenia stosownego wynagrodzenia z tytułu ich wykorzystania aktualnym dysponentom autorskich praw majątkowych, niezwłocznie po ich zgłoszeniu się do wydawnictwa.

- 3 Kronika
 4 Marcin Zwolski, **Idea Muzeum Pamięci Sybiru – Sybir**
 6 **Wiara w wartości i według wartości**
 – rozmowa z dr Martą Herling

WSCHÓD

- 12 Krystyna Jaworska, **Klucz do Herlinga**
 16 Violetta Wejs-Milewska, „**Wolny strzelec**”
w Radiu Wolna Europa. Na marginesie
Roku Gustawa Herlinga-Grudzińskiego
 20 Wojciech Śleszyński, **Jercewo – inny**
świat
 22 Jerzy Autuchiewicz, **Ironista na Kołymie**
 28 Grzegorz Kowalski, **Zapomniana**
literatura Syberii: Rufin Piotrowski i inni
 34 ks. Adam Szot, **Syberyjski smak**
czekolady
 40 Joanna Pakuza, „**Zabieraliśmy wszystko**
to, co było w tej chwili najważniejsze...”
 46 Anna Pyżewska, **Francuz w sowieckim**
obozie
 52 Tomasz Danilecki, **Sprawy ojca**
Krzysztofa. Byliśmy w syberyjskim
Białymstoku
 59 Czy wiesz że...

STREFA PAMIĘCI

- 60 Katarzyna Śliwowska, **Historia pewnej**
walizki
 64 Tomasz Danilecki, **Listy i fotografie**
patrona Sybiraków – św. Rafała
Kalinowskiego
 66 Justyna Hanula, **Kolekcja Muzeum coraz**
większa
 68 Anna Bielawska-Puchalska, „**Ratunku,**
giniemy”. **Losy Stefana Wendorffa**
 71 Przemysław Borowik, **Słów kilka**
o próbach kolonizacji rosyjskiej na
przykładzie majątku Kłacie
 74 Anna Nowacka, **Podróż sentymalna**
 76 Roberto Molle, **Ekspozaty z pola bitwy**
 78 Co nowego... w strefie pamięci
 79 Czy wiesz że...

WYSTAWY

- 80 Jan Roguz, **Bieg Pamięci Sybiru**
 82 Paweł Kalisz, **Instalacja RzeczyViste,**
czyli o trudnej historii poprzez sztukę

- 84 Piotr Popławski, „**Gdy maki kwitły na**
zbozczach...”. **Losy żołnierzy 2. Korpusu**
Polskiego
 86 Monika Szarejko, **Cierpienie szkicowane**
ołówkiem
 88 Urszula Wolfram, **Drzewa otulone bielą**
 90 Magdalena Ziętkowska-Tuchlińska,
Twarze towarzyszy broni
 92 Co nowego... w wystawach
 93 Czy wiesz że...

EDUKACJA

- 94 Anna Kietlińska, **Z filmem, książką**
i historią...
 96 Żaneta Kisiel, **Rowerem przez historię**
Białegostoku
 98 Beata Mróz, **Miś Wojtek na żołnierskim**
szlaku
 100 Agnieszka Pietrasz, „**A do Ritza to**
chodziliśmy się bawić”
 102 Co nowego... w edukacji
 103 Czy wiesz że...

BUDUJEMY

- 104 **Zbudowaliśmy muzeum**
 106 **Budujemy wystawę**
 108 **Ludzie z lodu...** – rozmowa z Martyną
 Pająk
 110 Paweł Kalisz, **Tiepluszka już jest!**
 112 Justyna Owłasiuk, Anna Pyżewska,
O odbiorcach i granicach
 114 Sylwia Szarejko, **Muzealnicy na**
warsztatach
 117 **Dziękujemy naszym Przyjaciołom**

CZYTELNIA

- 118 Marcin Zwolski, **Życiorys na marginesie**
książki
 120 Sylwia Szarejko, **Książki z Australii**
 121 Jerzy Binkowski, **Na dziejów odłogu –**
wiersze z ziemi zapomnianych grobów
 122 **Polski Sybir w pigułce!**
 124 **Misja – popularyzacja!**
 126 **Książki, książki, książki!!!**
 128 **Polecamy**



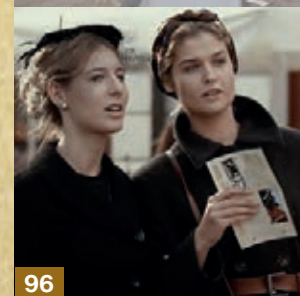
34



64



82



96



Szanowni Czytelnicy!

Gdy rok temu informowałem Państwa o rozpoczęciu ostatniego etapu budowy siedziby Muzeum Pamięci Sybiru sam się nie spodziewałem, że w bieżącym numerze będę się chwalić jego zakończeniem. A jednak! 9 grudnia 2019 roku Prezydent Miasta Białegostoku Tadeusz Truskolaski uroczystie przekazał mi klucze do wspaniałego gmachu. Wraz z całym zespołem czujemy teraz jeszcze większą odpowiedzialność za „wybudowanie” wnętrza i uruchomienie muzeum.

Niemal każdą chwilę poświęcamy pracy nad wystawą stałą, dokształcaniem personelu muzealnego, wypracowaniem nowych metod działalności, słowem – budowaniu monumentalnej i nowoczesnej instytucji muzealnej. Wierzymy, że nasze wysiłki zakończą się sukcesem. Ich poszczególne etapy przedstawiamy w dziale „Budowa” w niniejszym magazynie – zachęcamy do zapoznania się i oceny, czy wszystko idzie we właściwym kierunku.

Długo zastanawialiśmy się nad głównym tematem tegorocznego magazynu „Sybir”. Naturalnym wydawała się agresja sowiecka, której 80. rocznicę obchodziliśmy we wrześniu. Jednak „konkurencję” z sowiecką napaścią wygrał Gustaw Herling-Grudziński – klasyk nie tylko literatury łagrowej. Z okazji stulecia jego urodzin Sejm Rzeczypospolitej Polskiej ustanowił rok 2019 Rokiem

Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Niniejszym wydawnictwem oddajemy hołd temu wielkiemu literatowi.

Jesteśmy zaszczyceni faktem, że wspomnieniami o swoim ojcu podzieliła się z nami Marta Herling. Z wywiadu z nią, którego zapis publikujemy, wyłania się skomplikowany obraz niezwykle go człowieka. Córka wspomina ojca, którego nie do końca rozumiała, którego język i historię odkrywała dopiero po latach – poprzez lekturę jego dzieł. Jesteśmy jej bardzo wdzięczni za te osobiste refleksje. Postać Herlinga-Grudzińskiego i jego twórczość analizują autorzy kilku artykułów w tym numerze „Sybiru”, dochodząc nieraz do nieoczywistych wniosków. Historia łagru, do którego trafił, oraz skonfrontowanie pisarza z innymi autorami rysującymi przed nami historie z Sybiru uzupełniają jego wizerunek.

Literatura łagrowa jest niezwykła i na swój sposób piękna, ale może też być bardzo wyczerpująca emocjonalnie. Polecamy więc inne tematy poruszone w naszym magazynie. Czy chcą Państwo poczuć zapach i smak syberyjskiej czekolady? Poznać dole i niedole niezwyklego Francuza doświadczającego „dobrodziejstw” GUŁagu? A może zapoznać się z niezwykłą historią pewnej walizki? Interesuje Państwa nasza działalność wystawiennicza albo bezcenne zbiory, które wciąż pozyskujemy? Z przyjemnością oddajemy w Państwa ręce niniejszy, trzeci numer magazynu „Sybir”.

Serdecznie dziękujemy za ciepłe reakcje na poprzednie dwa numery. Archiwalne numery są dostępne online na naszej stronie internetowej. Zapraszamy do lektury i dzielenia się z nami swoimi wrażeniami. Mamy nadzieję, że będą wyłącznie pozytywne.

Dyrektor Muzeum Pamięci Sybiru

ROK 2019 W MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

7 kwietnia
PRZYJACIELE I DARCYŃCY

W tym dniu, w kościele p.w. Ducha Świętego w Białymstoku, odprawiono mszę świętą w intencji Przyjaciół i Darczyńców Muzeum Pamięci Sybiru. Chcemy, aby ta inicjatywa stała się tradycją – to wyraz wdzięczności za udzielane nam wsparcie.



24-27 maja
SUKCES NA FESTIWALU
W SOPOCIE

Aktorzy słuchowiska „Życie na zderzaku. Białostockie drogi do wolności”, zrealizowanego przez Muzeum Pamięci Sybiru we współpracy z Polskim Radiem Białystok, zostali docenieni na XIX Festiwalu Dwa Teatry w Sopocie. Dziękujemy!



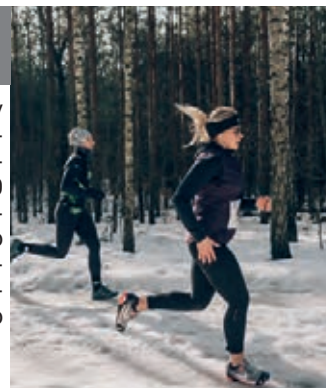
7 sierpnia
TIEPŁUSZKA ZNOWU
W BIAŁYMSTOKU!

Dwuosiowy wagon towarowy rosyjskiej konstrukcji z 1892 r., tzw. *tiepłuszka*, w zeszłym roku został przetransportowany do Malborka, gdzie przeszedł gruntowną renowację. W sierpniu wrócił do Białegostoku i trafił na przeznaczone mu miejsce – na wystawę stałą Muzeum Pamięci Sybiru.



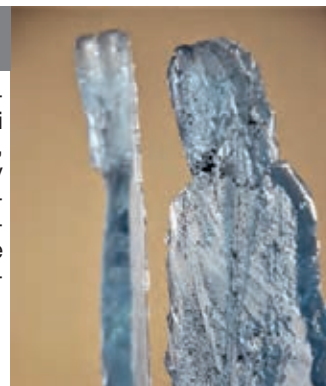
10 lutego
1. BIEG PAMIĘCI SYBIRU

W tym roku po raz pierwszy odbył się Bieg Pamięci Sybiru, upamiętniający rocznicę deportacji 10 lutego 1940 roku. Wzięło w nim udział niemal 800 osób! Wydarzenie to na stałe zagości w harmonogramie działań Muzeum Pamięci Sybiru. Zapraszamy do udziału w drugiej edycji!



21 maja
„LUDZIE Z LODU”

Poznaliśmy zwycięską koncepcję projektową instalacji artystycznej „Ludzie z lodu”, która będzie częścią wystawy stałej Muzeum Pamięci Sybiru. Pierwsze miejsce w konkursie na jej zaprojektowanie zajęła Martyna Pająk z Poznania. Gratulujemy!



19 czerwca
#BUDUJEMY

Podpisanie umowy z wykonawcą wystawy stałej to kolejny ważny etap w budowie Muzeum Pamięci Sybiru. Realizacją wystawy i dostawą wyposażenia zajmie się firma Deko-Bau sp. z o.o.



Listopad
W HOŁDZIE
MATKOM SYBIRACZKOM

Wielkimi krokami zbliża się zakończenie prac związanych z pomnikiem Matki Sybiraczki, który stanie przy budynku Muzeum Pamięci Sybiru. Upamiętniać ma siłę i ofiarność deportowanych matek. Odstonięcie pomnika odbędzie się w przyszłym roku.



IDEA MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU – SYBIR

Fot.: Karolina Mosiej-Zambrano

Ponad rok temu w Petersburgu, podczas spotkania Stowarzyszenia Rosyjskich Muzeów Pamięci rozgorzała dyskusja dotycząca tematyki podejmowanej przez Muzeum Pamięci Sybiru. Emocje wzbudził plan poświęcenia fragmentu tworzonej wystawy stałej tematowi Zbrodni Katyńskiej. Nie, wcale nie chodziło o emocje związane z oceną tego mordu – nie budzi ona żadnych wątpliwości wśród historyków i muzealników skupionych w Stowarzyszeniu. Chodziło po prostu o geografę. Bo przecież „Katyń nie leży na Syberii...”.

MUZEUM, PAMIĘĆ, SYBIR – to kluczowe słowa przyświecające twórcom idei powstania w Białymstoku nowej, wyjątkowej placówki muzealnej. W poprzednich numerach naszego magazynu wyjaśniliśmy, jak rozumiemy dwa z tych słów. Pozostało trzecie – SYBIR. Jak widać z powyższego wstępu, wcale nie najprostsze.

Etymologia słowa Sybir nie jest rozstrzygnięta. Pochodzi ono prawdopodobnie od nazwy tatarskiego grodu nad Irtyszem, leżącego niedaleko dzisiejszego Tobolska, określanego jako *Isker* lub *Sibir*. W XVI wieku był on stolicą chanatu zwanego syberyjskim. Skąd jednak wzięła się nazwa tego grodu? Jedni łączą ją z nazwą plemienia, które miało zamieszkiwać dorzecze

Irtyszu przed wiekami – *Suwar*, inni zaś z nieznanymi plemionami Hunów, nazywanych *Sabir* lub *Seber*. Są także wersje wywodzące tę nazwę z tunguskiego *sibur* albo z mongolskiego *sziber/sziwir*, oznaczających bagna, trzęsawiska, zarosła nad wodą. *Siber/cziber* w językach tatarskich oznacza z kolei po prostu coś pięknego...

W języku rosyjskim Сибирь (czyt.: *Sibir*) oznacza Syberię, czyli obszar geograficzny na północy Azji ograniczony z zachodu górami Ural, ze wschodu wodami Oceanu Spokojnego, od północy Oceanu Arktycznego, a od południa granicą państwową Rosji (niektórzy dopuszczają zaliczanie do Syberii północno-wschodnich skrawków Kazachstanu, jeszcze inni mówią o odrębności od niej rosyjskiego Dalekiego Wschodu). Upraszczając można powiedzieć, że Сибирь czyli Syberia, to azjatycka część Rosji. Podejście Rosjan do określenia Sybir jest bowiem wyłącznie geograficzne. Podobna jednoznaczność występuje w niemal wszystkich językach świata. Niemal, bo w polskim są dwa, bardzo podobne określenia: Sybir i Syberia, które – wbrew obiegowej opinii – wcale nie są synonimiczne.

W polskim rozumieniu Sybir jest pojęciem znacznie szerszym – nie geograficznym, lecz historyczno-językowym, a nawet emocjonalnym. Oznacza tereny znajdujące się pod władaniem Rosji lub Związku Sowieckiego, na które wywożono polskich zesłańców i na których poddawano ich represjom. Sybir to symbol polskiego cierpienia, bólu, śmierci i tęsknoty, ale też oporu i walki o przetrwanie. Może oczywiście oznaczać tereny geograficznej Syberii, ale nie musi. Zsyłani przez władze carskie konfederaci barscy, powstańcy kościuszkowscy, listopadowi czy styczniowi nie zawsze trafiali za Ural, a jednak w polskiej świadomości znajdowali się na Sybirze. W XX wieku aresztowani i osadzani w łagrach GUŁagu, a także deportowani całymi rodzinami na Wschód obywatele polscy często cierpieli w europejskich rejonach Związku Sowieckiego, jednak konsekwentnie są określanii Sybirakami.

Z drugiej strony – ci Polacy, którzy trafiali do środowej i północnej Azji dobrowolnie, robili tam spektakularne nieraz kariery biznesowe, wojskowe lub naukowe, przebywali na Syberii, a nie na Sybirze. Nie mówimy, że Alfons Koziel-Poklewski był jednym z najbogatszych przedsiębiorców Sybiru, tylko Syberii – chociaż zatrudniał w swoich przedsiębiorstwach polskich zesłańców, zsy-

łanych oczywiście na Sybir... Jeszcze wyraźniej widoczny jest ten rozdźwięk językowy na przykładzie słynnych polskich odkrywców Syberii – w większości zesłańców. Benedykt Dybowski, Jan Czerski czy Aleksander Czekanowski byli zesłani na Sybir, ale badali Syberię – w żadnej polskiej książce ani artykule nikt nie określił tego inaczej.

Gdyby w Polsce powstało kiedyś muzeum zajmujące się geografiami, geologią czy dziejami odkryć azjatyckich ziem Rosji, byłoby zapewne nazwane Muzeum Syberii. Nasze muzeum jest jednak placówką zajmującą się badaniem i upamiętnieniem historii, dlatego w nazwie muzeum znalazło się ostatecznie słowo Sybir. Dlatego konsekwentnie tłumaczymy wszystkim obcokrajowcom zainteresowanym naszą instytucją, że dla Polaków historia Sybiru to nie tylko losy tych, którzy przebywali pomiędzy Uralem a Oceanem Spokojnym, ale też cierpiących z powodu carskich i sowieckich represji na wschodzie Europy. Tak, Katyń nie leży na Syberii – podobnie jak Archangielsk, Ostaszów czy cały Kazachstan. Ale miejsca te są nieodłączną częścią Sybiru – ludzkiej ziemi, innego świata...

Celnie ujął to prof. Jarosław Ławski, pisząc: „Nie jest błędem nazywanie Sybirem północnej części Rosji, Kazachstanu, Uralu czy nawet Kaukazu. Toż to miejsca takich samych, okropnych doświadczeń – oddalone, obce, zimne lub upalne. Geografia nie ma tu nic do powiedzenia. Jak można (i to tak bezskutecznie) tłumaczyć ciągle ludziom, że w Republice Komi nie byli na Sybirze, a już za Uralem – byli? Dla wyobraźni społecznej są to doświadczenia tożsame. Wyrwania i wyobcowania”.

Dr Marcin Zwolski

Cytat z: J. Ławski, *Imaginarium Sybiru/Syberii* [w:] *Sybir. Wyszędlenia – losy – świadectwa*, red. J. Ławski, S. Trzeciakowska, Ł. Zabielski, Białystok 2013, s. 144.

Wiara w wartości i według wartości

– MARTA HERLING O SWOIM OJCU

Z okazji setnej rocznicy urodzin autora książki *Inny Świat: zapiski sowieckie* Sejm Rzeczypospolitej Polskiej ustanowił rok 2019 Rokiem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Sławę pisarzowi przyniósł ten właśnie utwór, należący do gatunku literatury łagrowej. *Inny Świat* na trwałe wszedł do kanonu najważniejszych dzieł literatury światowej. O klasyku polskiej literatury XX wieku, jego doświadczeniu, wyjątkowym pisarstwie oraz życiu na emigracji rozmawiamy z córką pisarza dr Martą Herling.

Gustaw Herling-Grudziński
z córką Martą, Sant'Angelo
d'Ischia, 1965 rok



Sylvia Szarejko: W tym roku obchodzimy 100. rocznicę urodzin Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Czy Pani zdaniem jego twórczość jest w Polsce rzeczywiście znana?

Marta Herling: W komunistycznej Polsce dzieła Herlinga-Grudzińskiego nie mogły być publikowane i przez to zostały skazane na „nieistnienie”. Były dostępne tylko za pośrednictwem paryskiej „Kultury”. Jego dzieła były też wydawane w serii Instytutu Literackiego w Paryżu, a następnie w Polsce w drugim obiegu. Otrzymując tytuł doktora *honoris causa* na Uniwersytecie Poznańskim w 1991 roku, głęboko wzruszony powiedział: „Przestałem być pisarzem na emigracji i zostałem pisarzem polskim mieszkającym w Neapolu”. W latach dziewięćdziesiątych, po powrocie do Polski po pięćdziesięciu latach wygnania, przyznano mu liczne wyróżnienia – wśród nich także Order Orła Białego. Spotkania z polskimi czytelnikami, publiczne debaty i konferencje z udziałem badaczy zajmujących się jego spuścizną, wywiady w prasie i telewizji, a przede wszystkim legalna wreszcie publikacja jego dzieł świadczą o silnej obecności Gustawa Herlinga-Grudzińskiego w życiu kulturalnym, obywatelskim i politycznym Polski. W latach dziewięćdziesiątych Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” w dwunastu tomach opublikowała jego *Pisma zebrane* pod redakcją Zdzisława Kudelskiego. Wydaniem krytycznym *Dzieł zebranych* pod redakcją Włodzimierza Boleckiego zajmuje się obecnie Wydawnictwo Literackie. Sądzę więc, że twórczość Gustawa Herlinga-Grudzińskiego nie tylko jest znana, ale też, że uważany jest za jednego z najważniejszych polskich pisarzy XX wieku.

Rozpiętość dzieł Herlinga-Grudzińskiego zarówno pod względem formalnym, jaki tematycznym jest wyjątkowa. Tworzył powieści, analizy, dzienniki, jak i opowiadania, w których starał się zmierzyć z wieloma fundamentalnymi pytaniami: o Boga, o cierpienie, o człowieka. Który wymiar pisarstwa Herlinga-Grudzińskiego jest Pani zdaniem najważniejszy?

Jego pisarski wszechświat obejmuje krytykę literacką od początków lat trzydziestych (jeszcze jako studenta Uniwersytetu Warszawskiego), dziennikarstwo i eseje z lat powojennych publi-

cowane w czasopismach emigracyjnych, opowieści, aż po jego *opus magnum*, czyli *Dziennik pisany nocą*. Wspólnym wątkiem jest głębokie, moralne poczucie literatury rozumianej jako etyka i świadectwo. Jego twórczość, w najgłębszym wymiarze, jest świadectwem prawdy i moralnej refleksji nad człowiekiem i otaczającym go złem. Doświadczenie przeżyte w sowieckim GUŁagu uczyniło go pisarzem i umożliwiło zrozumienie sedna dwudziestowiecznych totalitaryzmów, czemu dał wyraz w *Innym Świecie* – dziele prawdy i nadziei. Jak czytamy w *Najkrótszym przewodniku po sobie samym*: „Zawsze zachowywałem się tak, żeby mówić prawdę i służyć prawdzie. Mój *Inny Świat* powstał z potrzeby prawdy. Napiisałem prawdę, bo moi współwięźniowie mnie do tego zobowiązali. Żegnali mnie słowami: »napisz o nas prawdę«”.

Jest Pani córką Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i wnuczką wybitnego filozofa Benedetto Crocego, który był także ważną postacią dla Pani ojca. Co było wspólne w ich postrzeganiu świata, na czym polegała ta intelektualna więź?

Gdy widmo światowego konfliktu powoli i nieubłaganie ogarnęło ojczyznę mego ojca, przerywając bieg jego młodości jako studenta i polonisty na Uniwersytecie Warszawskim, pozostał on zawsze wierny filozofii Benedetto Crocego, którą wplątał w swoją twórczość. Stanowiło to źródło ciągłej inspiracji zarówno w życiu, jak i jego piarskiej podróży. W tym sensie należał do wielu młodych ludzi w Europie, dla których dialog z filozofem liberalnym był nicią, która nigdy nie została zerwana. I z tego wątku – pomimo różnic – czerpali siłę do swojego działania. Lektura *Historii Europy w XIX wieku* napisanej w 1932 roku przez Crocego, przygotowała Herlinga do drogi, którą rozpoczął wraz z wybuchem II wojny światowej oraz podwójną – niemiecką i sowiecką inwazją na Polskę. Przeszedł nią przez sowiecki GUŁag, odyseję żołnierza w Armii Andersa, po bitwę pod Monte Cassino i wygnanie, co uczyniło go świadkiem wieku totalitaryzmu. Łącząc *Historię Włoch od 1871 do 1915 r.* (historię ruchów narodowych prowadzących do niepodległości) z *Historią Europy* odkrył korzenie państw totalitarnych, które zaprzeczały „religii wolności”, której ruchy te były wyrazem. Lektura Crocego



po lewej:
Gustaw Herling-Grudziński
z dziećmi: Martą, Benedetto
i Giulio; Neapol, 1960 rok

po prawej:
Gustaw Herling-Grudziński
w gabinecie w willi Ruffo przy
via Crispi, Neapol, lata 60

w 1939 roku stanowiła dla Herlinga *wiatyk* na ścieżkę wojny, która zakończyła się dopiero gdy „przestał być pisarzem na emigracji i został polskim pisarzem mieszkającym w Neapolu”, a wraz z upadkiem komunizmu pojawiła się możliwość wydania dzieła Crocego w Polsce.

W wielu wywiadach podkreślała Pani rolę matki – Lidii Croce, córki Benedetto i żony Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. To ona w pewnym sensie „pisarza stworzyła”, jak stwierdziła dziennikarka Programu Drugiego Polskiego Radia – Małgorzata Szymańska. Czy może to Pani skomentować?

Moja matka Lidia Croce w pełni rozumiała powołanie Gustawa jako pisarza i stworzyła warunki, w których mógł się realizować, angażując się politycznie i obywatelsko przez długie dziesięciolecie swojego życia na wygnaniu. Nie była pierwszym czytelnikiem jego prac, ponieważ nie znała języka polskiego, ale czytała artykuły dla włoskiej prasy i je poprawiała. Jej wyjątkową rolę



w „stworzeniu pisarza” opisał celnie Wojciech Karpiński: „To ona wyrwała go z monachijskiej depresji, to ona dała mu rodzinę, mieszkanie w Neapolu, otaczała opieką jego pisarstwo, rozumiała potrzebę jego »polskiego ptuca«, cokwartalnych, miesięcznych wyjazdów do Maisons Laffitte, do domu »Kultury«, to ona pomagała mu przejść przez chwile, czasem długie, *umore nero* [z wł. czarny nastrój], melancholii, ona znosiła jego trudne okresy”.

Kiedy zrozumiała Pani, że jest córką wyjątkowego pisarza?

Powoli, gdy byłam nastolatką, zaczęłam kontaktować się z „Polską”, od której mój ojciec trzymał nas z daleka. Największą tajemnicą był jego język i zdałam sobie sprawę, że to był klucz do zrozumienia i poznania mojego ojca, zbliżenia się do jego pracy pisarskiej. Kiedy udało mi się zakraść do jego gabinetu, widziałam jego imię na półkach obok tytułów, których nie umiałam wtedy odczytać: *Skrzydła ołtarza*, *Drugie przyjście*, *Inny świat*

i serii „Kultura”. Patrząc na te wydania, byłam oszołomiona: miał język, w którym się wyrażał, i czułam się wykluczona z jego świata – „innego świata”. Potem chciałam jechać do Polski, ale nawet na to ojciec mi nie pozwalał. Absurdalna sytuacja. Nie przekazał nam swojego języka, ponieważ przyjął, że jesteśmy Włochami, dorastaliśmy w tym kraju, a jego ojczyzna była nam zabroniona. Odkryłam jego twórczość literacką z tłumaczeń na język włoski, przede wszystkim *Skrzydła ołtarza* (wł. *Pale d'altare*) z dwoma opowiadaniem *Wieża* (wł. *La torre*) i *Pieta dell'Isola*. Następny był *Inny Świat*, w tłumaczeniu mojej matki z wydania angielskiego z 1951 roku. Miałam 12–13 lat i byłam pod wielkim wrażeniem. Pamiętam, że czytałam to jak każdy czytelnik – abstrahując od faktu, że bohaterem książki był mój ojciec. Była to forma obrony emocjonalnej, doceniająca przede wszystkim wielką literacką jakość oraz siłę świadectwa historycznego i politycznego. Dopiero później, w innych, powtórnym lekturach książki, przyjął punkt widzenia córki, z dojrzałością, pozwalającą mi na wchłonięcie i utrzymanie ogromnej wagi bólu i cierpienia, które przeżył, i które udało mu się przetrwać. „Dla Marty. Więzień” – to dedykacja napisana przez ojca w przekazanym lata później egzemplarzu, która może streszcza bardziej niż jakiegokolwiek inne słowa to, co znaczyła dla mnie ta książka.

Czy to zmotywowało Panią do nauki języka polskiego?

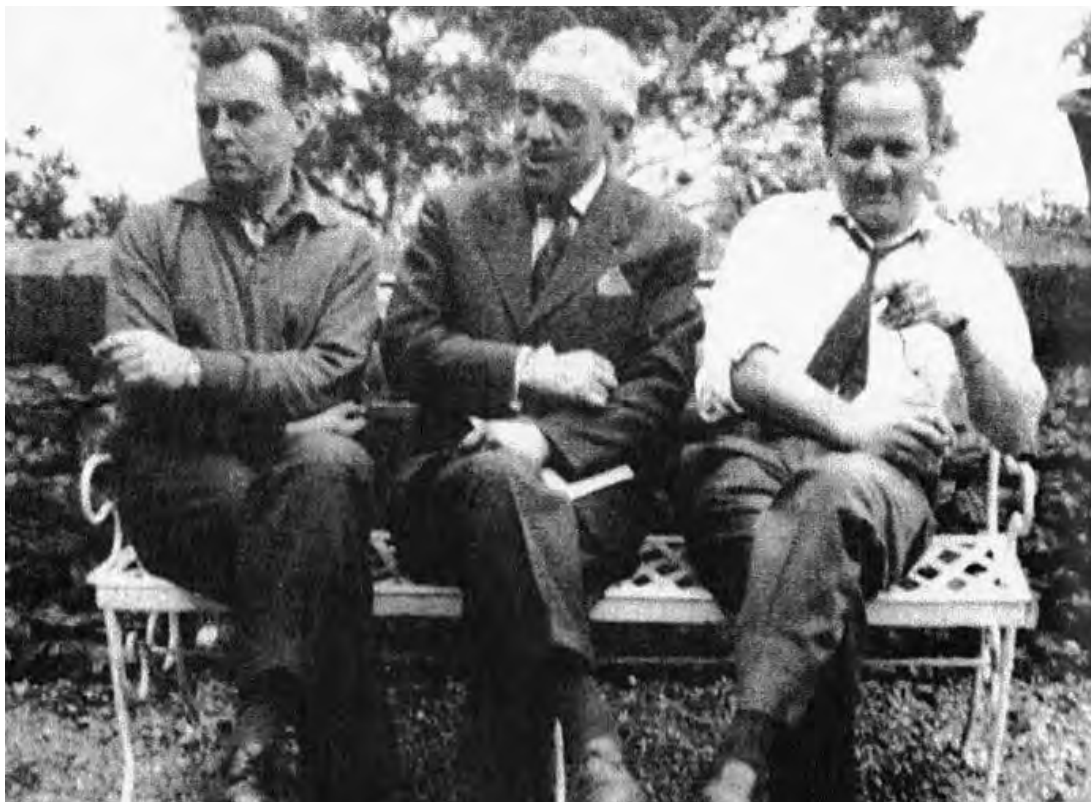
Od pierwszych lektur czułam się z niego dumna, a pragnienie nauki języka polskiego, czytania i mówienia w nim, poznania życia rodzinnego kraju ojca: krajobrazów, kultury i emocji, które mógł mi ofiarować, nasiliło się jeszcze bardziej. Jego tajemnica stawała się coraz głębsza, a on sam stawał się dla mnie mitem. Podczas studiów na uniwersytecie w Neapolu jako temat pracy magisterskiej wybrałam historiografię polską w XX wieku i postanowiłam uczyć się polskiego. Miesięczny pobyt w Warszawie w 1979 roku – gdzie mieszkłam u wujostwa Łucji i Mariana Utników – był początkiem podróży, która doprowadziła mnie do poznania języka mojego ojca i głębszej penetracji jego świata oraz jego korzeni.

Jak wyglądał Pani rodzinny dom w Neapolu przy *via Crispi 69*?

Gabinet mego ojca był pełen książek, oprawionych roczników „Kultury”, „Tempo Presente” i innych gazet. Było w nim wiele obrazów, grafik, map i fotografii na ścianach, półkach lub w pudłach. Rękopisy i listy z jego obfitej, codziennej korespondencji leżały na biurku. *Via Crispi 69* w Neapolu (na pierwszym piętrze Willi Ruffo) był jednym z mitycznych adresów polskiej literatury drugiej połowy XX wieku. Ten neapolitański adres „włoskiego korespondenta »Kultury«” przez lata figurował na ostatniej stronie miesięcznika

Gustaw
Herling-Grudziński
z żoną Lidą, Paestum,
1957 rok





Czesław Miłosz,
Aleksander Wat
i Gustaw Herling-
Grudziński, Portofino,
1959 rok

Jerzego Giedroycia, na dole listów, które ojciec pisał i na kopertach listów otrzymanych, skrupulatnie przechowywanych, zachowanych aż do chwili obecnej.

Jak się dorastało w takim domu i jak w nim pracował sam Gustaw Herling-Grudziński?

Tam odtworzył „swoją Polskę”, nasycił nią przestrzeń. Tam koncentrował się i pisał. Pracował głównie nocą. Słychać było jak chodził godzinami tam i z powrotem. Jego kroki były ciężkie, szybkie, nerwowe. Często milkły dopiero nad ranem. Ten rytm nadawał życie całemu domowi, odzwierciedlał charakter ojca i jego niepokój wewnętrzny. Pracował w odosobnieniu, zamknięty w swoim gabinecie, w sobie samym, w swoim pisarstwie.

Czy ojciec dzielił się z Panią wspomnieniami z lat spędzonych w sowieckich łagrach i walk 2. Korpusu Polskiego?

Mój ojciec nigdy nie wspominał przy nas lat spędzonych w GUŁagu i w Armii Andersa. Nie przekazał nam tej pamięci, która dotarła do nas dopiero poprzez lekturę jego prac autobiogra-

ficznych i wspomnień. Po śmierci ojca poczułam potrzebę poznania jego drogi. Zredagowałam więc i przetłumaczyłam na włoski niektóre jego pisma zawierające wątki autobiograficzne, które zostały zebrane w małej książce *Il pellegrino della libertà* (pl. *Pielgrzym wolności*) (Neapol 2006).

W 2018 roku nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie ukazał się *Dziennik 1957-1958* w opracowaniu Włodzimierza Boleckiego i Pani. Jak mogłaby Pani scharakteryzować to wydawnictwo?

Napisany dla siebie i nigdy wcześniej nie opublikowany *Dziennik 1957-1958* jest świadectwem jego pierwszych lat ponownego pobytu we Włoszech, życia rodzinnego w domu przy *Via Crispi*, gdzie osiadł z Lidią Croce, spotkań z polskimi przyjaciółmi i intelektualistami przebywającymi na emigracji oraz tymi, którzy przyjechali go odwiedzić z Polski. Ale jest to także dokument o tym, jak powstawała jego twórczość, począwszy od lektur, którymi się inspirował, poprzez dojrzewanie pierwszych opowiadań wymyślonych w tamtych latach (np. *Ciemny staw*, *Wieża* i *Książę Niezłomny*). Opisuje po-

czątek współpracy z Nicolò Chiaromonte i Ignazio Silone w „Tempo Presente”, artykuły i recenzje dla „Wiadomości” oraz teksty napisane na potrzeby audycji „Radia Wolna Europa”. W tle *Dziennika* pojawiają się ujęcia miasta Neapolu i jego okolic, życia kulturalnego, artystycznego i teatralnego. Cenne są przekazane wrażenia z pobytów we Florencji i Rzymie, podróży do Kalabrii i na Sycylię z moją mamą oraz odkrycia południowych Włoch z ich krajobrazami, artystycznymi i kulturalnymi wyrazami, światłami i cieniami.

Proszę opowiedzieć, jakie to uczucie pracować nad redakcją intymnego dziennika, tajnego świadectwa ojca z trudnego wówczas okresu pobytu we Włoszech?

Dziennik 1957–1958 znaleźliśmy z mamą i Wojciechem Karpińskim wśród rękopisów, które ojciec trzymał w swojej pracowni. To było niesamowite uczucie znaleźć te stare pamiętniki z pierwszych lat jego życia na wygnaniu w Neapolu. To było ważne świadectwo, dlatego podjęliśmy decyzję o opublikowaniu go. Praca nad redakcją tekstu wraz z Włodzimierzem Boleckim miała dla mnie wielkie osobiste i ludzkie znaczenie – sprawiła, że odkryłam nieznane mi aspekty życia i osobowości mojego ojca, poczułam się odpowiedzialna za ujawnienie tych planów życia i pracy, które pozostawił nam jako świadectwo i pamięć.

Jaki był odbiór pisarstwa Gustawa Herlinga-Grudzińskiego we Włoszech w latach 50. XX wieku, a jaki jest dziś?

Publikacja *Innego Świata* we Włoszech w latach 50. była silnie ostracyzowana przez środowiska polityczne i intelektualne, zdominowane przez kontrolę i naciski ideologiczne partii komunistycznej. Były wyjątki w opiniach takich osób jak Cristina Campo czy Paolo Milano, Leo Valiani, a przede wszystkim w relacjach magazynu „Tempo Presente” Nicolò Chiaromontiego i Ignazio Silonego, z którymi ojciec bardzo blisko współpracował. Dzięki nim został wtedy odkryty jako pisarz *Innego Świata* i opowiadań *Skrzydła ołtarza*. Dalszy przełom nastąpił w latach 90. dzięki tłumaczeniom i edycji jego pism pod redakcją Francesco Cataluccio z wydawnictwa „Feltrinelli”. Obecnie wybrane prace Herlinga zostały opublikowane w prestiżowej serii wydawnictwa Mondadori „I Meridiani” pod tytułem: *Etyka i li-*

teratura. Świadectwa, Pamiętnik, Opowiadania (pod redakcją Krystyny Jaworskiej, ze wstępem Włodzimierza Boleckiego).

O czym powinniśmy pamiętać i jaką naukę z jego dzieł wyciągnąć na przyszłość?

On sam scharakteryzował siebie i swoją twórczość słowami, które kończą *Najkrótszy przewodnik po sobie samym* (2000) i które, w pewnym sensie, powinny stanowić przesłanie dla nas wszystkich: „Wiara w wartości trwalsze niż doraźne sytuacje i układy polityczne, wiara w idee i sens naszego życia dla innych, wiara w wartości i według wartości – była i jest moją wiarą przez całe życie. Być może są dziś na ten temat inne opinie, ale ja – patrząc wstecz na mijający wiek, którego mam już dosyć za to, co w nim uczyniono z człowiekiem – pozostanę przy swoim”.



Fotografie pochodzą z: G. Herling-Grudziński, *Dziennik 1957-1958*, Kraków 2018; oryginały w zbiorach Archiwum Gustawa Herlinga-Grudzińskiego w Neapolu. Fotografie zostały użyte za uprzejmą zgodą dr Marty Herling.

Klucz do Herlinga

Przez wiele, zbyt wiele lat, Gustaw Herling, czy też Herling-Grudziński, jeden z najważniejszych polskich pisarzy XX wieku, pozostawał we Włoszech prawie nieznan. Było tak pomimo faktu, że spędził tam większość lat swojego życia i poświęcił temu państwu dużą część swojej twórczości. Sympatyzujący z komunizmem włoscy intelektualiści nie byli gotowi na rzetelne teksty opisujące sowiecką rzeczywistość – burzące fałszywe mity i zaprzeczające propagandzie partii komunistycznej. Ich autorzy byli uznawani za reakcyjnych, tylko dlatego, że uporczywie dawali świadectwo tego, co przeżyli i czego doświadczyli. Herling był jednym z nich.

Urodzony w 1919 roku Gustaw Herling w momencie wybuchu II wojny światowej był studentem Uniwersytetu Warszawskiego. W 1940 roku znalazł się wśród tysięcy Polaków uwięzionych w sowieckich łagrach. Zwolniony na mocy amnestii dopiero w 1942 roku zgłosił się na ochotnika do polskiej armii pod dowództwem gen. Władysława Andersa i wkrótce potem wraz z nią opuścił Związek Sowiecki. Po okresie szkolenia na Bliskim Wschodzie część armii została wysłana na front włoski. W 1944 roku Herling wziął udział w bitwie pod Monte Cassino, gdzie wyróżnił się odwagą, za co otrzymał najwyższe polskie odznaczenie wojskowe – Order Virtuti Militari. Po wojnie, podobnie jak zdecydowana większość jego towarzyszy broni, nie wrócił do okupowanej przez Sowieców Polski.

Zdemobilizowany w Wielkiej Brytanii opublikował w 1951 roku w Londynie w języku angielskim *Inny Świat* – dzieło, które uczyniło go znanym na całym świecie, uważane przez noblistę i wybitnego filozofa Bertranda Russella za najważniejszą książkę o GUŁagu. Rozwijał w niej własne bolesne przeżycia zachowując jednak rolę świadka, a nie bohatera. W poszczególnych rozdziałach koncentrował się na różnych aspektach rzeczywistości łagrowej, którą opisał w sposób bezemocjonalny i kontrolowany. Opiswane wydarzenia i zachowania ludzi zmuszonych do przetrwania nieludzkich warunków, zarówno wówczas jak i obecnie przybliżają czytelnika do tego niezwykłego świata – świata ludzkiej hańby.

Opisanie zbrodni sowieckich i opublikowanie tekstu definitywnie zamknęło przed Herlingiem możliwość powrotu do ojczyzny. Publikował nadal w czasopiśmie emigracyjnych – najpierw w „Wiadomościach” w Londynie, a następnie przede wszystkim w wydawanej w Paryżu „Kulturze”, będącej najbardziej prestiżowym miesięcznikiem polskiej emigracji, której Herling był współzałożycielem w 1947 roku i której pozostawał bliskim współpracownikiem. W 1951 roku przeprowadził się do Monachium, gdzie pracował dla Radia Wolna Europa. Do Włoch wrócił w 1955 roku, osiadając w Neapolu wraz ze swoją drugą żoną Lidią Croce, którą poznał w 1944 roku.

We Włoszech Herling żył na „podwójnym zesłaniu” – odrzucony w ojczyźnie, gdzie wszystkie jego dzieła znajdowały się na indeksie, gdzie nie wolno było wspominać nawet jego imienia, a także odizolowany w kraju, w którym mieszkał. Pomimo bogatych kontaktów towarzyskich pisarz czuł się odsunięty na bok z powodu ostracyzmu ze strony włoskich elit intelektualnych, zdominowanych przez lewicę. Współpracował z tymi, którzy dzielili jego stanowisko, przede wszystkim z Ignazio Silone i Nicolą Chiaromonte, którzy zaprosili go do współpracy i pisania dla „Tempo presente”. Od 1969 roku pisał też dla „Corriere della sera”, kiedy gazeta była prowadzona przez Giovanniego Spadolinię, a w latach 1974–1982 dla „Giornale” Indro Montanelliego. Wreszcie w dzienniku „La Stampa” publikował teksty poświęcone przede wszystkim literaturze rosyjskiej i radzieckiej, w szczególności autorom – opozycjonistom.

Uproszczeniem byłoby traktowanie Herlinga jedynie jako świadka historii. Poza tym, że był krytykiem literackim i uważnym obserwatorem

swoich czasów, był przede wszystkim pisarzem. *Inny Świat* jest dziełem zaliczanym do literatury wybitnej, które nie traci na aktualności, ponieważ przedmiot, którym się zajmuje, wykracza poza granice opowiadanych faktów. Autor pokazał głębię zła wytworzoną przez system totalitarny, ale jednocześnie podkreślił ciemne strony ludzkiej duszy. To nie przypadek, że w tej podróży do granic człowieczeństwa, lekturami stanowiącymi dla niego punkt odniesienia były: *Wspomnienia z domu umarłych* Fiodora Dostojewskiego i *Dziennik roku zarazy* Daniela Defoe.

Doświadczenie GUŁagu, podobnie jak niemieckich obozów koncentracyjnych, nieuchronnie oznacza dla tych, którzy to przeżyli, dochodzenie do istoty zła. Herling zmierzył się z tym w *Innym Świecie*, ale wątek ten był obecny w jego twórczości także później. Dostrzegamy go w opowiadaniach, w szczególności w mistrzowskiej *Wieży* (1958), w której pisarz inspirował się *Trędowatym z miasta Aosta* (fr. *Le lépreux de la Cité d'Aoste*) Xaviera de Maistre. Poszczególne fragmenty *Wieży* nawiązują do elementów dzieła de Maistre, niczym niewidzialne zwierciadła, które odzwierciedlają samotność cierpiących. Stopniowo zamknięta przestrzeń tytułowej wieży otwiera się na coraz szersze horyzonty, wykraczając ostatecznie poza wszelkie granice.

Neapol,
fot.: Giorgio Sommer



Od 1971 roku Herling publikował w „Kulturze” regularnie swój *Dziennik pisany nocą*, w którym komentował wydarzenia z życia intelektualnego, kulturalnego i politycznego, ale także po prostu aktualne wiadomości. Były to wpisy nieosobiste, fragmenty, w których każde słowo było wynikiem starannej refleksji. Wśród stron *Dziennika* z upływem lat pojawiały się coraz częściej opowiadania, w których widoczna była wielka erudycja autora, jego wiedza o sztuce, kulturze i historii Włoch.

Dziennik pisany nocą nabierał stopniowo unikalnego stylu nadanego mu przez autora, wykraczającego poza granice gatunków literackich i łączącego eseje, krytykę literacką i narrację. Przechodząc niemal niezauważalnie od opisu faktów do fikcji, demonstrował jak cienka jest linia, która je rozdziela. W rzeczywistości jest to jedna z osobliwości, która sprawia, że czytanie prac Herlinga jest fascynujące i przekonujące. Prowadzi on subtelną grę z czytelnikiem, łącząc elementy rzeczywiste z wyobraźnią literacką, a także wybierając pisanie w pierwszej osobie, jako narratora, świadka, reportera, co zwiększa iluzję prawdziwości narracji. To *alter ego* autora – osobliwy podróżnik i badacz, a także detektyw, często przeprowadzający szczegółowe badania mające na celu zrozumienie tajemniczych wydarzeń związanych z odwiedzanymi miejscami. Zebrane wskazówki pozwalają mu ustalić sedno, rozwiązać wątpliwości i pytania, zidentyfikować motywy i cele, osiągnąć jednoznaczne interpretacje. Świadome konstruowanie narracji bogatej w odniesienia kulturowe, literackie i artystyczne sprawia, że tajemnica, która nas otacza, staje się bardziej napięta, a jej obecność wydaje się wręcz namacalna.

Opowiadania Herlinga zostały zakwalifikowane przez krytyków jako metafizyczne, ponieważ poprzez badanie różnych poziomów rzeczywistości i fikcji literackiej, próbują przeniknąć i uchwycić ostateczne, ukryte przyczyny, które wymykają się rozumowi.

Będąc miłośnikiem Franza Kafki i jego polemicznych przypowieści, podkreślał ludzką kondycję, charakteryzującą się ciągłą wędrówką, nie będąc w stanie zrozumieć jej ostatecznego celu. Zaczynając od prawdziwych sytuacji, rysował jej niezbędne elementy, a następnie je opracowywał, aby pokazać ich nieczytelność. Wierny swoim badaniom nie troszczył się o modę literacką, a w swojej pracy badał różne oblicza ciemnych stron egzystencji. Podobnie jak Joseph Conrad próbował opisać „jądro ciemności”, świadom, że można zbliżyć się tylko do linii cienia.

Herling był przekonany, że w obliczu zła człowiek powinien reagować etycznie, w duchu wierności wartościom uważanym za fundamentalne. Taki właśnie był jego świat – radość z piękna tworenia zderza się w nim ze świadomością przemocy i uprzedzeń, które wywołują oburzenie, ale także bunt przeciwko cynizmowi. Wyjątkowe jest to, że w opowiadaniach, podobnie jak w publicystyce politycznej i krytyce literackiej, Herling był stanowczy i ostry w swoich osądach, być może także w celu sprowokowania czytelnika zaprzeczając i obalając stereotypowe i konwencjonal-

Ignazio Silone,
1978 rok



ne wizje. W jego narracji królowały wątpliwości, tworzył i opisywał wydarzenia często powiązane ze zdarzeniami traumatycznymi, tragediami i katakliizmami, pozostawiając czytelnikowi zadanie szukania klucza do ich odczytania.

Przez lata poddany ostracyzmowi z powodów politycznych Herling został „odkryty” dopiero po upadku systemu sowieckiego. Po 1989 roku jego prace mogły wreszcie zostać opublikowane w Polsce. Wznowione były też we Włoszech, a poprzednio uważany za wyjątkowo antykomunistycznego pisarza, został opublikowany przez lewicowe wydawnictwo Feltrinelli dzięki Francesco Cataluccio. Po zainteresowaniu wywołanym niedawnym przedrukiem *Innego Świata* wydawnictwo Mondadori postanowiło poświęcić polskiemu pisarzowi z okazji setnej rocznicy urodzin tom prestiżowej serii „Meridiani”, który zawiera oprócz *Innego Świata* wybór fragmentów z *Dziennika pisanego nocą*, a także niepublikowane dotąd we Włoszech opowiadania. Lektura tych dzieł pozwala zbliżyć się do tego wielkiego klasyka XX wieku, skonfrontować się z jego duchem krytycznym i docenić piękno i urok jego pism, nawet gdy on sam mierzy się z tematami dramatycznymi.

Z bogactwa i głębi jego refleksji wyływa wartość ponadczasowa, a jego prace są nie tylko świadectwami tragicznych czasów, ale także wyrazem odwagi niezbędnej do stawienia czoła życiu – bez zwalniania od zadawania sobie pytań o zasadnicze problemy i bez szukania łatwych złudzeń lub cukierkowych wizji otaczającego nas świata.

Prof. Krystyna Jaworska
Uniwersytet w Turynie, Włochy
(tłum. Sylwia Szarejko)



Ignazio Silone, Giuseppe Saragat i Nicola Chiaromonte



Głaz z tablicą poświęconą Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu, Jercewo

„Wolny strzelec” w Radiu Wolna Europa Na marginesie Roku Gustawa Herlinga-Grudzińskiego

„Nie będąc nigdy publicystą, ocierałem się niekiedy o publicystykę” – pisał Gustaw Herling-Grudziński we wstępie do *Wyjść z milczenia*. Twierdzenie to nie wydaje się do obronienia w świetle ogromu spuścizny publicystyczno-komentatorskiej, jaką po sobie pozostawił. Herling nie tylko był „zwierzęciem politycznym” w szerokim tego słowa znaczeniu, ale i komentatorem, felietonistą, krytykiem dzielącym na co dzień warsztat publicystyczny z pisarskim i eseistycznym.

W warunkach emigracyjnych twórca o takich kompetencjach był niezwykle użyteczny: swoimi tekstami zasiliał prasę polską za granicą, zaryzykował także pracę w medium tak wyrazistym politycznie, jak polska sekcja Radia Wolna Europa w Monachium. Etatową pracę Herlinga w monachijskiej sekcji (polska sekcja rozpoczęła działalność 3 maja 1952 roku), obejmują tylko trzy lata (1952–1955), jednak współpracował z nią nieprzerwanie jako wolny strzelec do 1968 roku, a po odejściu z rozgłośni Jana Nowaka-Jeziorańskiego wznowił ją na początku lat 80. i kontynuował do końca istnienia stacji (1994). Kilkuletnią przerwę we współpracy wywołał bowiem konflikt pisarza z Janem Nowakiem-Jeziorańskim.

„Mógłbym być Panu pomocny...”

Przez cały ten okres aktywności Herling dał się przede wszystkim poznać jako recenzent polskiej literatury krajowej i emigracyjnej oraz literatury rosyjskiej (i radzieckiej, zwłaszcza dysydenckiej), uczestniczył w cyklu adycji „okrągłego stołu”, poświęconym problematyce krajowej, środowisku intelektualnemu w Polsce, recenzował propozycje wydawnicze napływające z kraju i ogłaszane na emigracji w ramach najlepszej książki roku, pojawiał się również jako autor *Innego Świata* udzielający wywiadów – kilkanaście szczęśliwie zachowało się w zasobach archiwalnych. Pełnego obrazu pracy Herlinga dopełnia



także dwuletni najwcześniejszy epizod z nowojorską sekcją RWE (lata 1950–1952), niestety z tego okresu nie zachowały się jego felietony.

Pracę w RWE otrzymał pisarz po autoprezentacji listownej. 22 lipca 1952 roku pisał z Londynu do Nowaka: „Mógłbym być Panu pomocny w paru działach. Jeśli chodzi o sprawy krajowe, mógłbym opracowywać pogadanki naświetlające przejawy sowytyzacji i krępowania życia kulturalnego w Kraju. Musiałbym jednak otrzymywać stale prasę krajową, bo parę tygodni temu przestałem prowadzić przegląd czasopism w »Wiedomościach« i straciłem w ten sposób jedyne źródło dostawy. Pogadanki o nowych książkach, poruszających w ten czy inny sposób zagadnienia Rosji i komunizmu. [...] Oczywiście pogadanki o książkach zagranicznych nadawane do kraju muszą przede wszystkim dawać pojęcie o treści, a dopiero potem mogą przynosić trochę uwag krytycznych – i tej zasady trzymałem się zawsze, kiedy je pisałem dla rozgłośni nowojorskiej. Książki mógłbym tu kupować sam i po wykorzystaniu przesyłać je wraz z rachunkiem do Monachium (do biblioteki radia). Popularne pogadanki literackie o twórczości zagranicznej. [...] Niezależnie od tego wszystkiego mógłbym również napisać, jeśli by Pan sobie tego życzył, jedną lub więcej pogadańek o mojej podróży do Burmy, gdzie na zaproszenie Congres pour la Liberte de la Culture i dziennika burmeńskiego »Bama Khit« miałem szereg odczytów o Rosji i komunizmie”.

Jako reporter

I rzeczywiście ów list stworzył zasadnicze zręby merytoryczne wieloletniej współpracy Herlinga z radiem, autorskim pomysłem był też funkcjonujący przez lata w rozgłośni cykl „List do komunisty”, o którym Nowak-Jeziorański w *Wojnie w eterze* napisał, że: „[...] sugerował ostrożnie, że rządzący stanowią mniejszość otoczoną wrogim żywiołem. Ich jedynym oparciem są ludzie zastraszeni i elementy oportunistyczne, które w momencie próby jak piasek usuną się im spod nóg. Zakładaliśmy, że w głębi duszy komunistyczny aparat drażnić musi sowiecka kontrola, obecność i mieszanie się w ich sprawy sowieckich doradców. »Listy do komunisty« utrzymane były w tonie niemal osobistym, skierowane do nie wymienionego z nazwiska adresata, ale ich celem było szerzenie fermentu w kręgach grupy rządzącej. [...] postugiwał się szeroko wypowie-

dziami byłych komunistów w rodzaju Koestlera, Silone czy Weissberga-Cybulskiego. Przypominał tragiczną historię Komunistycznej Partii Polski, krwawe czystki i jej likwidację, cytował obficie antystalinowskie wypowiedzi komunistów jugosłowiańskich. Najbardziej rewelacyjne w tej serii były relacje Wandy Pampuch-Brońskiej, przedwojennej działaczki KPP. Mąż jej został zamordowany w czasie wielkiej czystki, ona sama sporo lat przesiedziała w więzieniu i w łagrach. Ciekawe były także wspomnienia Ireny Born-Szymowicz, byłej komunistki, czynnej w czasie wojny w Związku Patriotów Polskich w Moskwie”.

Był to zatem cykl poświęcony zagadnieniom politycznym, społecznym, ekonomicznym samej Rosji i krajów bloku wschodniego, a Herling-Grudziński dla tak pomyślanego programu zmuszony był do pracy *stricto* dziennikarskiej i reporterskiej – wyjeżdżał za granicę (m.in. do Jugosławii), przeprowadzał wywiady, redagował zebrany materiał, analizował prasę, korzystał z nastuchu radia warszawskiego i moskiewskie-

Neapol,
pl. Św. Kajetana,
lata 60.



go, rozwijał osobiste kontakty z dysydentami z krajów bloku wschodniego. Wszystkie te zabiegi (do końca października 1955 roku) służyły jako materiał ogłaszany w cotygodniowej dziesięciminutowej „Kulturze w niewoli”.

Z Neapolu

Także po opuszczeniu Monachium, w okresie neapolskim, pisał recenzje i felietony do „Komentarza kulturalnego”, zmieniając jedynie nieco swój warsztat pracy i uzależniając problematykę od możliwości dostępu do materiałów. Raz na dwa tygodnie wyruszał z Neapolu do rzymskiego studia RWE, nagrywał materiał, następnie nagranie oraz skrypt audycji przysyłał do Monachium. Zdarzało się, że wysyłał również sam skrypt radiowy bez uprzedniego nagrania, wówczas tekst odczytywał profesjonalny lektor.

Neapolitańskie felietony i komentarze, także analizy zamieszczane były w „Oknie na Zachód”, „Reflektorze”, „Odwrótej stronie medalu”, w „Programie specjalnym”, w „Nowościach kulturalnych” i „Na czerwonym indeksie”. Szczególnie ta ostatnia audycja oraz „Dodatek literacki” dawały szansę krajowemu słuchaczowi poznania emigracyjnego dorobku Herlinga jako pisarza. Czytano tam w odcinkach *Inny Świat, Drugie przyjsście, Piętno, Wieżę*; sylwetkę pisarza prezentowano w cyklu „Wszelchnicy radiowej”, natomiast wywiady z nim pojawiały się w cyklicznej audycji „Polscy twórcy na emigracji”. RWE systematycznie nagłaśniało bieżącą publicystykę



Ignazio Silone,
1970 rok

Herlinga ogłaszaną na łamach paryskiej „Kultury”, bowiem powrót twórcy do Neapolu odbudował i zacieśnił jego relacje zawodowe i osobiste z Jerzym Giedroyciem. Jako krytyk literacki pojawiał się na antenie, uczestniczył w pracach jury „Książki roku”, w wieloletnim projekcie „Książki polskie wydawane w kraju i na emigracji”, w dyskusjach okrągłego stołu.

Niefatwa współpraca

Systematyczna aktywność komentatorska w ramach RWE od końca lat 50. poczęta stanowić jednak problem. Chodziło nie tylko o niefatwą do pogodzenia aktywność pisarza w „Kulturze” Jerzego Giedroycia z jednoczesnym, systematycznym przygotowaniem komentarzy radiowych. List z 19 kwietnia 1958 roku, którego adresatem był Nowak-Jeziorański, oświetla w pewnym stopniu tę interesującą kwestię i zarazem wprowadza nowy, istotny wątek: „Już od jakichś trzech miesięcy zauważyłem” – zwierza się Herling – „że coraz trudniej mi idzie pisanie komentarzy kulturalnych. Początkowo przypisywałem to zmęczeniu lub złemu stanowi nerwów, ale widzę, że przyczyna tkwi znacznie głębiej. Po prostu po sześciu latach nieprzerwanego pisania co tydzień tych komentarzy, mam już niewiele do powiedzenia, krajowe nowości literackie wydają mi się (pewnie niesłusznie) z każdym dniem bardziej jałowe i nudne, i spędzam niekiedy po parę dni, by wydusić z wyschniętego mózgu parę kropelek jakiejś nowej myśli na dziesięć minut. Postanowiłem więc być uczciwym z Tobą, a przede wszystkim z samym sobą: musimy to przerwać, bo dalej nie pociągnę. [...] domyślasz się pewnie, że stały dochód z RFE [Radio Free Europe] był główną podstawą mojego budżetu i nie wiem jeszcze jak tę dziurę załatam. Ale wszystkie moje autoperswazje rozbijają się, jak o mur, o jeden niezbity fakt: od pewnego czasu męczę się nad każdą pogadanką, jakbym rodził co najmniej górę i nie jestem w stanie tego dłużej wytrzymać”.

Mimo próśb Nowaka-Jeziorańskiego, Herling nie powrócił do formuły cotygodniowej audycji. W jednym z dalszych listów stwierdził wprost: „Powrót do dawnej praktyki nadawania części moich recenzji jest o tyle c h w i l o w o nieaktualny, że sytuacja literacka w kraju wydaje mi się ciągle dość katastrofalna i na dobrą sprawę nie bardzo jest o czym pisać”.

Jesienią 1963 roku między Herlingiem i Nowakiem-Jeziorańskim zaiskrzyło na tle nowopowstałego pisma „Na antenie”. Niezadowolony z pominięcia go jako autora i z odbierania mu ewentualnego prawa do wyboru własnych audycji Herling skłonny był nawet do przerwania współpracy. Argument, że jako literat inaczej pisze do druku, a inaczej do radia ostatecznie przekonał Nowaka-Jeziorańskiego i kolejne komentarze (poza kilkoma pierwszymi rozpoczynającymi ów spór) publikowane były za obopólną zgodą. Przy okazji jednak tego nieporozumienia mamy dziś okazję poznać wyraźne stanowisko Herlinga w kwestii jego współpracy z RWE. W liście z 1 listopada 1963 roku pisał do Nowaka-Jeziorańskiego: „Napisałem wyraźnie, że przywiązuję dużą wagę do mojej współpracy z RFE i jestem gotów kontynuować ją do końca naszych dni. Dodałem nawet, o ile pamiętam, że ta współpraca daje mi wiele satysfakcji, bo docierają do mnie często dowody jej użyteczności. [...] Z punktu widzenia moich ambicji i aspiracji pisarskich radio nie było mi nigdy potrzebne, bo jest ono (zwłaszcza w tej postaci) przede wszystkim instrumentem w rękach polityków, publicystów, dziennikarzy. Ceniąc te formy działalności, nie należę do żadnej z nich sensu stricto. Ale problem polegał od początku nie na tym czy radio jest mi potrzebne; problem polegał od początku na tym czy ja jestem potrzebny radiu. Byłem zdania, że tak i dlatego (poza wspólnymi nam wszystkim względami materialnymi) przyjechałem do Monachium, gdzie spędziłem trzy lata, jakkolwiek ten rodzaj pracy biurowo-dziennikarskiej nie budził we mnie szczególnego zachwytu. Jestem dalej zdania, że tak i dlatego od ośmiu lat wysyłam regularnie z Neapolu pogadanki do Monachium, jakkolwiek ich pisanie (ze względu na przyrodzone właściwości mojego pióra) nie przychodzi mi z nadmierną łatwością. Był to więc (i jest) dla mnie pewien kompromis z samym sobą w imię, mówiąc górnio, obowiązków doraźnej służby, ciążących na każdym pisarzu emigracyjnym”.

Częstotliwość pisania felietonów dla RWE w latach 60. zmniejszyła się do jednego tekstu w miesiącu; o kolejną przerwę poprosił Herling w 1968 roku (towarzyszyła jej różnica poglądów co do tego, jaką polityczną rolę ma odgrywać radio w sytuacjach przesilenia, takich jak: marzec '68, Czechosłowacja, wcześniej – 1956 w Polsce i na Węgrzech) i od tego momentu definitywnie



Jan Nowak-Jeziorański,
Radio Wolna Europa,
1952 rok

odstąpił od pisania komentarzy kulturalnych. Nie znaczy to jednak, że nie pojawiał się na antenie w charakterze dyskutanta okrągłostołowego, że jego praca pisarska i publicystyczna z tam „Kultury” nie gościła na antenie. Nie był już jednak stałym komentatorem kulturalno-politycznym, zrezygnował ze śledzenia nastrojów panujących w kraju, z badania politycznych skutków radiowej misji. Rok 1968 stał się zatem pod tym względem przełomowy.

Dr hab. Violetta Wejs-Milewska,
prof. Uniwersytetu w Białymstoku

Artykuł powstał na podstawie materiałów z Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego – Ossolineum, a także: J. Nowak-Jeziorański, *Wojna w eterze 1948-1956*, Londyn 1986; K.W. Tatarowski, *Literatura i pisarze w programie rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa*, Kraków 2005; V. Wejs-Milewska, *Radio Wolna Europa na emigracyjnych szlakach pisarzy. Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski, Roman Palester, Czesław Straszewicz, Tymon Terlecki*, Kraków 2007.



JERCEWO – inny świat

Po ślicznie wyglądającym, zwłaszcza w okresie „białych nocy” Petersburgu i po prowincjonalnej, acz zabytkowej Wołogdzie, zatopiona głęboko w bezkresnym lesie osada Jercewo jest rzeczywiście na końcu świata. Pozostaje „Innym światem”.

Po dwóch dniach jazdy na północny-wschód od Petersburga, najpierw wygodną autostradą, później fatalną szutrową drogą, trafiamy do osady Jercewo. Tej samej, do której w 1940 roku trafił Gustaw Herling-Grudziński. *Inny świat* przeraża także obecnie. Wzdłuż regularnie wyznaczonych dróg, dzisiaj już częściowo wyasfaltowanych lub wyłożonych niechlujnie rzuconymi płytami betonowymi, wznoszą się piętrowe drewniane baraki z czasów „światłości” obozu. Bijącej z nich szarości nie mogą rozświetlić nawet licznie zawieszane talerze do odbioru telewizji satelitarnej. Wszechobecna beznadzieja osady, której światłość przeminęła wraz z końcem rozwoju systemu łagrowego, miesza się z historią cierpienia tysięcy ciągle jeszcze beziemiennych ofiar.

Były drewniane, są murowane

Przeszłości osady, związanej z budową GUŁagu, nikt z miejscowych nie stara się ukryć. Trudno nie ulec wrażeniu, że stanowi nawet powód do częściowej dumy. W końcu dzięki temu powstała. Uzewnętrzniona została w herbie miejscowości, gdzie na wizerunku tarczy i miecza, nawiązujących wyraźnie do symboliki NKWD/KGB, umieszczono tory, tajgę i wschodzące słońce. W tym ujęciu daje ono nie tyle perspektywę odmiany losu coraz mniejszej grupy mieszkańców Jercewa, co jest raczej wspomnieniem złudnej nadziei na wolność roztaczanej przed dawnymi zesańcami. Podobnie jak nadzieją na współczesne przetrwanie osady jest ciągle funkcjonująca w sąsiedztwie karna kolonia, pozostałość po dawnym, wielkim kompleksie obozowym.

Drewniana zabudowa baraków zastąpiona została murowanymi budynkami, a więźniów na wyrąb lasu nie goni się już pieszo, jak w czasach Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, tylko wozi kamazami. Ostatni funkcjonujący w okolicy duży „zakład pracy” ciągle stwarza nadzieję na egzystencję Jercewa. Jest wspomnieniem minionej rzeczywistości, w której mieszkańcy (funkcjonariusze NKWD/KGB) właśnie takich, oddalonych osad byli w propagandzie prawdziwymi budowniczymi chwały Związku Sowieckiego. Dzisiaj nic już nie pozostało po wszechwładnym państwie komunistycznym, za wyjątkiem wspomnień i pobrząkujących w szufladach, nikomu już nie potrzebnych orderów pracowników byłego łagru Jercewo.

W trybach historii

Obóz w Jercewie założony został w 1937 roku – w czasie tzw. wielkiego terroru i szybkiego rozwoju sieci karnych obozów pracy, coraz mocniej oplątującej całe imperium. Jak to zazwyczaj w takich okolicznościach bywało, w wyznaczone wcześniej miejsce zsyłano pierwszą, kilkuset-osobową grupę więźniów. Ich zadaniem było przygotowanie terenu pod budowę niezbędnej infrastruktury obozowej. W kolejnych latach do Jercewa przybywało coraz więcej osadzonych. Ich głównym zajęciem było karczowanie okolicznych lasów. W 1940 roku obóz stał się częścią wielkiego kargopolskiego kompleksu, w którym przebywało łącznie ponad 30 tys. więźniów. Jercewo było w tej strukturze jednym z głównych ośrodków przemysłu drzewnego. Sieć kolejowa pozwalała dostarczać nowych osadzanych i wywozić pozyskane drewno. Rozwijający się obóz pełnił zarówno funkcję placówki centralnej, jak i przejściowej. To stąd wysyłano kolejne partie więźniów do podobozów rozrzuconych w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Obok funkcjonującego systemu łagrów, rozwijała się miejscowość, w której mieszkali strażnicy NKWD. Świat wolnych i osadzonych mieszał się, wspólnie stapiając się w jedną nazwę – Jercewo.

Tak powstał *Inny świat*

Najpełniej koszmar życia osadzonych oddał w książce *Inny świat* Gustaw Herling-Grudziński. Wiernie odtworzył w niej realia sowieckich obozów. Opisał zasady panujące w łagrze, codzienne warunki życia stanowiące narzędzie do całkowitej degradacji człowieka, zarówno fizycznej jak



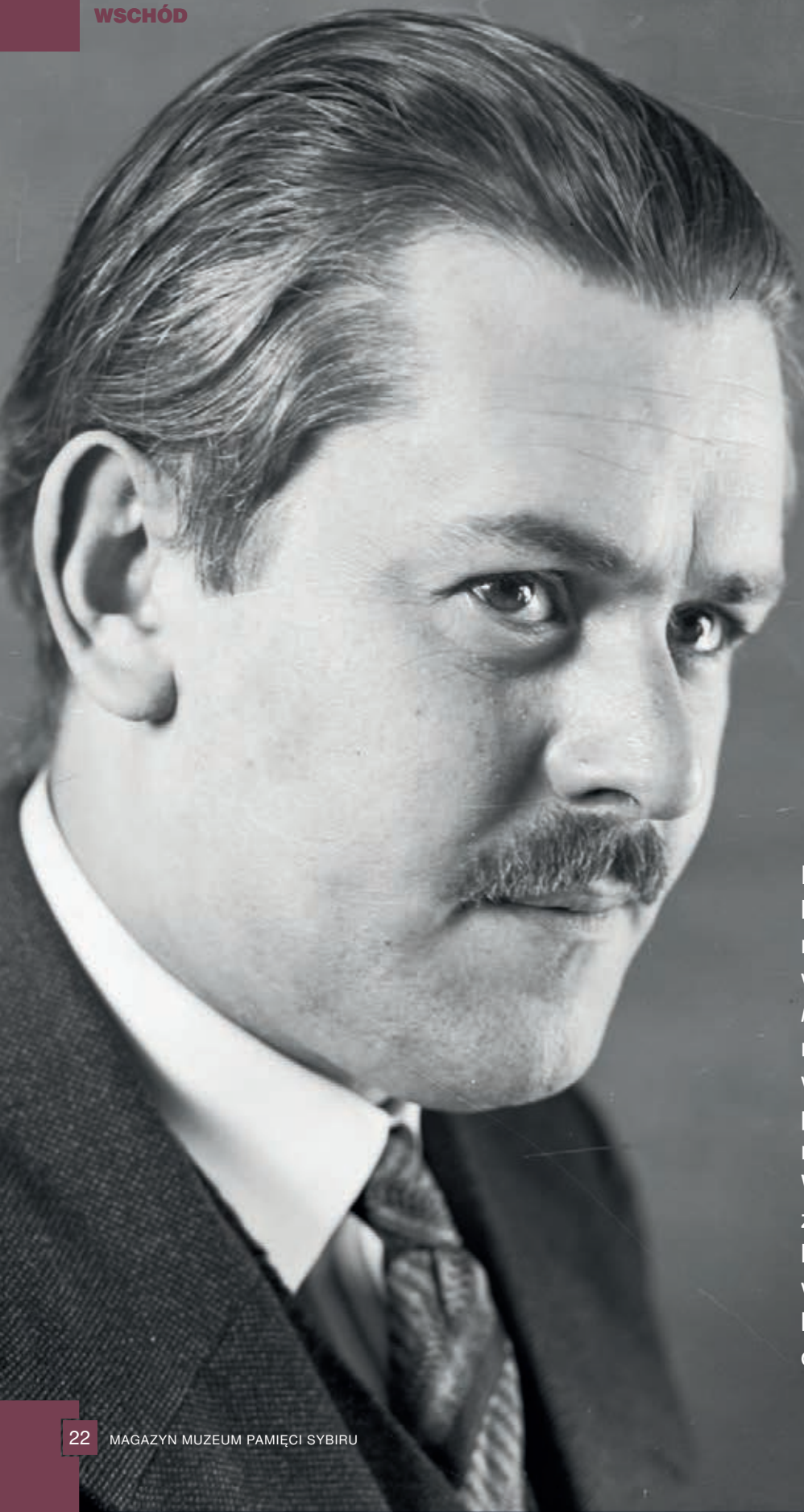
Jercewo, 2019 rok,
fot.: Wojciech Śleszyński

i psychicznej. Głodowe racje i praca ponad siły przy wyrębie lasu w temperaturze dochodzącej do -40°C szybko dziesiątkowały osadzonych. Tak zorganizowany obóz pracy w rzeczywistości był machiną kaźni, pochłaniającą tysiące ofiar. Ich kości do dziś rozsiane są po okolicznych lasach, pozostając niemymi świadkami zbrodniczych czasów.

Herling-Grudziński przybył do Jercewa z więzienia w Witebsku, zatrzymując się na kolejnych więziennych etapach najpierw w Leningradzie (dzisiaj Petersburg), a następnie w Wołogdzie. Nie powinien zatem dziwić fakt, że to właśnie te miasta odwiedzili uczestnicy konferencji zorganizowanej przez Instytut Polski w Sankt Petersburgu. Dwudniowe spotkanie, które miało miejsce w maju tego roku, poświęcone było twórczości i pamięci Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. W konferencji zatytułowanej „Inny świat – Inny człowiek” uczestniczyli historycy, literaci, tłumacze z Polski i Rosji. Nie zabrakło także gości z Maisons-Laffitte, z Instytutu Literackiego, z którym pisarz był związany przez długie lata. Konferencję zaszczyliła również swoją obecnością córka pisarza Marta Herling, która wspominała twórczość ojca i jego długie nocne spacerunki po własnej pracowni.

Dwa lata łagru odcisnęło silne piętno na wrażliwości artystycznej Gustawa Herling-Grudzińskiego. *Inny świat* jest zapisem konkretnych wydarzeń w Jercewie, ale jednocześnie niesie uniwersalne przesłanie o wszystkich systemach totalitarnych i ich zbrodniczych działaniach mających na celu zmianę człowieka w posłuszne narzędzie wszechwładnego państwa.

Prof. Wojciech Śleszyński



IRONISTA NA KOŁYMIE

Bogactwo literatury łagrowej doczekało się licznych opracowań. Niektóre pozycje, jak np. *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego czy *Na nieludzkiej ziemi* Józefa Czapskiego, mają swoje niezaprzeczalne miejsce w kanonie literatury polskiej. Inne pozostają w ich cieniu, znane jedynie wąskiemu kręgowi czytelników. Wyjątkowe miejsce w tym zbiorze zajmuje utwór Anatola Krakowickiego *Książka o Kołymie*. Niezwykła w nim jest nie tyle treść, co forma, jakiej użył autor, aby przekazać swoje doświadczenia.

Przed wybuchem wojny Krakowiecki brylował w krakowskim środowisku artystyczno-dziennikarskim. Przygodę z prasą rozpoczął w 1923 r., po rzuceniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Został korektorem w „Głosie Narodu”, w którym zaczął też publikować humorystyczne felietony. W następnych latach był członkiem zespołu redakcyjnego tygodnika podróżniczo-geograficznego „Na Szerokim Świecie”, współpracował z pismem satyrycznym „Wróble na dachu”, by w końcu zostać redaktorem technicznym w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”. Na jego łamach oraz innych pism zamieszczał swoje wiersze, prozę, felietony, a także recenzje teatralne i literackie. Talenty satyryczne mógł realizować jako kierownik literacki teatryku rewiewego Gong w Krakowie. Krakowiecki był wziętym kabareciarzem i autorem cieszących się popularnością sztuk teatralnych.

Między mundurem a „stołem szyderców”

Uchodzący za wesołka i *bon vivanta* Krakowiecki, był też gorącym patriotą gotowym w każdej chwili służyć ojczyźnie. Już jako piętnastoletni chłopak próbował zaciągnąć się do Legionów Polskich, co z racji wieku nie udało mu się. W 1918 roku, jeszcze przed zdaniem matury, wstąpił w szeregi II Brygady Legionów Polskich, a następnie Polskiej Organizacji Wojskowej. W grudniu tego roku został ranny w bitwie pod Niżankowcami koło Przemyśla. Po wylizaniu się z ran zdążył jeszcze wziąć udział w 1919 roku w zajęciu Wilna przez wojska polskie.

Narodziny II Rzeczypospolitej witął jako młody człowiek, to ona ukształtowała go jako dojrzałego obywatela. Gdy w 1939 roku nadciągnął kataklizm, nie wahał się ponownie stanąć w jej obronie, o czym wspominał po latach: „zawołany na wojnę, wstałem od »stołu szyderców« i poszedłem”. Zmobilizowany do wojska, w sierpniu opuścił ukochany Kraków, do którego nie dane mu już było nigdy powrócić. Po sowieckiej agresji na Polskę próbował przedostać się do Rumunii i właśnie podczas próby przekroczenia granicy, 7 października, został ujęty i osadzony w więzieniu NKWD w Stanisławowie. Tak rozpoczęła się jego więzienna, a po niej obozowa gehenna.

Do Wielkiej Brytanii przez Kołymę

13 grudnia 1939 roku Trybunał Wojenny Związku Sowieckiego skazał Krakowieckiego na



Anatol Krakowiecki
i Kazimierz Szczepański,
Kraków, 1931 rok

trzy lata poprawczych obozów pracy. Trafił na okrytą złą sławą Kołymę. Wbrew postanowieniom układu Sikorski-Majski, został zwolniony z łagru dopiero 12 kwietnia 1942 roku. Opuszczał go jako *dochodiaga* – strzep człowieka wyniszczonego zarówno fizycznie, jak i psychicznie, dochodzącego kresu swego życia. Po ewakuacji z Armią Andersa na Bliski Wschód został oddelegowany do służby prasowej. Mimo zrujnowanego zdrowia, rzucił się w wir pracy dziennikarskiej



i artystycznej. Wtedy też rozpoczął pracę nad książką, która miała być nie tylko zapisem jego osobistych doświadczeń z zesłania, ale świadectwem prawdy o sowieckim GULagu.

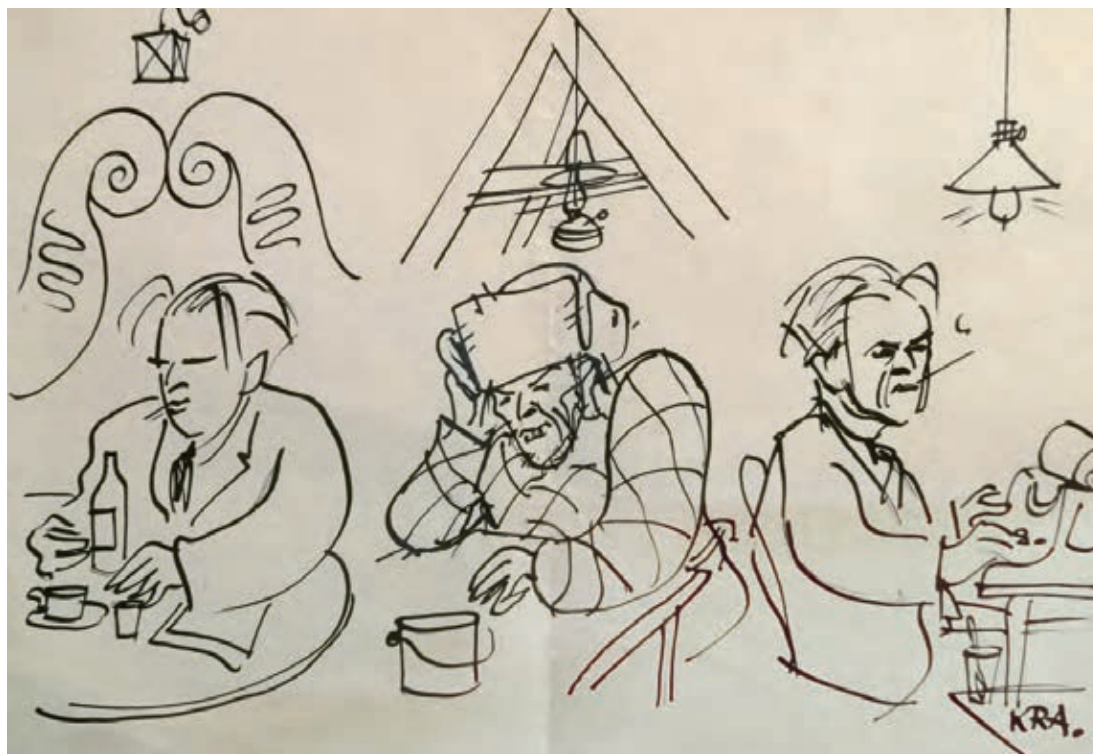
Piękną kartą w życiorysie Krakowieckiego była pomoc innym, słabszym od niego ofiarom sowieckiego reżimu. Przejęty losem sierot ewakuowanych ze Związku Sowieckiego poświęcił im książkę z bajkami (*Bajki biało-czerwone*) wydaną w 1944 roku w Jerozolimie. Niestety, dziewczynka Basia, która zainspirowała go do jej napisania, zmarła jeszcze przed ukazaniem się książki. Innym sierotą, którym zaopiekował się Krakowiecki, był Roman Stefanowski – późniejszy dziennikarz, wieloletni szef Działu Badań i Analiz Radia Wolna Europa. Poznał go w sierocińcu w Teheranie, a następnie adoptował. Anatol dostrzegł u niego talent do pióra i zachęcał Romana do pisania. Po zakończeniu wojny osiedli w Wielkiej Brytanii, gdzie Krakowiecki kontynuował pisanie książki, która miała zostać jego *opus magnum*.

Obudzić „sumienie świata”

„Przed skamieniałym sumieniem świata składam niniejszym zeznanie następującej treści” – tymi słowami zwraca się Krakowiecki do czytelnika na wstępie *Książki o Kołymie*, dodając:

„wszystkie nazwiska – zmyślane, wszystkie postaci i wszystkie fakty – prawdziwe”. Ukrycie nazwisk miało na celu uchronienie przed możliwymi represjami osób, które pozostały na „niehumanitarnej ziemi”. W efekcie powstała książka, o której sam autor napisał, że „nie mając żadnych pretensji literackich, jest reportażem, jest czymś w rodzaju pamiętnika, jest dziennikarską impresją, starając się w sposób beznamiętny opisać etapy opadania pewnego Europejczyka na dno dna. A więc jest zeznaniem”. Przystępując do pisania, Krakowiecki musiał zmierzyć się z pytaniem, „Jak pisać?” Co do tego, że musi o tym pisać, nie miał najmniejszych wątpliwości, co więcej, czuł się zobowiązany wobec innych więźniów, aby świat usłyszał i poznał prawdę o sowieckich łagrach. Należy pamiętać, że Polacy byli pierwszą dużą grupą, która opuściła łagry na mocy amnestii.

Wybrał metodę twórczą, jaka była mu najbliższa. Zamiast epatować teatrem okropności, Krakowiecki swoje więzienne, a następnie obozowe doświadczenia przedstawił prostym, nasyconym ironią językiem. Pozwoliło mu to uzyskać narracyjny dystans do opisywanych zdarzeń. Już od pierwszych stron dzieło zaskakuje czytelnika humorem, którego zważywszy na poruszaną tematykę, trudno było się na kartach takiej książki



Karykatura przedstawiająca Anatola Krakowieckiego: przed wojną, w łagrze na Kołymie, po wojnie.

spodziewać. Pierwsze więzienne doświadczenia czyta się wręcz z uśmiechem na ustach. Autorowi nie chodziło jednak o wzbudzenie pustego śmiechu. Ironia była postawą towarzyszącą Krakowieckiemu nie tylko podczas spisywania wspomnień, ale przez całe życie, również podczas zsyłki na Kołymę i jak sam stwierdzał po latach, to właśnie ona pozwoliła mu wszystko przeżyć i przetrzymać.

Była też próbą opisaną rzeczywistości, której nie sposób było wytłumaczyć, posługując się regułami racjonalnego myślenia. Świat łagrów rządził się własnymi prawami i własną logiką – obcymi i niezrozumiałymi dla ludzi wolnych. *Książka o Kołymie* przedstawia opadanie człowieka na dno ludzkiej egzystencji. Krakowiecki świadomie nawiązuje do wędrówki bohatera *Boskiej komedii* Dantego przez kolejne kręgi piekła. Z żartobliwym politowaniem wspomina własne słowa: „Oto jestem na dnie”, wypowiedziane po przekroczeniu bramy więzienia w Stanisławowie. Od tej pory jeszcze nie raz myślał, że sięga dna, by potem stwierdzić, iż owe dno ciągle zapadało się jeszcze niżej. Otarł się o nie, gdy, będąc już w stanie skrajnego wyczerpania pracą ponad siły w surowym klimacie Kołymy, popadł w stan apatii. Dotąd starał się walczyć z głodem i od-



mrozeniami, ratować wyniszczony chorobami organizm, aż w pewnym momencie zatracił wół przetrwania. Stało mu się obojętne, czy następnego dnia rano w ogóle się obudzi.

W ten sposób autor odkrywa przed czytelnikami ponurą prawdę o sowieckich łagrach. Do-

Bilet okręgowy
Anatola Krakowieckiego
Magadan-Władywostok,
1942 rok



Anatol Krakowiecki
przy pracy, polski obóz
przesiedleńczy w Wielkiej
Brytanii, 1946 rok



Grupa wyzwolonych Polaków nad grobem polskiego zesańca na cmentarzu magadańskim, Anatol Krakowiecki trzeci z lewej, 1942 rok

prowadzają one człowieka do stanu, w którym traci się instynkt samozachowawczy, kiedy nie czuje się lęku przed śmiercią, lecz czeka się na nią, widząc w niej wybawienie. Krakowiecki wspomina, że na jego oczach w czasie, gdy był na Kołymie, zmarło ponad trzysta ludzi. Tylko jeden spośród nich nie pragnął śmierci. Jego śmierć natchnęła Krakowieckiego, aby w swojej książce upomniął się o piątą wolność człowieka – „O wolność człowieka od pragnienia śmierci!”.

Krakowiecki vs. Herling

Podczas lektury *Książki o Kołymie* nie sposób uciec od porównań z *Innym światem* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Bliźniaczy jest los ich bohaterów, począwszy od aresztowania podczas próby przekroczenia granicy, przez pobyt w więzieniu, kolejne etapy zsyłki, aż po uwolnienie, które nadeszło, kiedy obaj byli na skraju śmierci. Zbieżne są zawarte w nich przemyślenia na temat

natury sowieckiej władzy oraz funkcjonowania GUŁagu. Zaskakują podobieństwem niektórych nawet drobnych zdarzeń, jak np. przytoczone w charakterze anegdoty „problemy” z nazwiskiem – Herling-Grudziński musiał tłumaczyć oficerowi prowadzącemu przesłuchanie, że nie ma nic wspólnego z Hermannem Göringiem, natomiast Krakowiecki, że nie jest właścicielem Krakowa.

Zarówno Krakowiecki, jak i Herling-Grudziński ukazali łagry jako gigantyczne narzędzie do zabijania ludzi niewygodnych dla sowieckiej władzy. Obaj czuli się w obowiązku, aby przekazać światu prawdę o tym systemie, skali jego zbrodni, rozumiejąc, że trudno będzie w nią uwierzyć osobom, które same nie doświadczyły tego losu. Byli jednak to winni innym więźniom, nie tylko Polakom. Mieli poczucie solidarności ze wszystkimi, którzy siedzieli w łagrach. Jednocześnie byli wyczuleni na to, aby w swych książkach nie przeciągać martyrologicznej struny i nie po-

padać w patriotyczne zadęcie. Dzięki temu ich dzieła nabierały uniwersalnego charakteru. Stawiali znak równości między dwoma totalitaryzmami – komunizmem i nazizmem. Krakowiecki w *Książce o Kołymie* zestawiał ze sobą Oświęcim (Auschwitz) i Kołymę, nazywając je dwoma konarami ludzkiej tragedii wywodzącymi się z tego samego pnia – cierpienia bez granic. Być może to właśnie on jako pierwszy, pisząc o Kołymie, użył terminu: białe krematorium. Dlatego swoją książkę zakończył gorzką konstatacją „Nie ma dna w nieszczęściu ludzkim”.

Autorom opisującym sowieckie zbrodnie i świat łagrów trudno było tuż po wojnie przebić się na Zachodzie z tą treścią. Herlingowi-Grudzińskiemu, dzięki niezwykłemu talentowi literackiemu, udało się w końcu, choć też nie bez trudu, odnieść sukces czytelnicy. *Książka o Kołymie* Krakowieckiego bardzo długo torowała drogę do czytelników. Samo jej wydanie było nie lada problemem, a maszynopis był kilkakrotnie odrzucany. Udało się ją wreszcie wydać w 1950 roku nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas” w Londynie. Książka została przyjęta rozmaicie. Oprócz pochlebnych recenzji, pojawiły się również chłodne i krytyczne. Wśród polskiej emigracji została jednak przyjęta z żywym zainteresowaniem, co zrozumiałe – była przecież jednym z pierwszych świadectw o GUŁagu napisanym przez Polaka.

Krakowieckiemu nie było dane długo cieszyć się tym sukcesem. Zmarł wkrótce po ukazaniu się książki. Do dziś dla historyków literatury pozostaje zagadką, dlaczego Herling-Grudziński, będący wnikliwym obserwatorem kultury i recenzentem współczesnej literatury, pominął milczeniem *Książkę o Kołymie*. W pismach zebranych tylko raz wspomina o Krakowieckim, a przecież zarówno ich biografie, jaki i twórczość łączyło tak wiele.

Na szczęście twórczość Krakowieckiego nie odeszła w zapomnienie wraz z jego śmiercią. Strażnikiem pamięci po nim pozostał Roman Stefanowski. W latach osiemdziesiątych *Książka o Kołymie* była czytana na łamach Radia Wolna Europa. Również polski czytelnik może się w końcu z nią zapoznać. W 2014 roku ukazała się po raz pierwszy w Polsce.

Jerzy Autuchiewicz

Oddział IPN w Białymstoku



Anatol Krakowiecki
i Roman Stefanowski,
polski obóz przesiedleńczy
w Wielkiej Brytanii, 1946 rok

Cytaty pochodzą z: Anatol Krakowiecki, *Książka o Kołymie*, Łomianki 2014. Fotografie ze zbiorów archiwum rodzinnego Barbary Hładowskiej, córki Romana Stefanowskiego oraz Narodowego Archiwum Cyfrowego.

ZAPOMNIANA LITERATURA SYBERII:

RUFIN PIOTROWSKI I INNI



Skojarzenia, jakie w naszej kulturze wywołuje Syberia są raczej jednoznaczne. Świadczenia literackie, wspomnienia, pamiątki zesańców, prowadzą czytelników przez kolejne kręgi zimowego piekła, „więzienia bez krat”, jak nazywano bezkresne pustkowie tajgi. Jedną z najwcześniejszych wizji Syberii jako krainy piekielnej, wprost nawiązującą do dantejskiego *Inferna*, przyniósł poemat *Anielli* Juliusza Słowackiego – utwór bardzo osobliwy, pisany prozą stylizowaną na język biblijny, surową i piękną. Choć Słowacki nigdy na Syberii nie był, odmalowane przez niego makabryczne obrazy rozpadającej się, ulegającej zezwierzęczeniu społeczności wygnańców, ich życia w ponizeniu i skrajnej biedzie, zakorzeniły się mocno w polskiej wyobraźni i pamięci zbiorowej – do czego przyczyniły się także osnute na motywach „anhellicznych” dzieła malarzkie Jacka Malczewskiego.

Literatura sybirska, w związku z tym, że wta- jemnicza w piekło wygnania i cierpienia, pokazuje nam często ludzi uciemżonych, ponizonych, głęboko skrzywdzonych albo wręcz „złagrowanych” – zasymilowanych z okrucieństwem jak mieszkańcy *Innego świata* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. I na tym polega jej wielka wartość, nie sposób bowiem pojąć istoty cierpienia więźniów Syberii bez ich świadectwa.

Różnorodność sybirskich świadectw

Jeśli jednak chcielibyśmy widzieć tę literaturę jako twór jednolity pod względem tematu, nastroju, obrazowania, to twórczość tych, którzy – w przeciwieństwie do Słowackiego – naprawdę byli zesłani na Syberię, natychmiast ów monolit rozbija na tysiące odłamków. Pisarstwo Sybiraków nie układa się bowiem wzdłuż stereotypów, którymi z konieczności musieli się posługiwać inni literaci. Obejmuje ono relacje tak różne, jak pamiętniki więźniów „archipelagu GUŁag” oraz zapiski przedstawicieli XIX-wiecznej inteligencji, którzy na przymusowej emigracji postanowili przyjrzeć się tajdze badawczo, zająć umysł pracą naukową i zachwycić się dziką, surową przyrodą, bezbrzeżnym królestwem lasu i śniegu.

Wśród rozlicznych wspomnień i dzienników z zesłania jest wiele dzieł bardzo interesujących nie tylko ze względu na dokumentarny charakter świadectwa. Nietrudno zgadnąć, że bilet w jedną stronę do tej odległej krainy otrzymywali często ludzie nietuzinkowi – i nie mam tu oczywiście na myśli ani pospolitych kryminalistów, ani też niepospolitych zbrodniarzy. Oczywiście, wywózka była także formą kary za działalność przestępczą w dzisiejszym rozumieniu (mordy, grabieże, rozboje), lecz wiadomo powszechnie, że tak w imperialnej Rosji, jak i w Związku Sowieckim, zesańcami stawali się więźniowie polityczni – spiskowcy, konspiratorzy, nieprawomyślni artyści, słowem: nieprzeciętne indywidualności, które nierzadko stać było na wielką odwagę, śmiałość wyczyny oraz barwną opowieść o nich.

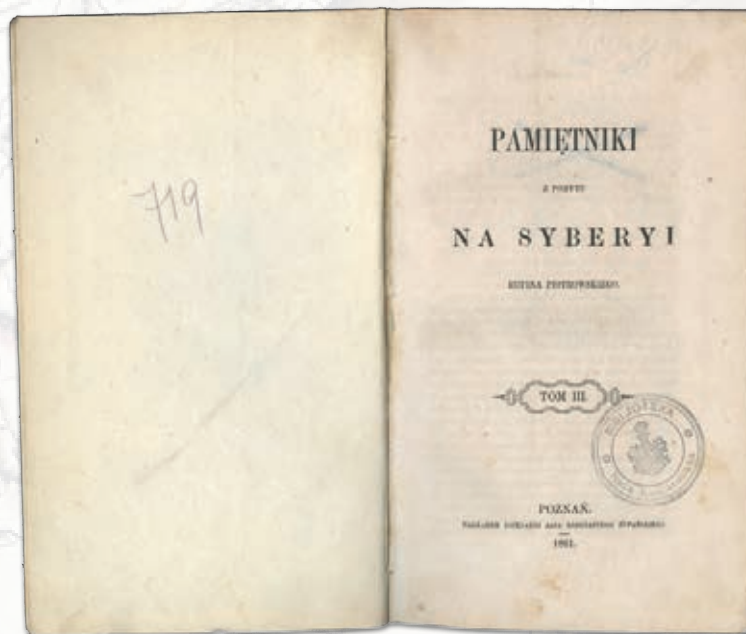
Nic zatem dziwnego, że spisane przez nich relacje bywały przykładami świetnej literatury – porywającej, doskonale napisanej, pełnej eksponujących zimne, północne piękno opisów oraz wnikliwych obserwacji dotyczących życia, spraw codziennych, ale też i „wielkiej polityki”. Okazywały się one nieraz atrakcyjne czytelniczo również tam, gdzie nazwy odległych rosyjskich

miejsowości mogły brzmieć całkiem egzotycznie. To zaskakujące z dzisiejszej perspektywy, ale niektóre z tych opowieści zyskały status bestsellerów we współczesnym rozumieniu, pożądanym nie tylko w Polsce, ale i we Francji, Anglii, za oceanem...

Rufina Piotrowskiego przypadki...

Jednym z takich dzieł były *Pamiętniki z pobytu na Syberii* Rufina Piotrowskiego wydane w latach 1860–1861 w trzech tomach. Piotrowski, były powstaniec listopadowy, konspirator, członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, został w 1844 roku zesłany na katorgę do Jekateryńskiego *Zawodu* (z ros.: fabryki) opodal Tary (pod Omskiem). Już w drodze na zesłanie, z kajdanami na nogach, zaczął bacznie obserwować otoczenie, budując od podstaw śmiały plan ucieczki. Prędko nabrał przekonania, że grupa więźniów nie miałaby szans przebić się z powrotem do Polski (lub dalej) przez tysiące kilometrów pod czujnym okiem sług imperialnych, mając za plecami konną grupę pościgową, a przed sobą bezdroża i biedne wsie zamieszkałe przez podejrzliwych i zabobonnych chłopów. Co innego jedna osoba.

Przebycie tej drogi w pojedynkę pozornie zakrawa na pomysł jeszcze bardziej wariacki. Jednak Piotrowski miał swoje racje: jednej





Artur Grottger,
Pochód na Syberię,
1867 rok

osobie dużo łatwiej wtopić się w tłum, znaleźć zaciszny nocleg, przejść niezauważoną. Mijany przechodzień, w przeciwieństwie do grupki przechodniów, niemal natychmiast zaciera się w pamięci jako widok zupełnie zwyczajny. Rosyjscy żołnierze poszukiwali polskiego zbiega – lecz żaden przepytany chłop, żaden robotnik czy handlarz nie przypominał sobie żadnego polskiego zbiega. Mijał ich bowiem autor *Pamiętników* raz jako pomocnik kupca zmierzający na jarmark w Irbiti, innym razem jako mieszkaniec sąsiedniej wsi w drodze do miasta albo domokrażca, a innym jeszcze pod postacią *bohomołca* – pobożnego pielgrzyma udającego się do odległego monasteru, gotowego przyjąć grosik w zamian za obietnicę modlitwy w intencji darczyńcy.

Uciekinier z katorgi umiał jak nikt wtopić się w tłum, improwizując i szybko korygując plany, gdy wydały mu się nazbyt ryzykowne. Kilkakrotnie zmieniał trasę wędrówki, nie załamywał się w trudnych sytuacjach, jak wtedy, gdy został okradziony z większości pieniędzy, paszportu

i mapy z zaznaczoną marszrutą. Gdy zmarł na kamień prosił o nocleg, zaś gdy nie musiał tego robić wybierał las i norę wygrzebaną „sposobem Ostiaków” w śniegu. Tam, gdzie coś od niego zależało, były powstaniec nie zdawał się jednak na ślepy los. Przez dwa lata znosił trudy katorgi, by uśpić czujność dozorców, zdobyć orientację w sytuacji i wszystko dobrze przemyśleć. Także moment wybrany na ucieczkę – zdawałoby się, że fatalny, w środku zimy – nie był przecież przypadkowy. Zawieje śnieżne błyskawicznie zcierały wszelkie ślady jego przejścia, a zaspy dawały niemożliwe do odkrycia schronienie na noc.

Losy przelane na papier

Pamiętnik Piotrowskiego, spisany dwa lata po dotarciu z Syberii do Francji (!) to świetna, zajmująca na długie godziny lektura. Autor ani przez moment nie zanudza czytelnika zbędnymi informacjami, a jednak w tekście aż się kłębi od szczegółów budujących jeden z najdoskonalszych obrazów życia XIX-wiecznych Sybiraków

w naszej literaturze. W co dokładnie ubiera się człowiek, który planuje uciekać przez niemal cztery tysiące kilometrów? Co zabiera do jedzenia? Co czuje? Piotrowski nie skupiał się tylko na swej ucieczce, spisał wszystko, co pamiętał, począwszy od początku wyprawy. Zamiłowaniu do detali towarzyszy u niego rozmach i wrażliwość na piękno przyrody, łatwość szczerego – bardzo szczerego! – spowiadania się ze swoich emocji, także tych wstydlivych, jak również wnikliwość, z jaką obnażał mechanizmy sprawowania władzy w Rosji. Uwadze autora nie uszły także rozmaite typy ludzkie, pasjonujących szkiców doczekali się jego towarzysze niedoli. Wspomnienia Rufina Piotrowskiego zamieszkują katorżnicy, *posielerńcy* (osadnicy), chłopi, kupcy, żołdacy, wrogo-

wie i przyjaciele, dobrzy i źli Rosjanie, wreszcie męczennicy polskiej sprawy – jak nieszczęsny książę Jan Henryk Sierociński, którego tragiczną historię autor wspomnień opowiedział z zatrważającymi szczegółami.

Czytając tę relację, nie można mieć wątpliwości, że losy XIX-wiecznych Sybiraków bywały równie straszne, a okrucieństwo oprawców równie wielkie, jak miało to miejsce w kolejnym rozdziale „Syberiady”, który przypadł na wiek XX. Zarazem wcale nie jest to opowieść jednoznaczna w swej wymowie, w prezentowanych ocenach. Piotrowski nigdy nie ferował pospiesznych wyroków, świat widziany jego oczami nie był czarno-biały, zaś do samej Syberii miał co najmniej dwojaki stosunek: z jednej strony jawiła

Jacek Malczewski,
Na etapie (aresztanci),
1883 rok





Jacek Malczewski,
Wigilia na Syberii,
1892 rok

mu się jako kraina rozpacz, smutku i samotności, z drugiej zaś – nauczył się ją na swój sposób kochać i odczuwał za nią dziwną tęsknotę, której sam chyba do końca nie pojmował.

Międzynarodowy sukces, polskie zapomnienie

To wszystko, a także i to, że autor dysponował świetnym piórem, uczyniło z jego *Pamiętników* dzieło znakomite, o wielkiej randze literackiej, przetłumaczone natychmiast na angielski, francuski, niemiecki, holenderski, szwedzki, duń-

ski... i oczywiście rosyjski. Krytycy prześcigali się w pochlebnych ocenach, książki znikwały z półek. Sam Knut Hamsun, norweski pisarz, autor słynnego *Głodu*, przyznał, że dzieło Rufina Piotrowskiego było najważniejszą książką, jaką w życiu przeczytał. A dziś mało kto o nim pamięta w jego własnej ojczyźnie.

Lecz Piotrowski nie jest w tych wszystkich kwestiach całkiem odosobniony: ani jako uciekinier, ani jako sławny pisarz – ani też jako twórca zapomniany. Nie był jedynym śmiałkiem, który postanowił zmierzyć się z bezkresną Syberią



i przechytrzyć całe imperium. Już przed nim, pod koniec XVIII wieku Maurycy August Beniowski z grupą towarzyszy zbiegł z zesłania na Kamczatce, wybierając podróż statkiem „Św. Piotr i Św. Paweł” wzdłuż wybrzeży Japonii i Chin do Maku. Jego pamiętniki cieszyły się wielką poczytnością w całej Europie. Z kolei Antoni Ferdynand Ossendowski, uciekając przed bolszewikami w pierwszej połowie XX wieku, przebił się przez syberyjską tajgę do Tybetu, a potem do Mongolii, gdzie został gościem legendarnego barona Romana von Ungerna, nazywanego „krwawym”.



Jego niesamowita biografia oraz wspomnienia, wydane pod tytułem *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów* uczyniły zeń drugiego najbardziej poczytnego pisarza polskiego za granicą w historii – tylko Henryk Sienkiewicz wyprzedza go pod względem liczby przekładów i wydań po dziś dzień. Ossendowski nie był wprawdzie zesłańcem, ale prześladowania i przymusowy pobyt na Syberii stały się także jego udziałem.

Jacek Malczewski, *Wygnańcy polscy na Sybirze*, Wrocław, 1906 rok

To tylko kilka z nazwisk autorów, o których mało kto już dziś pamięta, których z jakiejś przyczyny przestano czytać, choć niegdyś byli na ustach wszystkich. By skupić się na dwóch wyrazistych przykładach: Piotrowskiego w Polsce nie wznawiano, Ossendowski wyrósł na jednego z największych wrogów bolszewickiego komunizmu i miniony system zrobił wszystko, by usunąć go z kart historii. Tymczasem sam system jednak przeminął, jak wcześniej przeminęło także Imperium Rosyjskie i wielowiekowa potęga carów... Jednak Piotrowskiego i Ossendowskiego powoli się przypomina, wydaje na nowo i zaprasza znów do panteonu polskiej literatury. Może i tym razem uda im się powrócić z poniewierki, choć to podróż chyba nawet dłuższa od przeprawy przez azjatycką tajgę. Oby tego dokonali – bo przynoszą obraz Syberii inny i bardziej pogłębiony niż nasze stereotypowe wyobrażenia, a przy tym sięgający w głąb XIX wieku – epoki naznaczonej sybirskim piętnem nie mniej niż wiek XX.

Dr Grzegorz Kowalski
Białystok

Cóż może łączyć Białystok na Podlasiu z Tomskiem na Syberii? Odpowiedź nie jest łatwa, ani tym bardziej jednoznaczna. Pewnie wiele jest elementów, które złożyłyby się na wspólne więzy, relacje obu miast, tak odległych od siebie, a jednak sobie bliskich. Na myśl przychodzi choćby wieś Białystok, założona w obwodzie tomskim na przełomie XIX i XX wieku. Ale czy ktoś pomyślałby kiedykolwiek, że oba miasta – Tomsk i Białystok – może łączyć „zapach i smak czekolady”? Czy to możliwe? A jednak!



Nasz dom w Tomsku

Parowa fabryka czekolady „Bronisław” i dom Borodiczów,
Tomsk, Zaułek Tatarski, po 1910 roku,
ze zbiorów Archiwum i Muzeum Archidiecezjalnego w Białymstoku

Szukając na mapie Tomsku uświadomiłem sobie, jak bardzo daleko leży on od (polskiego) Białegostoku. Patrząc na mapę wydaje się, że miasto położone nad rzeką Tom, dopływem Obu, leżące w środku Azji, nad Kazachstanem, na północny wschód od Nowosybirsk... jest miejscowością „na końcu świata”. Ale o ogromnej odległości dzielącej te miasta przekonujemy się dopiero wpisując je w elektroniczną mapę w Internecie – dzieli je 4693 km w linii prostej, 59 godzin jazdy samochodem i... ponad trzy doby jazdy pociągiem. Współcześnie! A co dopiero na przełomie XIX i XX wieku, gdy nie były dostępne obecne środki transportu, a podróże, bardzo często przecież na miejsce zezłania, trwały znacznie dłużej i wydawała się nie mieć końca.

Po nowe życie

Różnymi drogami i w różnym celu nad rzekę Tom trafiali Polacy w drugiej połowie XIX wieku. Wielu z nich zostało zmuszonych do opuszczenia rodzinnych stron za udział w powstaniu styczniowym, za podejmowaną działalność niepodległościową, czy udział w spiskach przeciw carowi Rosji. Inni szukali w głębi państwa carów szansy na „nowe życie”, korzystając z rozwoju gospodarczego i ekonomicznego syberyjskich guberni, eksploatując bogactwa naturalne bądź też rozwijając nowe gałęzie przemysłu. Wielu osiadłych w Tomsku Polaków przyczyniło się do rozwoju ekonomicznego tego miasta.

Jednym z nich był urodzony w 1867 roku w Warszawie Bronisław Borodzicz, który w 1899 roku założył w Tomsku dom handlowy „Bronisław Wilgielmowicz Borodzicz i Spółka”. Rodzicami Bronisława byli Wilhelm (stąd nieco dziwne brzmiące rosyjskie *otczestwo* – imię odojcowskie) i Emilia z domu Dworakowska. Z zawodu był cukiernikiem. Wcześniej mieszkał w Kownie i w Sankt Petersburgu. W Imperium Rosyjskim szukał możliwości zrobienia kariery.

Fabryka ze snów

Wyjechał w głąb Rosji dobrowolnie, szukając tam szansy na dostatnie życie. I skorzystał z niej. Do Tomsku przybył z Rostowa nad Donem. W Tomsku założył nie tylko „skład”, jak wówczas nazywano magazyny handlowe, ale także zbudował pierwszą w Tomsku i na całej Syberii parową fabrykę cukierków. Jak wielką musiała być dla ówczesnych mieszkańców Tomsku, a szczegó-



nie dzieci, niespodzianką! Fabryka słodczy na ziemi, która nie kojarzyła się ze „słodkim życiem”. A jednak nią była! Słodką fabryką ze snów dzieci! Dzięki niej nad miastem unosił się już nie tylko cuchnący dym z fabrycznych kominów, w których spalano ogromne ilości syberyjskiego drewna. Teraz dzieci wyczuwały w powietrzu przede wszystkim zapach czekolady! Czy ten zapach zapadł w pamięć polskich dzieci urodzonych na początku XX wieku w Tomsku? Być może nie wszystkie miały tę radość korzystania z uroków „słodkiego życia”, ale wiele polskich dzieci, w tym także pociechy właścicieli, na pewno.

Bronisław i Maria Borodziczowie, Tomsk, początek XX wieku, ze zbiorów Archiwum i Muzeum Archidiecezjalnego w Białymstoku



Z prawej: Maria Borodziczowa
z córką Walentyną;
z lewej: niania (?) z córką
Borodzcichów Marią;
stoi: NN; Tomsk, ok. 1905 roku,
ze zbiorów Archiwum i Muzeum
Archidiecezjalnego w Białymstoku

Bronisław Borodzicz 24 kwietnia 1901 roku ożenił się z dziewiętnastoletnią Marią Lisowską, córką zesańca Stanisława Lisowskiego, byłego mieszczanina radomskiej guberni. Z małżeństwa tego urodziło się pięcioro dzieci: Walentyna, Zofia i Eugeniusz, a także Maria i Julia, które wkrótce po urodzeniu zmarły. Zachowane zdjęcia archiwalne pozwalają przypuszczać, że dzieci miały szczęśliwe, pełne rodzicielskiej miłości życie. Stare fotografie uwieczniły bowiem chwile radości, rodzinnych spotkań, ale i zamożnego, dostatniego życia, które wiedli właściciele fabryki.

Można rzec, że Bronisław zrealizował swoje „syberyjskie marzenia”, z rzemieślnika w szybkim czasie stał się przemysłowcem i szanowanym obywatelem miasta. Jako pierwszy na Syberii użył maszyn parowych i silnika elektrycznego do produkcji cukierków. W latach 1911-1913 rozbudował fabrykę według projektu innego Polaka, architekta Wincentego Orzeszko, który zaprojektował także dom mieszkalny rodziny Borodziczów i domy fabryczne innych pracowników. W 1913 roku Borodzicz zatrudnił już nie sześciu, a 70 robotników, także wielu Polaków, którym w ten sposób dawał utrzymanie i możliwość przeżycia na zesłaniu.

W fabryce Borodzicza produkowano czekoladki, cukierki, landrynki, karmele, pierniki, a nawet chatwę. Na tle innych fabryk ta była innowacyjna i bardzo nowoczesna. Wyroby musiały być wyjątkowo smaczne i słodkie, skoro w 1911 roku na Pierwszej Zachodnio-Syberyjskiej Wystawie Przemysłowej w Omsku za wysoką jakość wyrobów cukierniczych właściciel odznaczony został wielkim złotym medalem.

Już nie sen, a koszmar!

Bronisław Borodzicz był osobą niezwykle operatywną i nowatorską. Jego sukces został dostrzeżony też przez lokalną społeczność, znalazł się na listach osób mających prawo uczestniczyć w wyborach do Państwowej Dumy w 1906 roku. Wraz z rozwojem technologicznym nastąpiła też ekspansja gospodarcza. W 1914 roku Borodzicz był już właścicielem sklepu cukierniczego „Bronisław”, piekarni i sklepu z pieczywem; starał się także o kawiarnię. W 1917 roku jego majątek wyceniano na 65 tys. rubli. Nie zapominał o potrzebujących – jako jeden z pierwszych prowadził w mieście zorganizowaną działalność charytatywną.



W czasie I wojny światowej przedsiębiorstwo Borodzicza znalazło się w trudnym położeniu. Słodczyce nie były bowiem produktami pierwszej potrzeby. Wszystko uległo dramatycznej zmianie po wybuchu rewolucji październikowej. W 1917 roku zamknięto fabrykę cukierków. Gdy do władzy – także na Syberii, która dość długo przeciwstawiała się bolszewikom – doszli komuniści, przedsiębiorstwo znacjonalizowano (w 1920 roku), a Bronisław Borodzicz został aresztowany przez czekistów. Po odzyskaniu wolności mu-

Walentyna Borodziczówna
prawdopodobnie z bratem
Eugeniuszem,
Tomsk, ok. 1909 roku,
ze zbiorów Archiwum i Muzeum
Archidiecezjalnego w Białymstoku



Pudełko po czekoladkach produkowanych w cukierni Bronisława Borodiczca, początek XX wieku, ze zbiorów Obwodowego Muzeum Krajoznawczego im. M.B. Szatłowa w Tomsku

siat wraz z całą rodziną uciekać z Tomsku, aby ratować życie. Wyjechał do odradzającego się państwa polskiego – do Wilna. Dorobek całego życia pozostawił na Syberii. Nad Tomem zostały nie tylko mury fabryki cukierków, nie tylko niezrealizowane zamierzenia i cele, które sobie wyznaczył, ale także wspomnienia szczęśliwych chwil osadzanych tabliczkami czekolady.

Przez Wilno...

Rodzina już nigdy nie osiągnęła takiego statusu społecznego jakim cieszyła się w Tomsku. Pierwsze lata po odzyskaniu przez Polskę niepodległości nacechowane były niepewnością i lękiem o przyszłość. 21 października 1924 roku zmarł Bronisław Borodicz, twórca rodzinnej, tomskiej fortuny. Został pochowany na cmentarzu parafialnym pw. św. Piotra i Pawła na Antokolu. Kryzys gospodarczy przetomu lat 20. i 30.

XX wieku pogłębił tylko i tak trudną materialną sytuację zubożonej rodziny.

Ale w Wilnie, w okresie międzywojennym, rodzina Borodiczów przeżywała też i piękne chwile. Córka Bronisława, Walentyna, wyszła za mąż za Zygmunta Maciejewskiego, pracownika Urzędu Wojewódzkiego. Ślub odbył się w kościele pw. św. Apostołów Filipa i Jakuba w Wilnie 2 sierpnia 1932 roku. Zygmunt był nie tylko patriotą walczącym o wolność ojczyzny w wojnie z bolszewikami (w 1919 roku wstąpił na ochotnika do 2. Dywizji Litewsko-Białoruskiej), ale także ofiarnie pracował na rzecz jej niepodległości. Zarządzeniem prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej został odznaczony Medalem Niepodległości za pracę w dziele odzyskania niepodległości. Dyplom podpisał sam Józef Piłsudski, jako przewodniczący Komitetu Krzyża i Medalu Niepodległości. W Wilnie, w 1936 roku, na świat przyszła



jedyna córka Walentyny i Zygmunta – Maria-Helena, którą wszyscy pieczołowicie nazywali Marlenką. Do wybuchu II wojny światowej rodzina wiodła szczęśliwe życie, ciesząc się okresem stabilizacji i pokoju.

...do Białegostoku

Niestety, wybuch wojny spowodował kolejne perturbacje i niepokoje w życiu Borodziczów. Oboje małżonkowie utracili pracę. Musieli opuścić mieszkanie w Wilnie; zamieszkali na wsi, co z drugiej strony ułatwiło im przeżycie tego trudnego czasu. Opatrzność czuwała nad nimi. Udało im się szczęśliwie przeżyć obie okupacje – sowiecką i niemiecką. Ale po zakończeniu wojny, tak jak wielu Polaków, zostali zmuszeni do opuszczenia swego domu, choć wciąż – szczególnie dla córki Borodzicza – domem ze wspomnień był daleki Tomsk. I tu właśnie losy rodziny czekoladowych fabrykantów z Tomska splatają się z historią polskiego Białegostoku. Do tego bowiem właśnie miasta przyjechali całą rodziną i w nim rozpoczęli swe nowe życie.


Choć małżeństwu Maciejewskich udało się znaleźć pracę (oboje zostali urzędnikami państwowymi), to jednak do końca swego życia musieli ukrywać tajemnice z przeszłości – to, że ojciec Walentyny był polskim przemysłowcem w carskiej Rosji i to, że Zygmunt walczył w woj-

nie polsko-bolszewickiej. Rodzinne tajemnice stały się udziałem ich córki, która z ogromną pieczą i pietyzmem przechowywała wszelkie ślady po przeszłości, szczególnie stare fotografie przypominające jej o fabryce cukierków, o której tak często w dzieciństwie opowiadała jej mama.

Fabryka słodczy istnieje w Tomsku do dziś, choć już pod inną nazwą. Wciąż produkuje słodczyce, cieszy podniebienia dzieci i starszych mieszkańców Syberii. Może tylko nazwa fabryki – od 1926 roku „Czerwona Gwiazda” – nie kojarzy się już z Polakami, którzy ją zakładali... Pamięć o Bronisławie Borodzicu i jego „cukierkowych dzieciach” wciąż jednak jest żywa w mieście nad Tomem. W sercach i pamięci mieszkańców syberyjskiego miasta pozostała wdzięczność za smak syberyjskiej czekolady, która po dziś dzień raduje podniebienia mieszkańców Tomska.

ks. dr Adam Szot

Archiwum i Muzeum Archidiecezjalne w Białymstoku



Luty 1940 rok. Kresy Wschodnie, pod sowiecką okupacją. Na termometrach -40°C , za oknami śniegowe zaspę i, przechodzący na zmianę z zadymki w zamieć, padający śnieg...

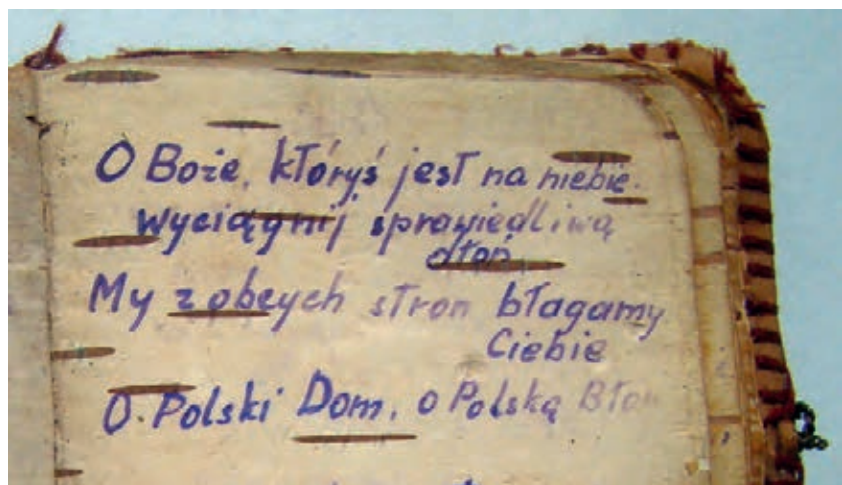
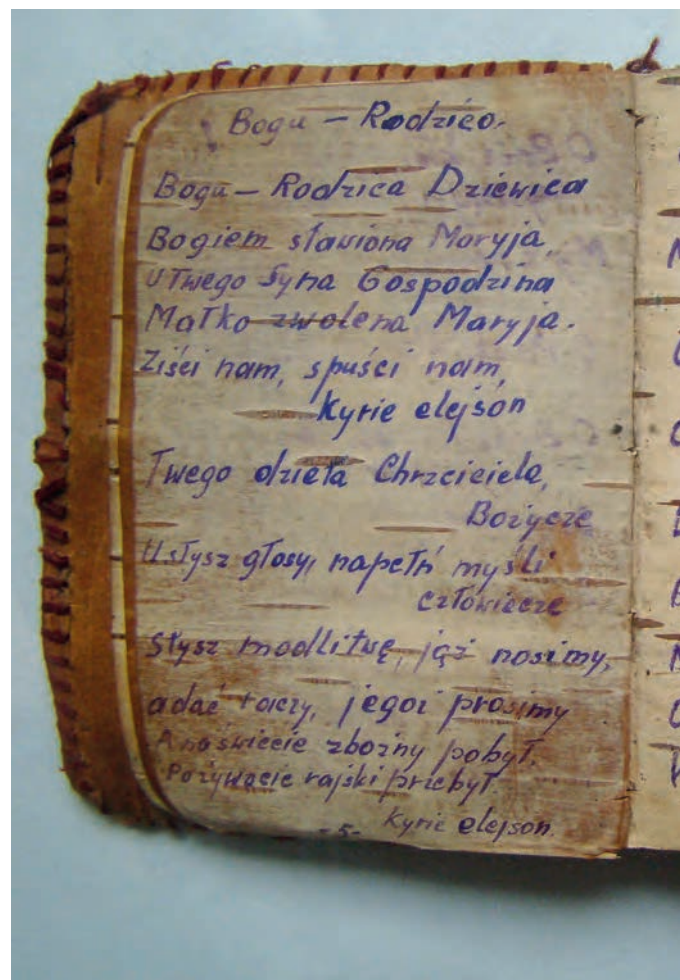
**„ZABIERALIŚMY
WSZYSTKO TO,
CO BYŁO
W TEJ CHWILI
NAJWAŻNIEJSZE...”**

Wieczorem 9 lutego 1940 roku Polacy przebywający na Kresach w swoich domach nie kładli się na spoczynek z sercem spokojnym, wśród domowej atmosfery, ogrzanej ciepłem bijącym z kaflowego pieca. Niepokoiła ich nie tylko śnieżna zawierucha, którą za oknami niósł mroźny wiatr. Niepokoiła przede wszystkim zawierucha wojenna – okupacyjna. Realia nowej, sowieckiej władzy na Kresach budziły niepewność i strach. Wielu Polaków znajdowało się już wtedy w więzieniach bądź obozach jenieckich, jak ci, wzięci do niewoli w 1939 roku. Jednak wieczór tamtego dnia, mimo wszystkich zewnętrznych okoliczności, nie różnił się jakoś szczególnie od poprzednich. Wielu położyło się spać, nie przeczuwając mimo wszystko tego, co miało nadejść.

Nie tylko ciepła odzież

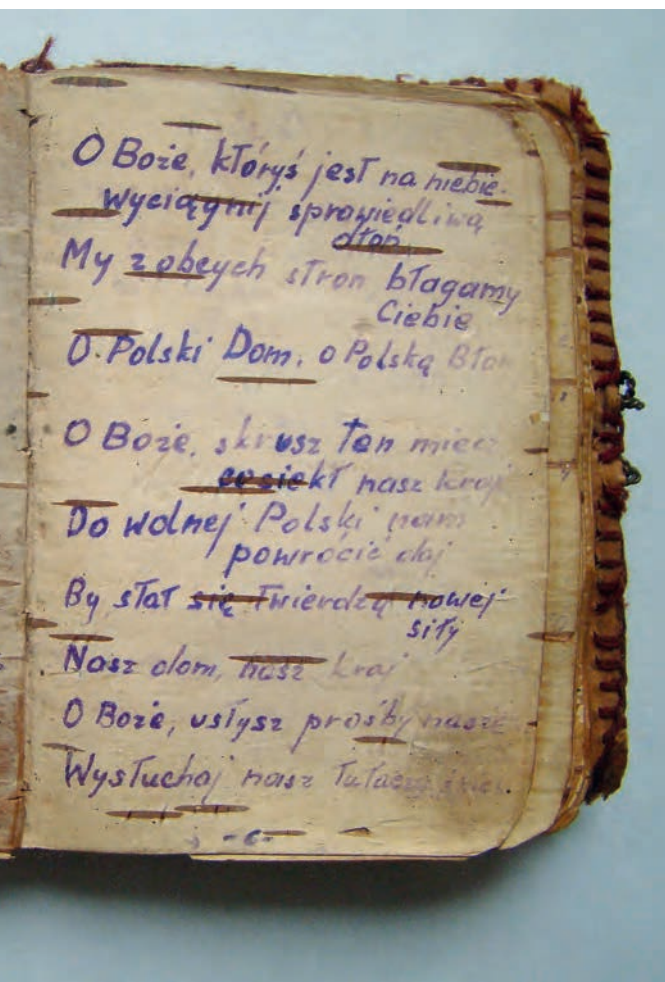
10 lutego nad ranem w wielu kresowych domach rozległo się tomatanie do drzwi, któremu wtórował głos enkawudzistów. Czas na spakowanie wynosił, w zależności od decyzji nadzorującego przebieg deportacji, zwykle od 30 minut do ponad godziny. Gdy ktoś przygotowuje się do dalekiej podróży, zazwyczaj już na długo przed wyjazdem tworzy listę potrzebnych rzeczy, pakując najważniejsze oraz starając się nie zapomnieć o niczym, co będzie mu przydatne, gdy znajdzie się daleko od domu. Zesłańcy nie mieli takiej możliwości. Wydaje się, że wyobraźnia ludzi żyjących na co dzień spokojnie, w warunkach zewnętrznego pokoju i bezpieczeństwa, nie może nawet objąć emocji, jakich doświadczyli wtedy polscy zesłańcy: bo jak w kilkadziesiąt mi-

Modlitewnik wykonany na zeszaniu na płatach kory brzoźowej, ze zbiorów Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach



nut spakować to, co najważniejsze, gdy w sercu zaskoczenie i lęk, gdy ręce drżą, dzieci płaczą, gdy nie ma się nawet pełnej wiedzy o tym, dokąd się zmierza. Cały bagaż, który nie mógł przekroczyć 500 kg na rodzinę, sprowadzał się zwykle do ciepłej odzieży, bielizny, obuwia, pościeli, naczyń kuchennych i stołowych, żywności oraz drobnego sprzętu domowego.

Jednak pośród tych najpotrzebniejszych rzeczy zesłańcy pakowali również takie, które mogły się w ich sytuacji wydać na pozór mało użyteczne. Nie można ich było ani zjeść, gdy doskwierał głód, ani się nimi otulić, gdy dokuczał przyszywający chłód. Zaspokajały one jednak inną potrzebę, nie mniej istotną od potrzeb ciała – tę duchową. Mowa o dewocjonaljach (medalikach, świętych obrazach – małych lub ściennych, z wyobrażeniami Matki Boskiej lub Chrystusa, różańcach i figurach) oraz o książkach religijnych,



jakie zabierano ze sobą na zesłanie. Lektura wspomnień deportowanych przynosi wiele fragmentów na ten temat. Profesor Antoni Kuczyński przypomina, że w zasadzie instrukcje deportacyjne milczały o zakazach posiadania przedmiotów kultu religijnego, pewne jest jednak, że nie wolno było zabierać książek, chociaż i te, obok książeczek do nabożeństwa, przebyły nieraz długą drogę na zesłanie i były potem używane do nauki czytania i podstawowej edukacji.

Z ukrytym różańcem

Genowefa Kisielewska, zesłana do Związku Sowieckiego, pisała: „zabieraliśmy krzyż, obrazek Matki Bożej, różaniec i wodę święconą. Zabieraliśmy wszystko to, co było w tej chwili najważniejsze i możliwe do uniesienia [...]. Wierzyliśmy, że wiara pomoże nam przetrwać. To wszystko bardzo starannie chowaliśmy, żeby

nam strażnicy i ci, którzy nas pilnowali, nie zabrali. To była nasza świętość, ceniliśmy te krzyżyki jak własne życie, a zdarzało się, że nas bili za te rzeczy. Ale nikt nie myślał im oddawać. Wiedzieliśmy, że oni by to wszystko zniszczyli, a tym samym naszą nadzieję, religię i Polskę”.

To, czy udało się komuś zabrać ze sobą jakieś rzeczy o znaczeniu religijnym, zależało w dużej mierze od dobrej woli nadzorujących wywózkę. „Oprawcy – jak relacjonował Henryk Kuczyński – nadzorowali pakowanie rzeczy do węzełków, odrzucali niepotrzebne ich zdaniem przedmioty. Mama uprosiła, żeby pozwolili jej zabrać książeczki do nabożeństwa oraz obraz Matki Boskiej”. Inni wspominali, że „w tym urągającym ludzkiej godności zamieszaniu zdarzały się odruchy człowieczeństwa ze strony nadzorujących [...]. Jedna z sybiraczek wspominała, że gdy chciała zdjąć ze ściany obraz z wizerunkiem Matki Boskiej, by go zabrać ze sobą, nadzorujący rewizję nie pozwolił tego uczynić. Ale zaraz potem jeden z jego podkomendnych, gdy zobaczył leżący na stole różaniec, wskazując nań dyskretnie, powiedział: «weź to, bo i na nim można się modlić»”. Niestety nie wszyscy mieli tyle szczęścia – jedna z Polek opowiadała, że kiedy chcąc zdjąć ze ściany święty obraz, stanęła na krześle, została uderzona, a spadłszy, złamała sobie nogę. W takim stanie została przewieziona na stację kolejową. Czasem nadzorujący sami niszczyli znalezione wśród pakunków rzeczy związane z kultem oraz zdejmowali obrazy ze ścian, rzucając w ich kierunku obelgi.

Pod opieką Matki Boskiej

Ze względu na zróżnicowane postawy oficerów trudno dokładnie określić jak wielki był procent tych, którym udało się zabrać ze sobą jakąś rzecz związaną z wyznawaną wiarą. Jeden z deportowanych napisał nawet, iż „każda rodzina [...] przywiozła ze sobą i strzegła jak najświętszej rzeczy wizerunku Matki Boskiej [...]. Nikt w tej panice kilkunastu minut, jakie Sowieci dawali na przygotowanie się do wyjazdu, nie zapomniał o Matce Boskiej, można było nie wziąć odzienia, żywności, pierwszą rzeczą po którą sięgali matki był ten święty obraz”. Jakkolwiek – jak komentował Stanisław Ciesielski – ostatnie zdanie jest zapewne przesadną i zbyt daleko idącą generalizacją, to jednak z analizy licznych relacji wynika, że tego rodzaju postawy występowały i rzeczy

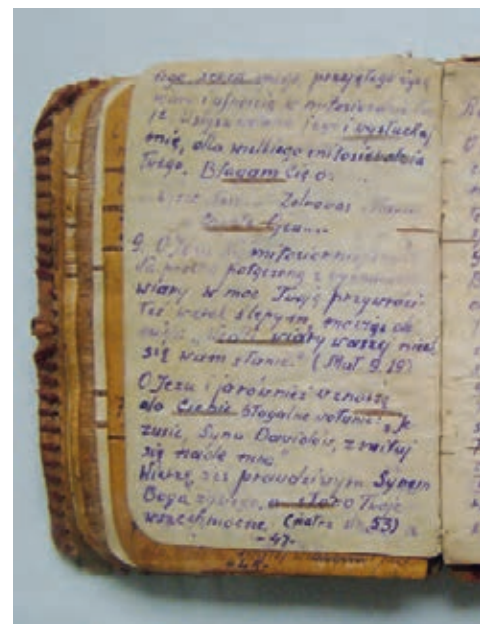
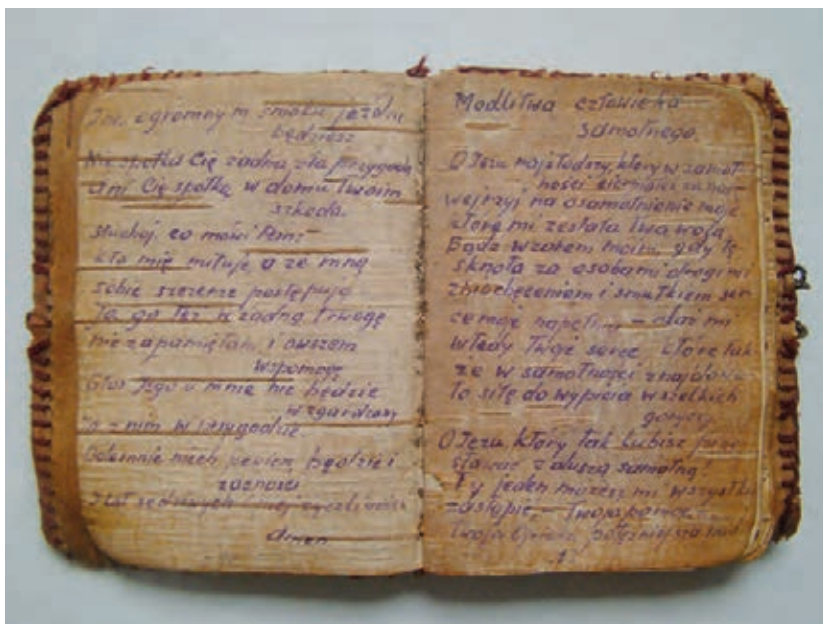


Wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej w ramce z blachy mosiężnej, zabrany na zesłanie przez rodzinę Młynarz z majątku Dobra Wólka

rozlokowani: „Nad pryczą został natychmiast umieszczony obraz święty i krzyż przywieziony z Polski. Każdego dnia przed spaniem kłękaliśmy wokół naszej pryczy, by wspólnie odmawiać modlitwę wieczorną kończąc słowami: «chroń mnie, dobry Boże, gdy się spać położę, daj mi powstać zdrowo, chwalić Cię na nowo»”. Umieszczane krzyże i obrazy były zwykle jednym z pierwszych źródeł konfliktów Polaków z władzami. Potwierdza to Stanisław Paluch, skierowany do obwodu archangielskiego: „komendant [...] zaraz po naszym przyjeździe, wszedł do zajmowanej przez nas części baraku i stanowczo kazał zdjąć krzyż i obrazek Matki Boskiej, które mama powiesiła na ścianie. Rodzice na to odrzekli, że nikt tych relikwii nie zdejmie, bo to jest nasza jedyna świętość w tym miejscu. Jeżeli natomiast on się Boga nie boi i nie ma w sercu nawet odrobiny litości czy współczucia, to niech sam to uczyni. Nie zrobił tego jednak. Zdenerwowany, wychodząc ze złością krzyknął: «Duraki!». Bywało, że z biegiem lat nawet obrazy, przytwierdzone do ścian w czasie pierwszych dni na sowieckiej ziemi, nosiły ślady niesprzyjającego rosyjskiego klimatu, dzieląc w pewnym sensie los tych, którzy się do nich modlili: „Do coraz bardziej matowiejącego od wilgoci obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej szły nasze wieczorne modlitwy. W psalm *Kto się w opiekę odda Panu swemu* wkładaliśmy wszystkie nasze żarliwe nadzieje i wiarę w odmianę losu”.

związane z kultem zabierano ze sobą, może nie koniecznie w pierwszej kolejności, ale często.

Spakowane dewocjonalia służyły Polakom również na zsyłce, zwłaszcza w miejscach, gdzie przez cały czas jej trwania nie dotarł żaden z polskich księży i gdzie świeccy sami stawali się organizatorami życia religijnego. Przywiezione ze sobą rzeczy, jak wspominał Bolesław Jaśkiewicz, umieszczano już od początku pobytu w miejscach, w których deportowani zostali



Modlitewnik na brzozej korze

Gdy brakowało religijnych książek, zesłańcy tworzyli je sami. Ewenementem jest modlitewnik zrobiony własnoręcznie przez jednego z deportowanych Polaków, do którego za karty posłużyły płyty brzozej kory. W tej szczególnej „książce” autor spisywał słowa pieśni, litanii, zapamiętanych hymnów oraz modlitw. Co ciekawe, modlitewniki tworzone na papierze, jak i w ogóle pamiętniki spisywane bezpośrednio na zsyłce, należą do rzadkości m.in. z tego powodu, że w Związku Sowieckim stale brakowało papieru, gdyż w dobie wojny produkowali oni rzeczy bardziej „potrzebne”, jak czołgi i broń. Nawet instytucje państwowe i samorządowe borykały się brakiem czystego papieru. W tej sytuacji zesłańcy znajdowali własne sposoby na to, by modlitewniki oraz inne dewocjonaalia samodzielnie wykonać.

Faktem jest, że nawet gdy brakowało obrazów, modlitwa zesłańców nie ustawała. Potwierdza to w swoich wspomnieniach Jerzy Groblewski, zesłany jako mały chłopiec: „Kłęczymy zwykle na wprost ściany, na której powinien wisieć święty obraz, ale nie wisi, bo go nie mamy. Mamusia ma oczy utkwione w górną część ściany, ale nie patrzy na nią, tylko o jakiś metr dalej. Jak gdyby tam właśnie siedział Pan Jezus i Matka Boska i zastanawiali się jak nas uratować”. Taka modlitwa była dla dzieci świadectwem wiary i skłaniała je do własnej refleksji: „Myślę nieraz czy Pan Bóg – rozważał w kontekście patrzenia na modlitwę

matki – czy Pan Bóg ma tyle czasu, aby rozpatrywać wszystkie prośby biednych ludzi, ale taka modlitwa zawsze nam pomaga, wstajemy z kolan z ulgą na sercu, a najbliższe dni zawsze przynoszą jakąś, choć najmniejszą, poprawę na lepsze”.

Wiara zesłańców, częstokroć niełatwa, pełna wątpliwości i pytań stawianych Bogu w obliczu doznawanych cierpień, była karmiona modlitwą opierającą się również m.in. na tekstach religijnych książek bądź pamiętkach zabranych w tajemnicy podczas dramatycznych chwil deportacji. Pamiętek tych pieczętowanie strzeżono, bo nie tylko stanowiły one wspomnienie po opuszczonym domu i po dawnym życiu, nie tylko dlatego, że były namiastką utraconej wówczas normalności i wolności, ale także dlatego, że były rzeczami, które w ciemności zesłania pomagały wykrzesać w sercach promyk nadziei. Ostatecznie zawsze pozostawało serce, które podpowiadało, jak pisał Edward Toczek, „co należy do Boga mówić”.

Dr Joanna Pakuza,
Katowice



Francuz w sowieckim obozie

Pierre Billotte, francuski wojskowy, w latach II wojny światowej uciekł z niewoli niemieckiej, po czym został internowany przez władze sowieckie. Od początku aktywnie walczył o uwolnienie: dyskutował z funkcjonariuszami NKWD, tłumaczył, domagał się pomocy w dotarciu do Charlesa de Gaulle'a, pisał listy do Stalina i Mołotowa. Postawił na swoim.



Fot.: Karolina Mostej-Zambrano



Grupa jeńców francuskich uwolnionych z sowieckich łagrów na pokładzie statku „Empress of Canada”, Pierre Billotte w środku z przodu, 1941 rok

W obozach GUŁag-u przetrzymywano nie tylko Polaków i Rosjan – nie brakowało w nich także obywatele Europy Zachodniej, choć nie było ich aż tak wielu, jak tych pierwszych. Jednym z więźniów był Pierre Billotte – wysokiej rangi francuski wojskowy, po zakończeniu II wojny światowej m.in. minister obrony narodowej Francji i mer miasta Créteil. W 1940 roku, w czasie kampanii francuskiej, miał 34 lata i stopień kapitana. W czerwcu trafił do niewoli niemieckiej i został osadzony w obozie jenieckim na Pomorzu. Na początku 1941 roku udało mu się uciec wraz z dwoma towarzyszami i przedostać na okupowaną przez ZSRS Litwę. Chcieli skontaktować się z ambasadą Wielkiej Brytanii, a za jej pośrednictwem z Wolną Francją – utworzonym w Londynie ruchem skupionym wokół gen. Charlesa de Gaulle’a.

Schwytani

Dobra passa trójki uciekinierów nie trwała zbyt długo. W miasteczku Wierzbołów (Virbalis) otoczyła ich chmara uzbrojonych „narciarzy niewielkiego wzrostu”, przypominających bardziej „Mongołów czy Tatarów ze Złotej Ordy” niż Litwinów. Próby porozumienia się z nimi spęły na ni-

czym – trzymani na muszce Francuzi potrafili powiedzieć niewiele więcej niż tylko: „Towaryszcz!” i „Ja was liubliu!” Przybycie dowódcy oddziału także nie pomogło – postugiwał się tylko językiem rosyjskim.

W efekcie Billotte i jego towarzysze w asyście „narciarzy” zostali zaprowadzeni do więzienia. Tam niemieckojęzyczny tłumacz przeproszał ich w imieniu władz za nietypowe lokum, tłumacząc to brakiem innych miejsc, w których „goście” mogliby się zatrzymać. Francuzów ucieszyła wieść, że wkrótce pojedą do Kowna – pierwszego miejsca w drodze do Moskwy. Owszem, wyjechali, pod silną eskortą, czego nie mogli zrozumieć, tak samo jak tego, że przez Kowno tylko przejechali, aby zatrzymać się w Taurogach. Tam po pierwszym przesłuchaniu trafili do celi, w której osadzeni byli pospolici przestępcy.

Następnego dnia Billotte stanął przed trzema oficerami NKWD i mówiącą po angielsku tłumaczką. Dowiedział się, że wybrano go, gdyż był najwyższy stopniem („Ciekawy szacunek dla hierarchii w społeczeństwie, które wydawało mi się bardziej egalitarne” – komentował po latach). Wypytywano go o ucieczkę z obozu, a także jego opinię o Armii Czerwonej. Dowiedział się, że on

i jego koledzy nie byli pierwszymi Francuzami, którzy uciekli z obozu niemieckiego i dotarli na Litwę; że rząd sowiecki, ze względu na możliwość szpiegostwa, musi podejmować odpowiednie środki ostrożności i że jutro zostaną przewiezieni do Moskwy. Po spotkaniu Billotte był w dobrym nastroju, przekonany, że jego historia brzmiała wiarygodnie i że przedstawiciele NKWD są tego samego zdania.

W kowieńskim więzieniu

Tymczasem następnego dnia, ku zdziwieniu Billotte'a, uciekinierów przewieziono do Kowna.

Pierwszą dobę spędzili razem, w ciasnej celi, śpiąc na podłodze, ściśnięci, żeby się ogrzać. Później Billotte'a zabrano do sąsiedniego pomieszczenia. Został wypytany o tożsamość, zrewidowany, odebrano mu osobiste rzeczy. Trafił do małej, źle oświetlonej celi z kilkoma pryzkami. W kącie stali trzej mężczyźni w więziennych strojach, z ogolonymi głowami. Billotte zaczął do nich mówić: parę słów po polsku, potem przeszedł na niemiecki, na angielski, w końcu – na francuski. Mężczyźni milczeli. W końcu jeden z nich przemówił doskonałym francuskim. Był to Augustinas Woldemaras – w okresie międzywo-



Mapę wykonał Piotr Poptawski

jennym dwukrotny premier Litwy. Dwaj pozostali to były przewodniczący Izby Deputowanych oraz szef generalny policji.

W ciągu najbliższych dni Billotte był kilkakrotnie przesłuchiwany. Za każdym razem późnym wieczorem lub nocą. Wypytywano go o ucieczkę z obozu. Dowiedział się, że przekroczenie granicy bez paszportu i wizy to przestępstwo. Wracił do celi nad ranem, a w dzień zabraniano mu spać, aby wieczorem ponownie przesłuchiwać. Enkawudziści się zmieniali, podobnie jak sposób przesłuchania – raz podawano mu kolację i opowiadano, że jest bohaterem, innym razem straszono rewolwerami i grożono karą za szpiegostwo. Oskarżenia początkowo Billotte’a śmieszyły, jednak stan rozbawienia minął, kiedy dowiedział się, że o ile nie zdoła udowodnić swej niewinności, czeka go kara śmierci.

W ciągu kolejnych dni obserwował swoich towarzyszy z celi, którzy byli wzywani na przesłuchania i wracali z nich w straszliwym stanie. Później przenoszono go do innych pomieszczeń, z innymi więźniami. Mocno schudł, na siłę ogolono mu głowę. W czasie przesłuchań powtarzał konsekwentnie to samo, więc enkawudziści uznali, że to podejrzane i że recytuje to, czego nauczył się na pamięć. Któregoś dnia przewieziono go do siedziby NKWD, gdzie domagano się, aby przyznał się do szpiegostwa, a w końcu poinformowano go, że zarzut ten nie został podtrzymany. Wrócił do więzienia, ale warunki, w jakich przebywał, poprawiły się. Dostawał lepsze pożywienie, zaczął nabierać sił, dwukrotnie był przyjęty w dowództwie Armii Czerwonej, gdzie rozmawiał na temat batalii francuskiej i możliwości jego rozwoju sytuacji na froncie.

Obóz pod Kozielskiem

Na początku kwietnia nastąpił długo oczekiwany wyjazd do Moskwy. Do Billotte’a dołączyli jego towarzysze. Wszyscy trzej byli wychudzeni, mieli siwe włosy i głębokie zmarszczki. Najpierw pociągiem dojechali do Mińska. Na dworcu, w ogromnym rozgardiaszu, strażnicy próbowali zapanować nad nowo przybyłymi. Okazało się, że Billotte’a nie ma na żadnej liście podróżnych, podczas gdy jego towarzysze na niej figurowali. Mimo nalegań strażników, którzy kazali mu iść, dokąd chce, Billotte przyłączył się do kolegów. Dalszą podróż odbywali w pociągu pasażerskim. Byli pewni, że dotrą do Moskwy, tymcza-

sem wysadzono ich w Smoleńsku. Kolejny etap podróży – i Francuzi wysiedli na małym dworcu w Kozielsku. Autobus przewiózł ich do następnego miejsca. Po drodze minęli obóz, w którym osadzeni byli polscy oficerowie. Francuzi wysiedli w pobliżu: Billotte zobaczył duży budynek z początku wieku, otoczony ogrodzeniem z drutu kolczastego. W pobliżu – liczne pawilony. Ku ich osłupieniu, w obozie powitało ich z entuzjazmem kilkudziesięciu Francuzów, Anglików i Belgów, którzy uciekli z obozów niemieckich.

Billotte szybko przejął swego rodzaju zarządzanie obozem. Sowiecki *naczelnik* nie oponował – cieszył się, że na podległym mu terenie panuje porządek (jak wspominał Billotte, „miał dużo roboty z Polakami”). Zaczęto organizować spotkania i pogadanki, przygotowywano program artystyczny, urządzono tereny sportowe. Do obozu wciąż dołączały nowe osoby, wkrótce było w nim prawie dwustu więźniów.

Billotte rozpoczął też działania na rzecz uwolnienia. Przy pomocy innych internowanych zaczął pisać listy do członków rządu sowieckiego, także do samego Józefa Stalina i ministra Wiaczesława Mołotowa. Listy zapewniły mu szacunek ze strony obozowych władz – nikomu bowiem nie przyszłoby do głowy, aby zwracać się do Stalina w jakiegokolwiek sprawie. Żadnej odpowiedzi z Moskwy jednak nie było. Billotte wpadł więc na pomysł, aby wysłać do ambasady brytyjskiej w Moskwie specjalną ekipę. Uznał, że ponowna ucieczka i pokonanie 300 km to igraszka dla ludzi, którzy stali się niemal profesjonalistami, jeśli chodzi o ucieczki. Chętnych też nie brakowało. Spiskowcy zaczęli nawet kopać tunel. Niestety – zadenuncjował ich osadzony w obozie Anglik. Władze obozu się wściekły, ale spiskowcom nic się nie stało. Zgodzono się nawet odwołać w sprawie internowanych do władz w Moskwie.

W Wołodzie

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy francuskich żołnierzy, gdyby nie zmiana sytuacji międzynarodowej. 22 czerwca 1941 roku Niemcy napadły na Związek Sowiecki. Cały obóz został ewakuowany. Przejeżdżając przez sąsiedni, „polski obóz”, Billotte zauważył, że nikogo w nim nie ma. Dziwnie się czuł – dobrze pamiętał, że Polacy niepokoiili się o swój los.

Internowani przejechali przez Moskwę. Przyglądali się miastu przez ułamane okiennice po-

dziwiając architekturę, dzwonnice, sylwetkę Kremla. Obserwowali pociągi wojskowe, które wiozły czotgi i inny sprzęt wojskowy. Minęli Jarosław nad Wołgą i dotarli do Wołogdy – kolejnego miejsca przeznaczenia. I znowu ogrodzenie z drutu kolczastego odgradzało ich od obozu polskiego. Mimo to, natychmiast nawiązali relacje z Polakami i rozmawiali z nimi mimo krzyków i gróźb wartowników. Dowódca „polskiego obozu” mówił mu o porozumieniu między Stalinem a Władysławem Sikorskim i planowanym utworzeniu Armii Andersa. Billotte wypytywał go, czy wie coś na temat Polaków z Katynia, ale męż-

Klasztor w Kozielsku (w latach 1939-1941 część obozu jenieckiego), przed 1917 rokiem



czynna nie miał żadnych wiadomości. Rozmowę przerwały ostrzegawcze strzały nad ich głowami. „Nasi cholerni alianci” – zauważył Polak.

W tym czasie nie było już z nimi Anglików, których odłączono od całej grupy podczas postoju w Moskwie. Billotte przygotował listę z nazwiskami Francuzów, którzy chcieli dołączyć do de Gaulle’a (była to większość internowanych) i prosił, aby dowódca angielskiej grupy dostarczył tę listę swojemu ambasadorowi. On z kolei

miał ją przekazać szefowi Wolnej Francji - gen. de Gaulle’owi.

Aby uniemożliwić kontakty między swoimi zachodnimi aliantami przetrzymywanymi w Wołogdzie, Sowieci umieścili ich kilkaset metrów dalej, w innym obozie, gdzie Francuzi zajęci byli głównie walką z plagą komarów. Billotte znowu zaczął pisać listy do Moskwy. Miał nadzieję, że *naczelnik* w Wołogdzie będzie bardziej skuteczny niż ten z Kozielska. Billotte’a wspierało w tej pracy wielu oficerów. Każdego dnia znajdowali nowe argumenty na rzecz ich uwolnienia, które wydawały im się bardziej trafne niż poprzednie. Pytali nawet, czy będącemu w stanie wojny Związkowi Sowieckiemu naprawdę opłaca się utrzymywać tylu więźniów? Akurat na to pytanie *naczelnik* odpowiedział z wyższością i dumą, że Związek Sowiecki jest na tyle bogaty i potężny, aby móc pozwolić sobie utrzymywać tyle obozów, ile chce, a w nich tylu więźniów, ilu trzeba.

Z Moskwy do Anglii

6 sierpnia Billotte’a wezwał *naczelnik*. Kazał mu przygotować się do wyjazdu do Moskwy. Kapitan miał jechać sam. Obóz opuścił w nocy. Na dworcu żegnał go *naczelnik* i tłumaczka, od której usłyszał na pożegnanie: „Niech żyje Francja!” W pociągu towarzyszyło mu sześciu uzbrojonych policjantów – jak się dowiedział tuż przed wyjazdem, dla jego własnego bezpieczeństwa, gdyż teraz jest on ważną osobistością.

Do Moskwy przybył następnego dnia. Kiedy wyszedł przed budynek dworca, rozległ się alarm przeciwlotniczy. Wszyscy uciekli. Billotte, siedząc oparty o latarnię uliczną, obserwował, co się dzieje. Po paru godzinach alarm odwołano i znów znaleźli się przy nim ochroniarze. Nadjechała limuzyna, w niej dwóch mężczyzn – jeden powitał go w imieniu Mołotowa, drugi – w imieniu Stalina. Obaj mieli być do dyspozycji Billotte’a podczas jego pobytu w Moskwie. Jak wspominał, w ciągu kilku sekund z pozycji więźnia przeszedł do pozycji honorowego gościa rządu sowieckiego. Został zakwaterowany w hotelu Metropol, gdzie dostał obszerny apartament. W prywatnej jadalni czekał na niego posiłek, także francuski szampan. Do stołu zasiadł razem z nowymi kompanami. Jeden z nich mówił płynnie po francusku (był kiedyś na placówce we Francji) i wypytywał o nowości z Paryża – zupełnie tak, jakby Billotte przybył prosto stamtąd.



Gen. Pierre Billotte,
Izrael, 1957 rok



Następnego dnia Billotte został zapoznany z sytuacją na froncie. Był zaskoczony postępami wojsk niemieckich. Potem udał się do ambasady brytyjskiej. Podczas rozmowy z ambasadorem Staffordem Crippsem i gen. Masonem Mac Far-

lanem (właśc. Noel Mason-MacFarlane) ustalono, że w końcu miesiąca dotrze drogą morską do Szkocji. Ale nie sam – Billotte od początku, już w trakcie rozmów z Sowietami, stawiał sprawę jasno: razem z nim mają jechać Francuzi przetrzymywani w Wołogdzie.

22 sierpnia 1941 roku Billotte ponownie znalazł się w Wołogdzie. Jak się okazało, kilkaset metrów dalej znajdował się jeszcze jeden obóz: przebywało w nim 40 Francuzów, którzy natychmiast wyrazili chęć przyłączenia się do Wolnej Francji. Billotte zajął też do „swojego” obozu, wzbudzając ogromny entuzjazm wśród towarzyszy. Tydzień później wraz z grupą oficerów angielskich odleciał do Archangielska. Tam wszedł na pokład statku „Empress of Canada”. Kilka godzin później dołączyło do niego 186 przetrzymywanych w Wołogdzie uciekinierów z obozów niemieckich, którzy postanowili dołączyć do Wolnej Francji. Z Archangielska, poprzez Spitsbergen, popłynęli do Wielkiej Brytanii. 9 września dotarli na miejsce. Byli wolni.

Anna Pyżewska

Na podst. książki: Pierre Billotte, *Les temps des armes*, Paris 1972.

Sprawy ojca Krzysztofa

Byliśmy w syberyjskim Białymstoku

Ojciec Krzysztof z grubsza przeciera z kurzu deskę rozdzielczą wielkiego pick-upa tak, jakby chciał w ten sposób usprawiedliwić się przed nami, że nie miał czasu go posprzątać. Ale ojciec Krzysztof najwyraźniej nigdy nie ma czasu na drobiazgi. Ma go natomiast mnóstwo dla każdego, kto jest w potrzebie.



Dom Chaniewiczów,
Białystok (Syberia), 2019 rok,
fot.: Marcin Zwolski

Na podróż do syberyjskiego Białegostoku, gdzie ojciec Krzysztof odbudowuje spalony przed dwoma laty kościół, umawia nas Wasyl Chaniewicz, Polak, który już na początku lat dziewięćdziesiątych opisał tragiczną historię tej wsi, założonej na przełomie XIX i XX wieku przez emigrantów z okolic Grodna i doświadczonych sowieckimi represjami w latach trzydziestych. Wasyl jest przybity – w nocy zmarł jego 89-letni ojciec, Antoni Chaniewicz, najstarszy mieszka-

niec Białegostoku. Przyjemnej, sentymentalnej podróży do rodzinnej wsi nie będzie. Trzeba przygotować pochówek: zajechać po drodze do Kriwoszejna, kupić w tamtejszym zakładzie pogrzebowym dwa wieńce, obstalować metalowy nagrobek z obramowaniem i przykręcanym katolickim krzyżykiem, umówić grabarzy. W Białymstoku, w rodzinnym domu, Wasyl musi znaleźć dokumenty ojca i jego zdjęcie, które znajdzie się na nagrobku. Czasu jest mało, pogrzeb już jutro.

Wasyl Chaniewicz prezentuje zdjęcie swoich rodziców, Białystok (Syberia), 2019 rok, fot.: Marcin Zwolski



Ojciec Krzysztof lubi biegać, choć pierwszy maraton przebiegł dopiero po pięćdziesiątce. Zatrzymuje się tylko wtedy, gdy rozmawia z drugim człowiekiem. Wówczas jest skupiony i zasłuchany. Kiedy kończy rozmowę z Wasylem, zapewnia krótko: Tatę pochowamy. I natychmiast biegnie dalej, by rozwiązać kolejny problem. Zanim na dobre ruszymy z Tomśka, załatwia pieniądze na zakup krowy dla jednego z najbiedniejszych mieszkańców Białegostoku. Zwierzę poprawi los całej rodziny.

Do pokonania mamy ponad dwieście kilometrów. Pierwsza rzecz w trasie to modlitwa. Odmawiamy różaniec za zmarłego. Dopiero potem rozmawiamy. Również o Białymstoku, tym naszym, w którym ojciec Krzysztof się urodził. Jego okolica to Dojlidy Górne, parafia Niepokalanego Serca Maryi, gdzie w końcu lat osiemdziesiątych posługę pełnił śp. ks. Stanisław Suhowolec. Od czterech lat ojciec Krzysztof pracuje w Tomsku. Wcześniej, od 1997 roku pracował w Kazachstanie i Kirgistanie, więc wschodnie realia zdążył dobrze poznać.

Krajobraz w trasie nie zaskakuje. Jest prawie tak, jak u nas, w Polsce: brzozy, sosny, świerki. Tylko cedrów u nas nie ma, burunduków czyli syberyjskich, pasiastych wiewiórek, pięćdziesięciostopniowych mrozów, śniegu padającego tygodniami bez przerwy i opowieści o niedźwiedziach – „szatanach”, które wybudzone z zimowego snu, grasują rozwścieczone po wsiach. Dzieci z syberyjskiego Białegostoku modlą się, żeby nie przyszły do nich, choć wiedzą, że jedynym „ziemskim” sposobem na ratunek przed atakiem jest celny strzał ze sztucera.

W Kriwoszejnie sprawy załatwiamy szybko. „Zakład rytualnych usług” znajduje się między murowanym, monumentalnym budynkiem powiatowego „uprawlenija” (zarządu), a ozdobionym czerwoną gwiazdą pomnikiem ofiar wojny. Ojciec Krzysztof rozmawia z kilkuletnim malcem, synkiem właściciela zakładu, który wypytuje o moc silnika pick-upa i osiągi maszyny. Dla malca liczy się prędkość. 150 koni mechanicznych nie robi na nim wrażenia, podobnie jak przestroga przed wypadkami.

Wkrótce wjeżdżamy do Białegostoku. Wieś jest rozrzucona na kilku pagórkach, jakby przyczajona, niepozorna. Domki bardzo skromne, kolorowe: zielono-błękitne, albo niemalowane, poszarzałe od słońca. Po lewej na górze błyszczą na tle



nieba bryła kościoła oświetlona pomarańczowym, popołudniowym światłem. „Atiec Krzysztof!, Atiec Krzysztof!” – wołają jedna przez drugą albo chórem trzy małe blondyneczki. Po polsku wprawdzie nie rozumieją, ale chwają się: „My kriestianki!” „Ja katoliczka, a ona prawosławna” – mówi jedna, pokazując z dumą krzyżyk na szyi.

Kościół w budowie,
Białystok (Syberia), 2019 rok,
fot.: Marcin Zwolski



Kościół w budowie,
Białystok (Syberia), 2019 rok,
fot.: Marcin Zwolski

O dramacie, który przed dwoma laty dotknął wieś świadczy dziś tylko osmalony, metalowy krzyż stojący pod przykościelną brzozą i zarys fundamentów starej świątyni. Nowa jest mniej-

sza, ale jest! Wieść o spaleniu białostockiego kościoła pw. św. Antoniego rozeszła się szerokim echem w Polsce. W pomoc w zbiorce pieniędzy na jego odbudowę zaangażowały się mocno władze miasta Białystok. Także Muzeum Pamięci Sybiru poczytało sobie za punkt honoru pomoc w tej sprawie. Dziś stoimy przed prawie gotową bryłą nowego kościoła z odrobiną satysfakcji, że powstała również dzięki Muzeum. Trzeba jeszcze dokończyć wieżę, wyposażyć wnętrze, zawiesić dzwon. Plan na konsekrację świątyni – 13 czerwca przyszłego roku, kiedy to przypada doroczne wspomnienie św. Antoniego Padewskiego. A pieniędzy udało się zebrać tyle, że wystarczy chyba jeszcze na budowę małego boiska sportowego!

Ale nie ma co tracić czasu. Ojciec Krzysztof zakłada stare dżinsy i bierze się do pracy. Również i my zakasujemy rękawy. Pomagamy rozładować ciężarówkę, która przyjechała z Tomsku przed nami: metalowe rusztowania niebawem otoczą kościół, a używane biurka trafią do białostockich dzieci. W ten sposób dokładamy jeszcze jedną małą „cegiełkę” do odbudowy kościoła. Po chwili kapłan zostawia nas i rusza do wsi, by odwiedzić potrzebujących.

Zapada zmrok, a nad Białymstokiem rozpętuje się syberyjska burza. Błyskawice co chwila rozświetlają nieboskłon. Drewniane domki jakby jeszcze bardziej kulą się ze strachu przed ogniem, a my razem z nimi. Po godzinie już tylko kałuże przypominają o ulewie. Odbijające się w nich gwiazdy pogodnego, nocnego nieba i ciepło wieczoru są takie same jak u nas, w Polsce. Ale przecież ten Białystok to też kawałek Polski...

Wracając zajeżdżamy do przydrożnej kaplicy, w której odpoczywamy chwilę. Ojciec Krzysztof zalewa wrzątkiem zupkę z torebki. Zanim zje, udziela wywiadu. W tym czasie zupa się dogotuje, bo – jak się okazuje – tak od razu zjeść jej się nie da. Po zupie szybka kawa i w drogę do Tomsku. Przez Syberię, nocą, po burzy...

Dr Tomasz Danilecki



Zo. Krzysztofem Korolczukiem, jezuitą, pracującym od czterech lat w Tomsku i oblasti tomskiej, Białostoczaninem z Dojlid Górnych, rozmawiamy w kaplicy katolickiej w miejscowości Kriwoszejno, w drodze z syberyjskiego Białegostoku, w którym o. Krzysztof odbudowuje spalony kościół.

T. Danilecki - 19 kwietnia 2017 roku kościół w syberyjskim Białymstoku spłonął. Jak ojciec zapamiętał ten moment?

o. K. Korolczuk - To było trzy dni po Wielkanocy. O godzinie 6 rano obudził mnie telefon jednej z naszych parafianek. Powiedziała, że kościół się spalił. Akurat mieliśmy chrzcic jej najmłodsze dziecko – Violetkę, ale zachorowała. Przyje-

chaliśmy tam około południa z Panem Wasylem Chaniewiczem. Widok pogorzelniska, miejscami jeszcze dymiącego, był straszny. To zdarzenie bardzo poruszyło mieszkańców. Starsi ludzie wspominali dawny kościół. Mówili: To za nasze grzechy, za to, że kiedyś był klub w kościele. Ja byłem też dwukrotnie przesłuchiwany przez policję, wypytywany przez straż pożarną. Tego już nie cofniemy. Ale na popiele też może się coś rodzić.

- No właśnie! Dzisiaj widzieliśmy kościół, który przywraca nadzieję! Jak to się stało, że jego budowa jest aż tak zaawansowana?

- Kościółek jest mały, drewniany, bo to ważne, żeby pachniał tajgą. Pierwszy kościół zbudowany przez ludzi, którzy tu przybyli żeby stworzyć swo-

Ojciec Krzysztof Korolczuk i Wasyl Chaniewicz przy pracy wewnątrz kościoła, Białystok (Syberia), 2019 rok, fot.: Marcin Zwolski

ją nową ojczyznę, też był drewniany. Na początku nasze plany odbudowy były wielkie. Miał być kościół z cegły, murowany, większy. Ale finansowo nie dawaliśmy rady. Rok temu powstał drugi projekt, ale też nie było wówczas wystarczającej ilości pieniędzy na jego realizację. W końcu zdecydowaliśmy się na kościółek z drewna, żeby można było go szybko zbudować. Jeśli buduje się dom z surowego drewna, to on osiada. Dlatego ten budynek powstaje z „klejonego brusa” – z bali wykonanych z wysuszonych i sklejonych desek. Taki budynek nie ma „osadki”, nie osiada, można od razu wstawiać okna i od razu jest gotowy do użytku. Dom z normalnego świeżego „brusa” buduje się dwa lata. Potem trzeba go oszalać i wykończyć wewnątrz. W przypadku domu z „klejonego brusa” nie trzeba nic specjalnego robić w środku, a na zewnątrz wystarczy tylko zakonserwować, pomalować.

- Czy byliście od początku pewni, że trzeba ten kościół odbudować, czy też może były jakieś wątpliwości?

- Rozmawialiśmy o tym z tomskim proboszczem o. Stefanem Lipke, z przełożonym wspólnoty jezuitów w Tomsku o. Wojciechem Ziółkiem, potem też z naszym biskupem i było oczywiste, że musi na tym miejscu coś powstać. Nie było nawet takiego przypuszczenia, że tam już nic nie będzie. Od razu w Polsce wspierała nas Pani Agnieszka Kaniewska, która kilka lat spędziła w Tomsku i bardzo często odwiedzała Białystok.

- U nas w Polsce, w samym Białymstoku o tej sprawie było bardzo głośno. Rozpisywały się o niej media. Ludzie zbierali pieniądze. Jakos się udało kościół odbudować!

- Pieniądze przesyłano z Białegostoku, również z innych części Polski. Mieszkańcy Tomska szczególnie Ci, którzy mieli swoje korzenie w syberyjskim Białymstoku przekazywali pieniądze. One płynęły praktycznie z całego świata. Jesteśmy bardzo wdzięczni wszystkim ofiarodawcom, także tym którzy wspierali nas modlitewnie i moralnie. Jeżeli zostaną pieniądze i miasto Białystok by pomogło, to można by zbudować ogrodzone boisko dla dzieci, taki „mini-orlik”, gdyż tu nie ma żadnego boiska. Rozmawiamy dziś w kaplicy w miejscowości Kriwoszejno, gdzie zbierają się miejscowi. Bardzo wielu z nich mieszkało kiedyś w Białymstoku. Dziś jest to zwykły budynek. Chcemy, żeby było widać, że to jest kaplica, jaką ją także oznaczyć.

- Paradoksalnie więc ten spalony, mały kościół w maleńkim Białymstoku połączył ludzi z całego świata! To jest jak cud...

- Tak. Na pewno odbudowa kościoła w jakiś sposób ożywiła tę małą wspólnotę. To nas wszystkich zbliżyło do siebie. W czerwcu, na świętego Antoniego było poświęcenie ziemi pod budowę kościoła. Na początku lipca zrobiliśmy fundamenty i od tej pory, z małymi przerwami, budowa trwa. Miejscowi nie mają pieniędzy, ale bardzo nam pomagają swoją pracą. Białystok był miejscem trochę zapomnianym przez ludzi wielkich, ale niezapomnianym przez Pana Boga. A teraz przyjeżdżają tu najróżniejsi. Byli na przykład wolontariusze - studenci z Gdańska, którzy pomagali organizować obóz dla dzieci w Białymstoku, później w sąsiedniej Malinowce. Wokół tej budowy organizuje się wspólnota wiernych. Niektórzy nawet czekają, żeby ochrzcić swoje dzieci czy wziąć ślub już w nowym kościele. Ten kościół to takie światełko, które pokazuje, że Białystok jeszcze nie umiera. To taki znak nadziei na przyszłość. Jest tu trudno z pracą, jedyna jest na fermie krów w sąsiedniej Pudowce. W piekarni pracują trzy czy cztery osoby. Przedszkole, klub i koniec. Młodzi ludzie wyjeżdżają, bo nie ma na miejscu pracy. Wszyscy mieszkańcy mają ogrody: sadzą warzywa, ziemniaki, ale nie mają pieniędzy.

- Trzeba więc im pomagać nie tylko duchowo, ale i materialnie?

- Mieszkańcy Białegostoku byli objęci akcją pomocową zorganizowaną przez Caritas z niemieckiego Osnabrück, polegającą na tym, że za przekazywane stamtąd pieniądze kupowane są krowy dla rodzin biednych, wielodzietnych, które ich nie mają. Dostają też na zimę siano. Warunek jest taki, że każde pierwsze cielątko, które się urodzi zostanie przekazane kolejnym ludziom, którzy go potrzebują.

- Kiedy zakończy się budowa kościoła?

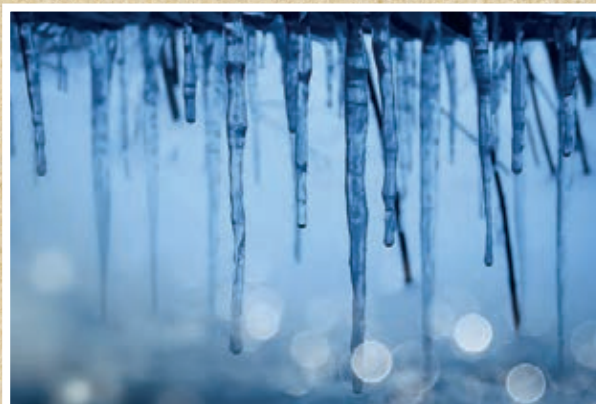
- W ciągu dwóch-trzech tygodni chcemy zrobić dach. Mam nadzieję, że do zimy będą drzwi i okna. Może uda się zrobić ogrzewanie podłogowe? Może Boże Narodzenie będzie już w nowym kościółku? Plany są takie, żeby w przyszłym roku, 13 czerwca, na świętego Antoniego wyświęcić kościół.

- Tego życzymy.

- Bóg zaptać!

Wizjoner z Zabłudowa

W Rosji piszą o nim książki, a w Polsce mało kto o nim słyszał. Tymczasem jego wizja połączenia kanałem rzek Ob i Jenisej, by dostarczyć niezbędne towary tysiącom kopaczy ogarniętych gorączką złota w Syberii Wschodniej była tak rewolucyjna, że władze uznały jej realizację za niemożliwą. Józef Adamowski, bo o nim mowa, przez pięć lat mierzył głębokość syberyjskich rzek, notował kiedy zamarzają i spływają z nich lody. Jego raport przekonał w końcu władze i mógł otworzyć przedsiębiorstwo żeglugi parowej. Jednak wizje Adamowskiego zrealizowali inni. On sam zaginął w tajdze w 1862 roku. Na Syberię trafił dwadzieścia lat wcześniej jako zesłaniec. Z zawodu był lekarzem, a urodził się w Zabłudowie.



Pierwszy honorowy obywatel Białegostoku?

Oficjalna lista honorowych obywateli Białegostoku liczy 17 osób, a tradycja takiego honorowania osób zasłużonych dla miasta powstała ponoć na początku XX wieku. Dlatego zdziwić się może

każdy czytelnik rosyjskiej Wikipedii, który przeczyta w niej biogram carskiego oficera Mikołaja Zoëge von Manteuffel, który wiosną 1863 roku tłumił Powstanie Styczniowe na Wileńszczyźnie i Grodzieńszczyźnie. W nagrodę otrzymał awans na pułkownika i stanowisko naczelnika miasta Białystok i powiatu białostockiego. To on jest odpowiedzialny za brutalną pacyfikację wsi Jaworówka. Za wykonanie tego zadania car miał nadać mu tytuł honorowego obywatela miasta. Dodajmy, że z inflanckiego rodu Manteuffel pochodzi też m.in. Ryszard Manteuffel-Szoëge, zesłany na Sybir za udział w... Powstaniu Styczniowym.

Święty Mikołaj i jego wioska na Monte Cassino...

Choć od tego kuriozalnego pomysłu minęły już prawie 4 lata, trzeba o nim przypominać ku przestrodze. Od 6 grudnia 2015 roku można było na Monte Cassino zwiedzić... wioskę Świętego Mikołaja. Wejście do niej znajdowało się tuż obok Polskiego Cmentarza Wojennego. Podczas budowy wioski wycięto drzewa, a na teren dawnych walk wjechały koparki. Stary kamieniołom, z którego pozyskiwano materiał na budowę nekropolii, został doszczętnie zniszczony, zaś tablica postawiona przez żołnierzy 2. Korpusu Polskiego w 1945 roku – uszkodzona. Centrum rozrywkowe zablokowało też dostęp do pomników 4. Pułku Pancernego „Skorpion” i 5. Kresowej Dywizji Piechoty. Dzięki zdecydowanej interwencji przede wszystkim włoskich środowisk polonijnych, już po kilku tygodniach wioskę zamknięto. Problem jednak pozostaje, bo teren jest dzierżawiony przez prywatnego przedsiębiorcę, który już myśli o wybudowaniu tam piwiarni i jadłodajni...



Z Syberii do Hollywood

W Internecie można znaleźć pewne zdjęcie. Zostało zrobione w 1877 roku. Nad wodą, wśród skał, widać 16 osób. Jedyna kobieta to Olga Jankowska, żona stojącego obok brodatego mężczyzny w kapeluszu i jasnej marynarce. To Michał Jankowski, urodzony w Złotorii koło Tykocina, uczestnik Powstania Styczniowego, zesłaniec syberyjski, a później myśliwy, przyrodnik, hodowca koni i jeleni na Sachalinie. Nieco z przodu, na kamieniu siedzi fiński wielorybnik Fridgold Gek. Kim jest ostatni z lewej, wąsaty mężczyzna siedzący na kamieniu? To Juliusz Brynner, dziadek gwiazdy Hollywood, Yula Brynnera, znanego m.in. z westernu „Siedmiu wspaniałych”. Pozostali to poszukiwacze złota. I nic w tym dziwnego, bo miejsce, w którym ich uwieczniono to złotonośna wyspa Askold na Morzu Japońskim.

HISTORIA PEWNEJ WALIZKI



W lutym 2019 r. Muzeum Pamięci Sybiru zakupiło na aukcji walizkę zesańca Mieczysława Zabierowskiego. Kilka miesięcy później z pracownikami Muzeum skontaktował się syn Pana Mieczysława – Andrzej. Informację o walizce otrzymał od znajomej z Białegostoku, która w jednej z lokalnych gazet przeczytała o nowym nabytku muzeum.

Mieczysław Zabierowski urodził się 7 marca 1918 roku w Stanisławowie, w rodzinie Stanisława i Klementyny Magrys. W 1939 roku pracował jako telemonter na poczcie, a następnie w węźle łączności PKP jako teletechnik. Po wybuchu wojny związał się z ruchem oporu i pod pseudonimem „Pluton”, a później „Mars”, działał w grupie sabotażowo-dywersyjnej, w której zajmował się zbieraniem informacji o ruchach transportów wojskowych, prowadził nasłuch radiowy, redagował krótkie biuletyny radiowe „ku pokrzepieniu serc”, szkolił

też grupę polskich dziewcząt w zakresie łączności radiowej i telegraficznej. W styczniu 1945 roku został aresztowany przez Sowietów i osadzony w więzieniu stanisławowskim, a następnie we lwowskich „Brygidkach”, gdzie był przestuchiwany i torturowany. Po latach pisał we wspomnieniach: „[...] nagle wpadło czterech rostrych »towarzyszy«. Kazano mi się rozebrać do samej tylko bielizny i zaczęli mnie »maglować«, bijąc w nerki i żołądek, bili we czterech jak w bokserki worek treningowy, a od każdego ciosu leciałem od jednego do drugiego oprawcy”.

Mieczysław Zabierowski,
1952 rok, ze zbiorów Andrzeja
Zabierowskiego



W sierpniu 1946 roku Zabierowski usłyszał wyrok: 7 lat katorżniczej pracy w dalekich rejonach ZSRS, a po ich odbyciu – 5 lat pozbawienia praw obywatelskich na warunkach zesłańca. Wyrok odbył w obozach Uchty i Workuty.

Surowa Workuta

Wkroczenie Sowietów w 1944 r. na ziemie polskie oznaczało falę kolejnych represji, aresztowań i wywózek w głąb ZSRS. Dotknęły one w szczególności Polaków walczących w szeregach Armii Krajowej i innych organizacji podziemnych. Wielu skazanych trafiło do łagrów workuckich położonych u podnóża Uralu, tuż za granicą koła polarnego, w republice Komi. Te surowe tereny, gdzie temperatury ujemne utrzymują się przez większą część roku, stały się miejscem docelowym dla setek tysięcy przedstawicieli różnych narodowości, głównie Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Niemców, Tatarów – i Polaków.

Historia łagrów regionu workuckiego sięga 1929 r. kiedy zaczęto tworzyć tam poprawcze obozy pracy, a więźniów traktować wyłącznie jako siłę roboczą, potrzebną do wydobywania węgla, ropy naftowej, surowców radioaktywnych, budowy kopalń i dróg, eksploatacji lasów. W 1938 r. wprowadzono „specjalizację” łagrów,

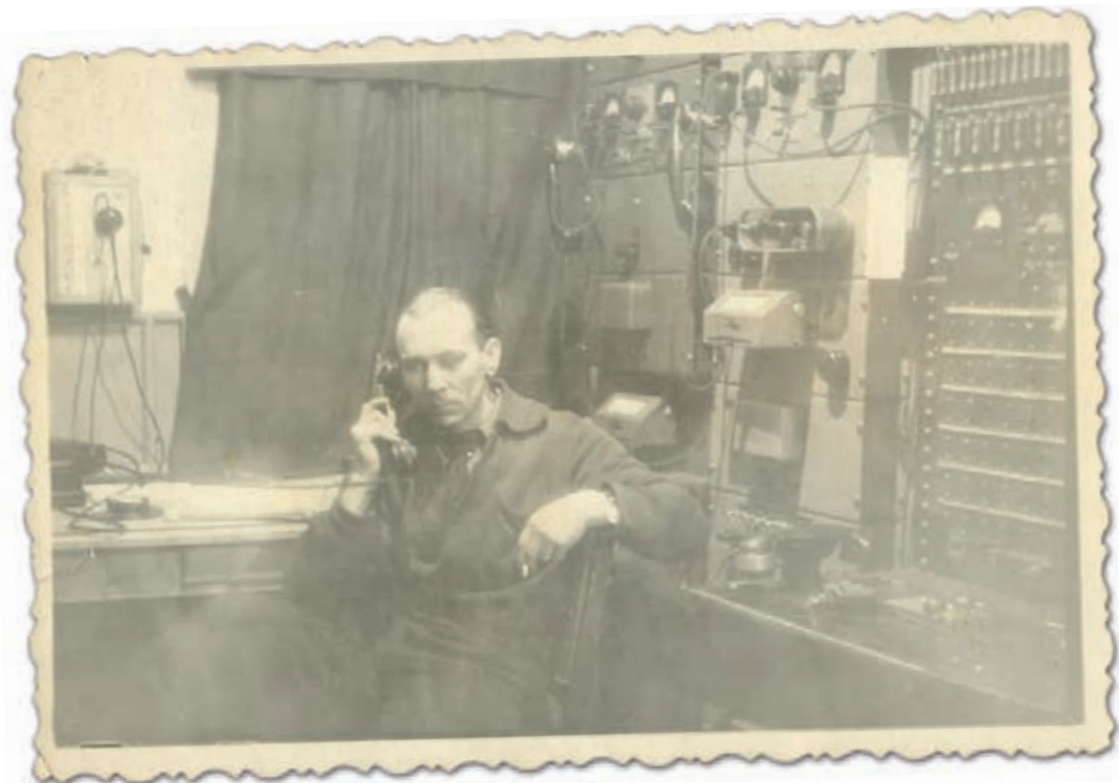
w rezultacie czego duże obozy podzielono na mniejsze, z konkretnymi zadaniami produkcyjnymi i gospodarczymi. W ten sposób powstał workucki łagier (Workucko-Peczorski, *Workuttag*), którego głównym zadaniem było wydobywanie węgla. Od 1944 r. *Workuttag* był największym skupiskiem więźniów skazanych na roboty katorżnicze. Obozowy rygor przewidywał wydłużony czas ciężkiej, fizycznej pracy i regulamin surowszy niż w innych obozach. Przez 25 lat funkcjonowania workuckich łagrów ich więźniowie zbudowali od podstaw jedno z największych zagłębi węglowych w ZSRS. Ze względu na braki w sprawozdawczości łagrowej pełna liczba więźniów w poszczególnych latach nie jest znana. Najwięcej przebywało ich w łagrach rejonu workuckiego w latach 1948–1951 – około 66 tysięcy. W latach 1947–1952 Polaków było tam od 2,5 do 3 tysięcy. Całkowita liczba ofiar obozów Workuty nie jest możliwa do ustalenia.

Los skazanego

Pod koniec listopada 1946 roku Mieczysław Zabierowski, wraz z innymi skazanymi przez sąd wojenny we Lwowie, wepchnięto do bydłowego wagonu. Pociąg ruszył w nieznaną. Po prawie miesiącu transport dotarł do Uchty. Zabierowskiemu przydzielono do pracy przy wyrębie lasu, budowie nowej cegielni i gazociągu. Ciężka praca, niedożywienie i ciasnota spowodowały, że szybko zaczął chorować i trafił do obozowego szpitala w Wietłosianie. Poznał tam Helenę Nakostenko, pielęgniarkę, która

Katarzyna Śliwowska
i Andrzej Zabierowski,
Muzeum Pamięci Sybiru,
Białystok, 2019 rok,
fot.: Karolina Mosiej-Zambrano





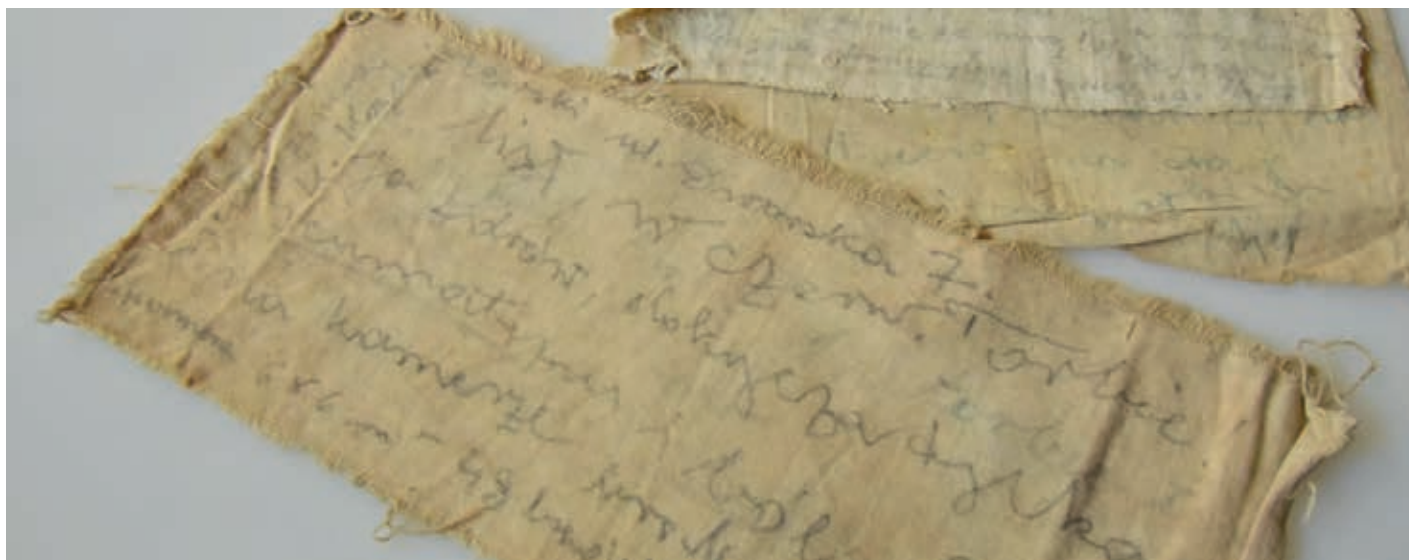
Mieczysław Zabierowski przy pracy, Workuta, 1953 rok, ze zbiorów Andrzeja Zabierowskiego

pomogła mu zdobyć łżejszą pracę przy centrali telefonicznej w jednym z zakładów na terenie łagru. W maju 1948 roku Mieczysław został przeniesiony do Workuty. Początkowo pracował w kopalni węgla. Kilkukilometrowe marsze do kopalni przy mrozach dochodzących do -40°C i ciężka praca wyczerpywały jego kondycję. Dzięki zdobytym jeszcze przed wybuchem wojny umiejętnościom związanym z radiotelegrafią

Grypsy Mieczysława Zabierowskiego, ze zbiorów Andrzeja Zabierowskiego

udało mu się uzyskać łżejszą pracę jako telemonter dołowy, przy obsłudze sieci kablowej i centrali kopalnianej.

Z pobytu w łagrach zapamiętał m.in. głód. Wspominał, jak wielki wpływ miał on na ludzką psychikę: „Aby przeżyć, trzeba było o to życie ciągle walczyć, przede wszystkim z głodnym, skręcającym od bólu żołądkiem. Więzień, wiecznie głodny, zje wszystko”.



Poza łałem

Na początku 1952 roku Mieczysław Zabierowski został zwolniony z łagru. Skazany wcześniej także na pozbawienie praw obywatelskich, musiał przebywać na ściśle określonym terytorium i 2 razy w miesiącu meldować się w NKWD. „Na wolności” po raz kolejny pomogła mu pasja i zdobyte przed wojną umiejętności – znalazł pracę w węzle łączności na kolei jako teletechnik. Pojawiły się też okazje do spotkań w gronie polskich zesańców, rozmów na temat Ojczyzny i tego, co czeka ich w przyszłości.

W 1955 r. Zabierowski wyjechał do Polski. Pierwsze kroki skierował do brata mieszkającego w Opolu, później obaj pojechali do matki: „Kiedy wraz z bratem Jankiem pojawiliśmy się na rogu »naszej« ulicy, ujrzeliśmy biegnącą naprzeciw nam Matkę. Po chwili przewróciła się biedulka i nie mogąc stanąć na nogach, usiłowała dalej iść – na kolanach nam naprzeciw. Podbiegliśmy i ująwszy ją pod ramiona doszliśmy przed dom”.

Zabierowski zamieszkał w Głubczycach, gdzie przez wiele lat był kierownikiem młodzieżowego klubu krótkofalowców SP6KNE przy Spółdzielni Mieszkaniowej w Głubczycach. Zmarł 20 marca 2004 r.

Wzruszające spotkanie

Syn Pana Mieczysława, Andrzej, odwiedził Muzeum Pamięci Sybiru latem tego roku. Spotkanie było pełne emocji, bowiem w Białymstoku po raz pierwszy w życiu zobaczył walizkę swojego ojca. Nie wiedział, w jaki sposób trafiła ona na krakowską aukcję. Być może ojciec zostawił ją w Krakowie, podczas wizyty u któregoś z krewnych? We wspomnieniach Mieczysław Zabierowski wracał pamięcią do chwili, w której ją otrzymał. Przebywał wówczas jeszcze w obozie w Workucie. Walizkę z dykty, sklejki i granatowego materiału zrobił dla niego w obozowej stolarni kolega – Adolf Leśniak.

Dzięki życzliwości Pana Andrzeja, do Muzeum Pamięci Sybiru trafiły jako depozyt także inne przedmioty i dokumenty związane z jego ojcem: dokumenty, fotografie, a także grypsy więzienne, pisane na bibułce papierosowej i szmatkach, które m.in. przyszywał do bielizny oddawanej matce do prania. Nie zawsze jednak trafiały one do adresatki: „Po przejściu więziennego »szkolenia« pisałem grypsy na bibułce papierosowej, którą wsuwałem w rączkę bańki na mleko. Jed-



nak niezwykle zdenerwowałem się, gdy ta sama bańka, następnym razem wróciła do mnie z tym samym grypsem”.

Mieszkaniec Komi,
1954 rok,
ze zbiorów Andrzeja
Zabierowskiego

Katarzyna Śliwowska

Opracowano na podstawie:

M. Zabierowski, W łagrach Uchty i Workuty, Kraków 1999;

S. Sigaczow, Łagry OGPU–NKWD–MWD ZSRR w regionie workuckim [w:] Więźniowie łagrow w rejonie Workuty, cz. 2: Alfabetyczny wykaz 5690 Polaków i obywateli polskich innych narodowości aresztowanych po 4 stycznia 1944, więzionych w Workutłagu, Rieczłagu, Inłagu, Mintłagu, Obskim ITŁ i Budowie 501 oraz innych łagrach podległych Północnemu Zarządowi Budowy Kolei, red. A. Dzieńkiewicz, A. Gurjanow, Warszawa 2001;

Łagry: przewodnik encyklopedyczny, red. N. Ochotin, A. Roginski, Warszawa 1998.



Listy i fotografie patrona Sybiraków św. Rafała Kalinowskiego

Niecodzienny dar otrzymaliśmy z Muzeum Karmelitańskiego w Czernej koło Krakowa. Są to: odręczna, dwustronicowa notatka wykonana przez późniejszego patrona Sybiraków, a także skany Jego listów do rodziny i zdjęć.

Józef Kalinowski, przyszły święty, urodził się 1 września 1835 roku w Wilnie w rodzinie Andrzeja i Józefy z Potońskich (matka osierociła go w kilka dni po urodzeniu). Ojciec był nauczycielem matematyki, a następnie m.in. dyrektorem Instytutu Szlacheckiego w Wilnie. Po śmierci drugiej żony, w 1847 roku Andrzej Kalinowski poślubił młodszą i bardzo religijną córkę słynnej Maryli Wereszczakówny – Zofię. Nie wiele starsza od Józefa, nawiązała z nim bliską, matczyną więź. Wkrótce Józef rozpoczął naukę w Instytucie Szlacheckim, wykazując się wybitnymi zdolnościami. Następnie krótko studiował w Instytucie Agronomicznym w Hory-Horkach, skąd przeniósł się do Mikołajewskiej Akademii Inżynierskiej w Petersburgu. Równocześnie wstąpił do armii carskiej.

Z wojska do zakonu

Jako świetnie wykształcony inżynier wojskowy w stopniu porucznika, po wystąpieniu z carskiej

wojska został jednym z głównych organizatorów Powstania Styczniowego na Litwie – Naczelnikiem Wydziału Wojny. Po aresztowaniu w marcu 1864 roku, wziął na siebie całą winę, nie ujawniając działalności współtowarzyszy walki, wskutek czego skazano go na karę śmierci. Dzięki staraniom wpływowych przyjaciół, wyrok ten zamieniono wkrótce na 10 lat katorgi i pozbawienie praw wynikających ze szlacheckiego pochodzenia. Przez 3 lata odbywał katorgę w wazelni soli w Usolu niedaleko Irkucka. Następnie został zwolniony, ale musiał pozostać na zesłaniu, gdzie pracował m.in. jako guwerner. Współpracował także z Benedyktem Dybowskim, przyrodnikiem Mikołajem Hartungiem i geologami: Janem Czerskim i Aleksandrem Czekanowskim. Na Syberii rozpoznał w sobie powołanie zakonne i po powrocie z zesłania, w 1877 roku wstąpił do zgromadzenia karmelitów bosych, przyjmując imię zakonne Rafał. Był jednym z najważniejszych odnowicieli życia karmelickiego na zie-

miach polskich. Zmarł 15 listopada 1907 roku w Wadowicach. Jego szczątki spoczęły w klasztorze w Czernej, którego przeorem był kilkakrotnie. 17 listopada 1991 roku został kanonizowany przez Jana Pawła II.

Pamiętki po świętym

Muzeum Karmelitańskie w Czernej zostało zaprojektowane przez Barbarę i Jarosława Kłaputów – autorów najlepszych realizacji muzealnych w Polsce, takich jak Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Sportu, Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie czy Domu Rodzinnego Jana Pawła II w Wadowicach. Jest to muzeum narracyjne, w którym znajdują się m.in. właśnie pamiętki związane ze św. Rafałem Kalinowskim: używany przez niego mszał, kapa, ornat, stuła, pamiętki z zesłania na Syberię, krzyż profesyjny Świętego i Jego pas pokutny.

Wśród muzealiów przekazanych do Muzeum Pamięci Sybiru znalazła się odręczna, dwustronna notatka o. Rafała Kalinowskiego, dotycząca klasztoru karmelitów bosych w Berdyczowie. Założenie klasztorne ufundował wojewoda kijowski Janusz Tyszkiewicz w I połowie XVII wieku jako wotum dziękczynne za

uratowanie go od śmierci z rąk Tatarów. Po Powstaniu Styczniowym nastąpiła kasata zgromadzenia. Notatka pochodzi prawdopodobnie z początku XX wieku, kiedy to Kościół, przy poparciu biskupa kijowskiego i po petycjach mieszkańców, odzyskał część pomieszczeń.

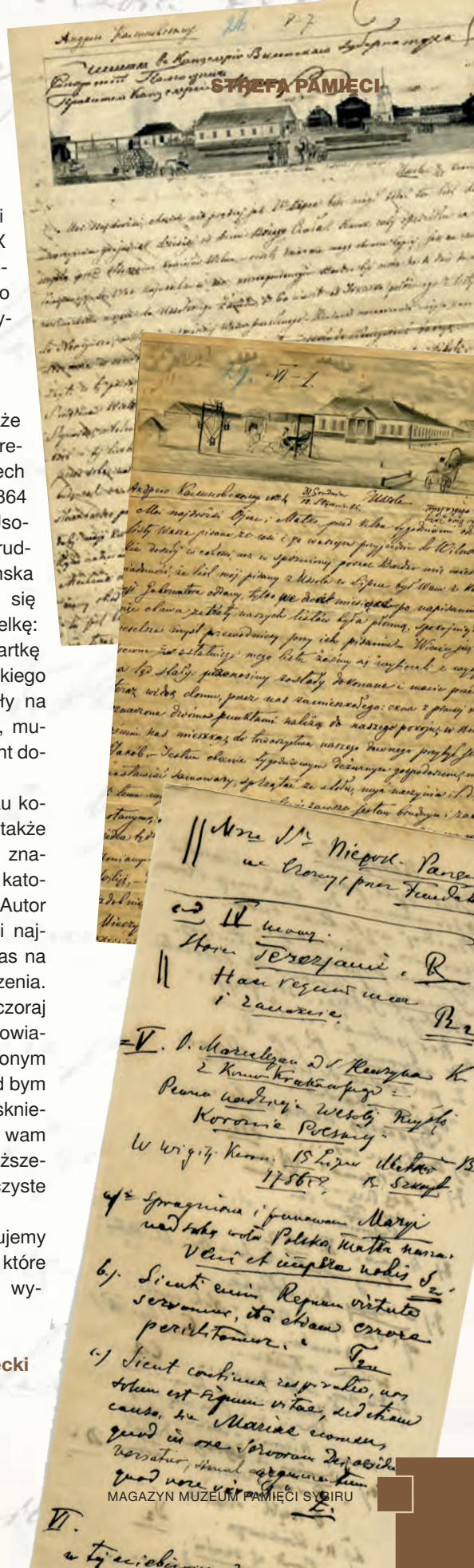
Listy do rodziny

Wśród darów znajdują się także skany 7 fotografii z różnych okresów życia św. Rafała oraz czterech listów wysłanych m.in. w 1864 roku z Tomsku oraz później z Usola. W liście do rodziny z 13 grudnia 1864 roku wysłanym z Tomsku następująco opisał znajdującą się w nagłówku niewielką akwarelkę: „Posyłam jeszcze jedną ćwiartkę z widokiem kościoła katolickiego w Tomsku. Zresztą list przysłył na nim napiszę. Mamy tu malarzy, muzyków, rzeźbiarzy, którym talent dostarcza chleb powszedni”.

I rzeczywiście, w nagłówku kolejnego listu, którego kopia także trafiła do zbiorów Muzeum, znalazł się widoczek kościoła katolickiego w Tomsku. Jego Autor pisał zaś do rodziny: „Moi najdrożsi, piszę ten list od was na drugi dzień Bożego Narodzenia. Miałem go właściwie wczoraj zacząć. Wczoraj się spowiadałem i będąc pokrzepionym chlebem nieziemskim rad bym podzielić się mem utęsknieniem z Wami, ofiarując wam to co mogą mieć najdroższego – myśl spokojną i czyste uczucie”.

Serdecznie dziękujemy za wspaniałe dary, które znajdują się na naszej wystawie głównej!

Dr Tomasz Danilecki



Kolekcja Muzeum coraz większa

Około 700 zdjęć przedstawiających nasz region w latach I i II wojny światowej, a także fragmenty wspomnień żołnierza niemieckiego z 1917 roku pozyskało Muzeum Pamięci Sybiru do swoich zbiorów. Właścicielem fascynującej kolekcji był wcześniej białostoczanin Maciej Wojski.

Zdjęcia w zdecydowanej większości pokazują Białostoczczyznę w latach obu wojen światowych, zarówno w czasie działań wojennych, jak i okupacji. Utrwalone są na nich na przykład niemiecko-sowieckie negocjacje w Białymstoku we wrześniu 1939 roku, a także widoki miast, miasteczek i wsi po niedawnych walkach: na zdjęciach oglądamy kamienice w gruzach, spalone fabryki, zburzone mosty. Część zdjęć

Większość zdjęć została wykonana przez żołnierzy niemieckich, którzy dodatkowo skrupulatnie je opisywali. W kolekcji możemy odnaleźć jedną fotografię zrobioną przez korespondenta wojennego Roberta Wilhelma Sennecke (1885–1940), jak również prace białostockich fotografów: Wolfa Schapiro czy Izraela Rendela.

Anonimowy pamiętnik

Niezwykle cenny jest też fragment wspomnień spisanych w 1917 roku przez podoficera niemieckiego oraz 10 należących do niego zdjęć. Nie znamy personaliów autora pamiętnika, wiadomo jedynie, że był pomocnikiem płatnika w Armijnym Parku Lotniczym nr 13 grupy armii gen. Woyscha (była to jednostka logistyczna lotnictwa, stacjonująca m.in. w Dojlidach). Baza mieściła się na terenie fabryki Hasbacha. W drewnianym domku ogrodowym znajdowały się biura, a w willi – kasyno. W budynkach fabrycznych mieszkali oficerowie, natomiast w kwaterach robotników – podoficerowie. Od Krywlan, gdzie mieściło się lotnisko, żołnierzy dzieliły 3 km.



ilustruje codzienne życie mieszkańców pod okupacją, kiedy się na nie patrzy – wręcz słychać uliczny gwar. Niektóre przedstawiają ludzi, którzy w zawierusze wojennej stracili swój dobytek. Fotografie pokazują, że także w czasie wojen społeczeństwo jest mocno podzielone: na jednych zdjęciach widać żebraków siedzących na schodach prowadzących do kościoła farnego, a na innych – modnie ubrane, młode kobiety, spacerujące po Parku Miejskim.





Pasjonat starych zdjęć

Muzeum nabyło zdjęcia i wspomnienia w 2019 roku. Zbiór skompletował białostocki kolekcjoner Maciej Wojski. Fotografie zbierał od końca lat 90. XX wieku. Pochodzą z różnych źródeł: zostały zakupione na aukcjach internetowych, od prywatnych kolekcjonerów, na targach staroci czy też pozyskane w ramach wymiany kolekcjonerskiej. W większości pochodzą z zagranicy: Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Izraela. Maciej Wojski poświęcił na przeszukiwanie portali wiele godzin, ponieważ zależało mu na odnalezieniu „rarytasów”, dzięki którym zbiór stawał się coraz ciekawszy.

Znaczna część ikonografii nigdy nie była publikowana i nie jest dostępna w innych kolekcjach

muzealnych. Niewielki fragment zbioru można oglądać w albumie wydanym przez samego Wojskiego pt. „1915. Białystok”. Z kolei Muzeum Pamięci Sybiru wykorzystało fotografie z kolekcji w publikacji „Wielka tułaczka (1915–1921)”. Zbiór jest na tyle różnorodny i interesujący, że bez wątpienia często będzie wykorzystywany jako źródło ikonograficzne do prezentowania przeszłości naszego regionu.

Dzisiaj wiele osób z trudem wyobraża sobie czasy, kiedy fotografia była czymś niezwykłym.



Często nie przypisujemy jej większej wartości i uważamy za rzecz oczywistą. Muzeum Pamięci Sybiru stara się uchronić stare zdjęcia od zniszczenia lub zapomnienia i pieczołowicie je przechowuje. Zbieramy wszelkie fotografie ukazujące miasta na Kresach i ich mieszkańców, osoby wywiezione na Sybir, ich powroty i życie w powojennej Polsce. Wszystkie stanowią cenny materiał badawczy. Apelujemy i prosimy: Nie wyrzucajcie starych fotografii! Przynieście je do Muzeum! Będą one cennym źródłem minionej epoki.

Justyna Hanula



„Ratunku, ginjemy”

Losy Stefana Wendorffa

Kolekcja Muzeum Pamięci Sybiru wzbogaciła się o zbiór dokumentów ukazujących tragiczne losy Stefana Wendorffa – członka Okręgowej Delegatury Rządu RP w Lublinie, który wraz z 12 innymi jej członkami został aresztowany i wywieziony do ZSRS.

Zdecydowana większość pozyskanych materiałów to listy i podania z prośbą o pomoc w powrocie do kraju Stefana Wendorffa oraz jego towarzyszy, a także prośby o pomoc w przesłaniu paczki uwięzionym. Listy pisali członkowie jego rodziny, a kierowali je do urzędów państwowych (także do samego prezydenta Krajowej Rady Narodowej Bolesława Bieruta) i organizacji społecznych. W kolekcji znajduje się m.in. także „gryps” przesłany przez Wendorffa kilka dni po aresztowaniu – 9 sierpnia 1944 roku. Na szczególną uwagę zasługuje kartka pocztowa skierowana do żony, a wysłana przez współwięźnia, Teodora Araszkiwicza, z obozu w Riazaniu 15 lipca 1944 roku, na której w miejscu przeznaczonym na adres nadawcy zapisano cyrylicą: „Ratunku, ginjemy”. Wraz z dokumentami Muzeum otrzymało też aluminiową tyżkę z wygrawerowaną literą „W” oraz ryngraf z orłem w koronie i wizerunkiem Matki Boskiej



Częstochowskiej. Na odwrocie ryngrafu wygrawerowano dedykację: „W dniu imienin Stefanowi – S.U. Riazan 2.IX.1946”. Oba przedmioty zostały wykonane podczas pobytu Wendorffa w obozie w Riazaniu.

Z miasta do miasta

Stefan Wendorff, urodził się w Kijowie w 1895 roku. Był synem Karola i Aleksandry z Grabowieckich. Jego ojciec był więziony za udział w powstaniu 1863 roku. Stefan w 1912 roku ukończył Szkołę Handlową Zgromadzenia Kupców Miasta Warszawy. Ponieważ nie dawała ona prawa do podjęcia studiów wyższych, wyjechał do Szwajcarii, gdzie rozpoczął naukę w Wyższej Szkole Handlowej w St. Gallen. Wraz z wybuchem I wojny światowej wrócił do Polski i zaciągnął się do Legionów Polskich. Służył w 1 Pułku Ułanów, gdzie używał pseudonimu „Konopka”. W sierpniu 1915 roku był dwukrotnie

ranny w walce. W połowie 1917 roku Niemcy internowali go w obozie w Szczypiornie. Zwolniony w 1918 roku, wrócił do Warszawy i uzupełnił przerwane studia na wydziale prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W listopadzie 1918 roku wstąpił do Wojska Polskiego. Wcielony do 1 Pułku Szwoleżerów w stopniu podporucznika, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. W lipcu 1920 roku dowodził szwadronem; został ranny pod Równem. Wielokrotnie go odznaczano, m.in. w maju 1922 roku otrzymał Order Virtuti Militari kl. V. Na skutek złego stanu zdrowia został przeniesiony do Wojskowej Kontroli Generalnej. Komisja Weryfikacyjna przyznała mu stopień kapitana. Pracując, uzupełnił wykształcenie w Szkole Głównej Handlowej. Ożenił się z Heleną Maluszycką. W 1925 roku urodziła się ich córka Anna. W 1926 roku uwzględniono jego starania i przeniesiono w stan spoczynku, kierując do pracy w resorcie spraw wewnętrznych. Początkowo był zatrudniony w Urzędzie Wojewódzkim w Brześciu nad Bugiem, później w starostwie w Łunińcu. W 1928 roku został mianowany starostą w Stolinie nad rzeką Horyń w województwie poleskim, dwa lata później – starostą powiatu brzeskiego. W 1932 roku objął stanowisko Starosty Morskiego w Wejherowie, które piastował

do 1936 roku. Następnie przeniesiono go do Łodzi na stanowisko wicewojewody. W końcu 1938 roku zrezygnował ze służby państwowej i objął kierowniczą funkcję w polskim oddziale fabryki mebli giętych „Thonet – Mundus”.

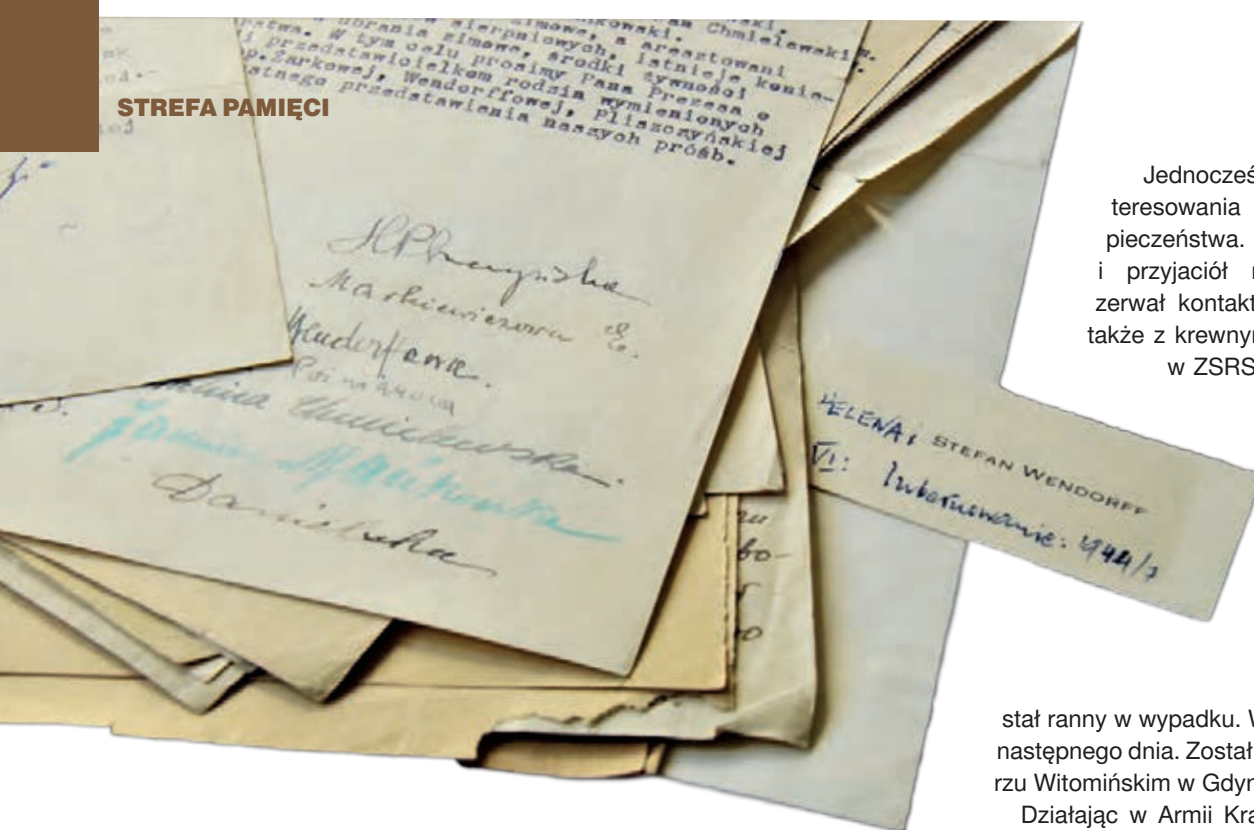
Trudne lata

2 września 1939 roku zgłosił się do służby wojskowej, do której nie został jednak przyjęty. W październiku zamieszkał z rodziną w Lublinie, gdzie podjął pracę w Lubelskim Syndykacie Rolniczym, a następnie w sklepie jako sprzedawca.

Od 1941 roku Stefan Wendorff działał w Armii Krajowej. Jako były pracownik administracji państwowej został oddelegowany do pracy w Okręgowej Delegaturze Rządu Rzeczypospolitej Polskiej w Lublinie. Pełnił tam funkcję doradcy Delegata Rządu, m.in. organizował tajne nauczanie.

W lipcu 1944 roku, tuż po zakończeniu walk, zgodnie z rozkazem ujawnił się wobec władz sowieckich wraz z innymi członkami Delegatury. Aresztowany 2 sierpnia 1944 roku i wywieziony do ZSRS, był więziony w Kijowie, Diagilewie-Riazaniu i Griazowcu. Zwolniony wraz z dużą grupą przetrzymywanych w ZSRS akowców, wrócił do Polski w 1947 roku. Wraz z rodziną osiadł





w Gdyni. Podjął pracę w prywatnym przedsiębiorstwie Bałtycka Spółka Okrętowa, z którego w 1950 roku został zwolniony – oficjalnie wskutek nacjonalizacji przedsiębiorstwa. W późniejszych latach wielokrotnie miał problemy z podjęciem jakiegokolwiek zatrudnienia, a nawet jak znalazł pracę – szybko ją tracił.



Jednocześnie był obiektem zainteresowania ze strony Urzędu Bezpieczeństwa. Aby nie narażać siebie i przyjaciół na niebezpieczeństwo, zerwał kontakt z większością z nich, także z krewnymi i kolegami z obozów w ZSRS. W 1955 roku zatrudnił się w Rzemieślniczej Spółdzielni Fryzjerów w Gdańsku. Po odwilży 1956 roku otrzymał orzeczenie o politycznych powodach stosowanej wobec niego dyskryminacji. 31 lipca 1969 roku został ranny w wypadku. W wyniku obrażeń zmarł następnego dnia. Został pochowany na Cmentarzu Witomińskim w Gdyni.

Działając w Armii Krajowej, Stefan Wendorff używał pseudonimu „Hołyński”, który nawiązywał do rodzinnego majątku Hołynka, leżącego obecnie w obwodzie mińskim na Białorusi. Hołynek opisała w „Pamiętnikach z życia” Ewa Felińska z domu Wendorff – jego cioteczna babcia. Felińska była pierwszą Polką zesłaną na Sybir – działała w Stowarzyszeniu Ludu Polskiego Szymona Konarskiego. W wyniku rozbicia siatki konspiracyjnej, w 1839 roku została aresztowana i zesłana na Syberię, do Berezowa nad rzeką Ob. Spędziła tam dwa lata (1839–1841), następnie przeniesiono ją do Saratowa nad Wołgą, gdzie przebywała do 1844 roku.

Anna Bielawska-Puchalska

Bibliografia:

W. Czeczot, *Adam Wendorff. Ostatni Podkomorzy Słucki (1784–1874)* [w:] „Kwartalnik Litewski” Rok I, t. I, Petersburg 1910, s. 132–134;

A. Wendorff-Wicherska, *Stefan Wendorff: II Służba Wojskowa. Ze zbiorów rodzinnych*. Materiały Ośrodka Karta, sygn.: AW III/277.55 (www.dlibra.karta.org.pl – dostęp z 25.09.2019);

Геометрический план
дари
попискованнаго имения
КЛОУЦИ
Вилненской губернии, Лидского уезда
Составленъ 1866 года.



Słów kilka o próbach kolonizacji rosyjskiej na przykładzie majątku Kłąćcie

Do zbiorów Muzeum Pamięci Sybiru trafił plan majątku Kłąćcie w dawnym powiecie lidzkim guberni wileńskiej. Ten cenny dar ofiarował Michał Siewruk – syn ostatniego właściciela majątku, autor opartych na wspomnieniach powieści pt. „Wilniana z Syberią w tle” i „Poświęcenie to za mało”.

Niewielki majątek Kłąćcie nad rzeczką Szypetą w źródłach i opracowaniach występuje pod różnymi, często mocno zniekształconymi nazwami. Właścicielem majątku była od wieków rodzina Jocz herbu Godziemba. Wielu Joczów mieszkało w całej parafii nackiej w dawnym powiecie lidzkim województwa wileńskiego.

W 1775 roku odnotowano w Kłąćciach dwory należące do Jana Jocz a i Karola Wodgaza,

w 1790 roku – do Michała Jocz a i Karola Wodgaza. W 1795 roku mieszkały tu 24 osoby. Właścicielami okolicy byli Roman Jocz z żoną Anną z Kozielskich, mieszkający z czwórką dzieci: Edwardem, Józefem, Krystyną i Kunegundą. Ponadto przebywało w folwarku dwoje szlachty służących, czeladź i 3 rodziny tzw. kątników (czyli komorników, osób mieszkających kątem). W 1816 roku właścicielem nadal był Roman Jocz. W 1844 roku folwark Kłąćcie z wsią Karole-

wszczyzna (186 dziesięcin)* był własnością jego synów – Edwarda i Józefa.

Za udział Bogusława Joczka, kolejnego właściciela Kłęcia, w powstaniu 1863 roku folwark (90 dziesięcin) został skonfiskowany. 19-letni Bogusław trafił na Syberię. W powstaniu brało udział wielu Joczów; kilku z nich zesłano w głąb Imperium Rosyjskiego.

Utrata majątku

W 1866 roku sporządzono plan folwarku. W tymże roku wezwano wierzycieli do zgłaszania pretensji do skonfiskowanych majątków „przestępców politycznych” z powiatu lidzkiego, wśród których wymieniono także majątność Kłęcia. Były to przygotowania do zbycia majątku. W odległym o 22 wiorsty od Ejszyszek i 50 od Lidy folwarku mieszkało wówczas 26 osób.

Kłęcia zostały tzw. majątkiem instrukcyjnym, czyli sprzedanym na mocy instrukcji z 23 lipca

(5 sierpnia) 1865 r. Zakładała ona sprzedaż majątków państwowych na preferencyjnych warunkach rosyjskim urzędnikom, wojskowym, potem również nauczycielom. Kłęcia w 1871 r. kupił za 682 ruble Rosjanin, Arkadiusz Konstantynowicz Anisimow – wysokiej rangi urzędnik w kancelarii gubernatora wileńskiego. Prawdopodobnie właśnie wtedy geodeta Sienkiewicz sporządził kopię planu, która trafiła do naszego Muzeum.

Jak odebrać Polakom ziemię

Szacuje się, że w ramach represji za powstanie 1863 roku skonfiskowano w 9 zachodnich guberniach imperium znacznie mniej ziemi niż po powstaniu listopadowym. Sprzedaż majątków instrukcyjnych była jednak tylko częścią szerszego planu przekształceń własnościowych jako elementu rusyfikacji kraju.

Polskie majątki, uszczuplone na skutek uwłaszczenia chłopów jeszcze w czasie powsta-



nia, objęto 10-procentowym podatkiem kontrybucyjnym, który w 1864 r. obniżono o połowę. Rosjanie i Niemcy płacili tylko połowę. W tymże roku 5 (17) marca wprowadzono ustawę gwarantującą Rosjanom specjalne ulgi, zapomogi i przywileje przy kupnie majątków prywatnych i skarbowych.

Szeroki zakres miało zmuszanie właścicieli do sprzedaży majątków objętych sekwestrem, czyli czasowym zakazem sprzedaży na mocy ukazów z 10 i 31 grudnia 1865 roku. Zesłańcy i osoby, których sprawy sądowe były w toku, musieli je zbyć w ciągu 2 lat Rosjanom wyznania prawosławnego lub luterńskiego. Po upływie terminu niesprzedane majątki były wystawiane na publicznych licytacjach.

Zmiany w strukturze własności

Największe straty w polskim stanie posiadania uczynił zakaz sprzedaży majątków wprowadzony ukazem z 10 (22) grudnia 1865 roku. Polscy właściciele ziemscy z guberni zachodnich mogli kupować ziemię na terenie Kongresówki bądź w głębi Rosji, ale nie u siebie. Tu mogli ziemię otrzymać jedynie w spadku. Wymyślono oczywiście szereg różnych sposobów na obejście zakazu: kupno na podstawioną osobę (tzw. słupa), antydatowane akty sprzedaży, fikcyjna wieloletnia dzierżawa zamiast aktu sprzedaży, bezterminowe plenipotencje na dysponowanie własnością – to tylko niektóre z nich. Chociaż zakaz nie był stosowany konsekwentnie, a władze zezwalały czasem z różnych powodów na transakcję, to w największym stopniu przyczynił się do zmian własnościowych na ziemiach zaboru rosyjskiego. Wywołał też całkowicie nieoczekiwane skutki w postaci osiedlania się Polaków na Smoleńszczyźnie.

Przepisy dotyczące obrotu ziemią uległy dalszemu obostrzeniu w 1884/1885 r. Wprowadzono wówczas ograniczenia w dzierżawieniu ziemi przez Polaków. Dopiero w czasie rewolucji 1905 roku przepisy dotyczące obrotu ziemią złagodzone; Polak mógł wreszcie kupować od Polaka. Jeden z rosyjskich historyków nazwał to „jawnym przyznaniem się do krachu nadziei na to, że majątki polskich ziemian będą stopniowo wykupione przez Rosjan”.

Po powstaniu 1863 roku podejmowano też nieudane próby osiedlania rosyjskich chłopów w wysiedlonych zaściankach szlacheckich, np. w Jaworówce w powiecie białostockim czy Łuka-

wicy w powiecie sokólskim. Dla rosyjskich właścicieli w praktyce bardziej atrakcyjny był kierunek wschodni i południowy.

Znowu w polskich rękach

W 1908 roku Nikołaj Władymirowicz Anisimow sprzedał Kłacie Michałowi Siewrukowi, który wcześniej był już tam administratorem. Anisimow zajął się karierą wojskową. Dostał się ostatecznie w 1917 roku stopnia generał-majora i funkcji dowódcy ewakuowanej do Połtawy w 1915 roku Wileńskiej Szkoły Wojskowej.

W Kłaciach gospodarzyli więc Siewrukowie. W spisie parafialnym parafii Nacza z 1909 roku odnotowano Michała Siewruka s. Piotra z żoną Teklą z Ilkiewiczów oraz ich dzieci: Piotra, Aleksandra, Marię i Józefę. W II RP miejscowość Kłacie administracyjnie należała do gminy Koniawa w powiecie lidzkim województwa nowogródzkiego, a od 1926 roku – w powiecie wileńsko-trockim województwa wileńskiego. Po śmierci Michała (1935 r.) gospodarstwo prowadził jego syn Piotr.

Po II wojnie światowej rodzina Siewruków nie opuściła rodzinnych stron i po „rozkułaczeniu” została zesłana na Syberię. Oprócz głowy rodziny Piotra Siewruka i jego żony Stanisławy z Siemaszków zesłano dzieci: Teklę Joannę (ur. 1936) i Michała Piotra (ur. 1938) oraz siostrę żony – Helenę Siemaszko. Trafili do Kułtuku w Rejnie Usolskim. W 1957 roku, po 8 latach zesłania, otrzymali zgodę na repatriację do Polski. Z dworu Kłacie „nie został kamień na kamieniu”, a ziemię przejął kołchoz. Po 1990 roku Michał Siewruk rozpoczął starania o odzyskanie ojcowizny. Częściowo się to udało, co na Litwie jest raczej wyjątkiem.

Przemysław Borowik

* Dziesięcina – rosyjska miara powierzchni, 1 dz = 1,09 ha.

Artykuł powstał na podstawie m.in.:

W. Szmidt, *Geneza prywatnej rosyjskiej własności ziemskiej w b. guberniach wileńskiej, grodzieńskiej i mińskiej*, „Miesięcznik Statystyczny” t. V, 1922, z. 11, 12, Warszawa 1923;

J. Danieluk, *Majątki instrukcyjne na ziemiach byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Stan badań oraz postulaty badawcze*, „Studia Lituaniści” nr 3, 2017;

Cz. Malewski, *Rodziny szlacheckie na Litwie w XIX wieku: powiat lidzki, oszmiański, wileński*, Warszawa 2016.

PODRÓŻ SENTYMENTALNA

Rodzina Klein,
1900–1902 rok



Barbara Klein-Szymańska przed wojną mieszkała w Białymstoku. W maju tego roku odwiedziła Podlasie. Była także gościem Muzeum Pamięci Sybiru, któremu przekazała rodzinne pamiątki.

Pani Barbara od kilkadziesiąt lat mieszka w Warszawie, ale przed wojną wraz z rodziną mieszkała przy ulicy Poleskiej 44 w Białymstoku. Jej ojciec Edward Klein był inżynierem i prowadził filię Fiata w Białymstoku przy ulicy Warszawskiej 45. Edward i jego brat Jan walczyli z wojnie polsko-bolszewickiej (Jan został za to odznaczony Orderem Virtuti Militari). Jako oficer rezerwy Wojska Polskiego, ojciec pani Barbary został zmobilizowany w 1939 roku do 42. Pułku Piechoty. Jego młodszy brat Jerzy, lekarz, zginął pod Osowcem w 1939 roku, opatrując rany polskiego żołnierza. Edward i Jan zostali zamordowani w Katyniu. Inteligencka, patriotyczna rodzina oficerska znalazła się na liście osób, które miały zostać zesłane na Sybir. Czteroletnią Basię wraz z matką Olgą, dziadkami i ich córką Elżbietą 13 kwietnia 1940 r. wywieziono do Kazachstanu. Dziadkowie zmarli na zesłaniu, a Barbara z matką i ciotką wrócili w marcu 1946 roku do Białegostoku.

Ocalone pamiątki

Pani Barbara Klein-Szymańska odwiedziła Muzeum Pamięci Sybiru, któremu przekazała wiele cennych pamiątek. Wśród nich znajduje się jeden z czterech listów napisanych przez jej matkę. Listy, bez kopert i znaczków, Olga Klein wyrzuciła przez zakratowane okienko wagonu towarowego, którym rodzina była wieziona na Sybir. Jeden z nich, z datą 26 kwietnia 1940 roku, a wyrzucony ok. 2,5 tys. km od Polski,





J. Ostrobramska.

cudem wręcz dotarł do Białegostoku. Wśród innych pamiątek są też: obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej (pani Barbara urodziła się w Wilnie), który towarzyszył rodzinie przez sześć lat zesłania, oraz fotografie rodzinne. Pani Barbara podzieliła się również wspomnieniami, które zasilły naszą mediatekę.



Rodzina Klein
w przydomowym ogrodzie,
Supraśl, 1932 rok

W czasie tej sentymentalnej podróży pani Barbara odwiedziła swój dawny dom, z którego została deportowana. Obecnie znajduje się w nim kaplica, a w dawnym pokoju naszego gościa – Izba Pamięci Błogostawionego ks. Michała Sopoćki, który tam mieszkał i zmarł. Kolejnym przystankiem był białostocki Cmentarz Farny, na którym znajduje się grób mamy pani Barbary.

Supraskie ścieżki

Nasz gość odwiedził także Supraśl, również związany z losami rodziny Kleinów. Aleksander Klein (dziadek pani Barbary) był przed wojną plenipotentem Adolfa Buchholtza. Dzisiejszy Supraśl to już inne miejsce, jednak pamięć poprowadziła Panią Barbarę do miejsc związanych z pobytom rodziny w miasteczku. Pałac Buchhol-

Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej zabrany na zesłanie do Kazachstanu przez Olęę Klein

Barbara Klein-Szymańska,
Białystok, 2019 rok, fot.:
Anna Nowacka



tzów, Dom Kleina, kaplica grobowa Buchholtzów – tędy wiodła supraska marszruta. Nie zabrakło również lokalnych specjałów kulinarnych. Pani Barbara wyjechała z Białegostoku wzruszona i zadowolona. Z niecierpliwością czeka na otwarcie Muzeum Pamięci Sybiru.

Anna Nowacka

Ekspozycje z pola bitwy

Element karabinu, bagnet, granat ręczny, naboje – to tylko część przedmiotów, jakie do zbiorów Muzeum Pamięci Sybiru przekazało włoskie stowarzyszenie „Battaglia di Cassino – Centro Studi e Ricerche”. Wszystkie ekspozycje zostały znalezione w miejscach walk polskich żołnierzy o Monte Cassino.



Pot.: Karolina Mosiej-Zambrano

Roberto Molle,
Wojciech Śleszyński
i Pietro Rogacień

Pole słynnej bitwy nadal skrywa pamiętki po przerażających wydarzeniach sprzed 75 lat, gdy w 1944 roku trwały tam jedne z najkrwawszych walk II wojny światowej. Miejsca, w których walczyli i ginęli żołnierze 2. Korpusu Polskiego od nocy 11 maja do zdobycia klasztoru 18 maja 1944 r., do dziś są ogromnym stanowiskiem archeologicznym. Bogata literatura opisująca bitwę o Monte Cassino jest pełna charakterystycznych nazw tych punktów. W rejonie działań 5. Kresowej Dywizji Piechoty to grzbiet „Widmo”, wzgórze 702 i 575 oraz wzgórze Sant' Angelo, gdzie dziś znajduje się pomnik poświęcony tej jednostce. Na odcinku walk 3. Dywizji Strzelców Karpackich szczególnie istotne lokalizacje to Cavendish Road, zwana drogą polskich saperów, czołg Biateckiego – dzisiaj pomnik 4. Pułku Pancernego „Skorpion”, dolina Albanety, teren od „Głowy węża” do wzgórza 593, Kalwaria, na której wzniesiono pomnik poświęcony Dywizji, aż do murów klasztoru przechodzących przez Case D'Onofrio. W ostatnich

latach członkowie stowarzyszenia „Battaglia di Cassino – Centro Studi e Ricerche” („Bitwa o Cassino – Centrum Nauki i Badań”) wielokrotnie odwiedzali pole bitwy, często oprowadzając grupy badaczy z całego świata. Obserwując te wszystkie miejsca, czytając o czynach żołnierzy i studiując mapy topograficzne, do dziś czuje się wielki szacunek i podziw dla Polaków. Przybyli z daleka, po przejściu wielu trudności dotarli pod Monte Cassino, by walczyć z Niemcami, jak głosi napis na wzgórzu 593, „za naszą i waszą wolność”.

Na „świętych wzgórzach”

Stowarzyszenie przekazało do Muzeum Pamięci Sybiru kolekcję przedmiotów zbieranych przez lata w miejscach, gdzie walki były najbardziej krwawe. Bardzo często artefakty są tam znajdowane nawet bez użycia wykrywacza metalu. To niewiarygodne, że w miejscu, gdzie bywaliśmy wcześniej tak wiele razy, nadal odnajdujemy ślady walk. Zupełnie jakby ziemia, która przechowuje te świadectwa, chciała za każdym razem, po trochu, oddawać je z powrotem, aby podtrzymać pamięć i nie pozwolić na zapomnienie o tym, co się stało pod Monte Cassino.



Przyznaję, że chodzenie wśród tych skał wywiera na nas zawsze wielkie wrażenie. Nazywamy je „świętymi wzgórzami”, które odwiedzamy w ciszy pełnej czci, słuchając jedynie szumu wiatru. To miejsca, w których oprócz Polaków poległo wielu żołnierzy innych armii alianckich.

Bitewne artefakty

Znalezione przedmioty to głównie elementy uzbrojenia i ekwipunku wojskowego. Pozwalają one na poznanie brytyjskiego i amerykańskiego sprzętu, jakim dysponował 2. Korpus Polski. Destrukt karabinu Enfield Mk4 został znaleziony w dolinie przed wejściem na wzgórze 593, w miejscu zwanym „Bramka” (ang. „The gate”). Miejsce to przekraczali polscy żołnierze, którzy mieli zdobyć przełęcz Colle del Calvario. Należy zauważyć, że Polacy, w przeciwieństwie do żołnierzy armii państw Wspólnoty Brytyjskiej, otrzymali model Mk4 karabinu Enfield, różniący się od poprzednich wersji m.in. bagnietem. Ten



szczególny rodzaj bagnietu również trafił do zbiorów Muzeum. Wśród darów znalazły się też pozostałości amunicji do tych karabinów: tódkki amunicyjne pochodzące z grzbietu „Głowa węża”, z okolic Domku Doktora oraz tuski nabojów kalibru 7,7 mm. Jesteśmy przekonani, że ekspozycja tych obiektów w przyszłym Muzeum Pamięci Sybiru będzie miała ogromny wpływ emocjonalny na zwiedzających. Pozwolą one połączyć się z historią Monte Cassino, która ściśle wiąże się z historią odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej.

Kolejny przekazany eksponat to tzw. bomba Millsa – granat ręczny, także wykorzystywany podczas ataku na Monte Cassino. Umożliwił uderzenie z pewnej odległości na chronione pozycje, umieszczone między skałami. W trakcie walk prowadzonych w trudnym, górzystym terenie kluczową bronią były moździerze, występujące w dwóch typach: małe o kalibrze 50 mm i większe



– 80 mm. Fragmenty pocisków do obu rodzajów również trafiły do Muzeum Pamięci Sybiru.

Inne eksponaty to naboje 11,43 mm ACP i magazynki do pistoletu maszynowego Thompson oraz magazynki do popularnego ręcznego karabinu maszynowego Bren. Kolekcję uzupełniają fragmenty taśmy amunicyjnej i tuski nabojów kalibru 12,7 mm do karabinów maszynowych Browning, które były umieszczone na wieżach czołgów Sherman. Każdy żołnierz miał przy sobie mały plecak taktyczny, z ekwipunkiem potrzebnym na kilka dni. Przykłady takiego oporządzenia uwzględniliśmy w ramach darowizny. Są to: menażka, pędzel do golenia, papierośnica, a także manierka, która prawdopodobnie została trafiona przez odłamki granatu.

Bardzo ważne jest dla nas podpisanie umowy o współpracy pomiędzy stowarzyszeniem „Battaglia di Cassino” a Muzeum Pamięci Sybiru. Doszło do niego także dzięki pośrednictwu pana Pietro Rogacienia, prezesa Muzeum Pamięci 2. Korpusu Polskiego w Monte Cassino. Jesteśmy pewni, że Muzeum Pamięci Sybiru będzie jedną z ważniejszych placówek muzealno-badawczych w Polsce, ale także w Europie. Dołożymy wszelkich starań, aby nasza współpraca trwała i rozwijała się.

Roberto Molle

prezes stowarzyszenia
„Battaglia di Cassino
– Centro Studi e Ricerche”

(tłum. Karolina Mosiej-Zambrano)





Obelisk

Wśród naszych zbiorów szczególne miejsce zajmują te dotyczące tematyki zsyłek XIX-wiecznych, przede wszystkim ze względu na ich unikatowość i oryginalność. W 2019 roku udało nam się pozyskać oryginalną pamiątkę z okresu powstania styczniowego – obelisk wykonany przez mieszkańców ziemi wileńsko-grodzieńskiej, którzy za udział w powstaniu zostali skazani na zesłanie. Wśród nich był Adam Gąsiorowski, właściciel majątku Pawlino. Jego żona, Pelagia, która uniknęła wywózki, zorganizowała komitet pomocy zesłańcom, dostarczający im ubrania, żywność oraz leki. Zesłańcy po dotarciu do Irkucka, w dowód wdzięczności dla Pelagii, wykonali pamiątkę – miniaturowy obelisk. Na jego ścianie, na czarnym tle, umieszczono nazwiska zmarłych i pochowanych w drodze zesłańców. Wewnątrz, na jedwabnej wstążce wypisano nazwiska tych, którzy dotarli do Irkucka.



„Kłasy”

Benedykt Dybowski był odkrywcą i badaczem fauny jeziora Bajkał oraz przyrody i narodów Kamczatki. W 1884 roku Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie zorganizowało wystawę czasową ze zbiorów polskiego przyrodnika. Jak czytamy w czasopiśmie ilustrowanym „Kłasy”, które

znalazło się w naszych zbiorach: „Warszawa, której przede wszystkim zbiory swoje pokazał, jest pierwszym w Europie miastem mającym sposobność dokładnego zaznajomienia się z krainą tak odległą i tak mało dotąd znaną wykształconemu ogółowi”. Na wystawie można było zapoznać się z fotografiami i obiektami etnograficznymi obrazującymi kulturę pierwotnych ludów odległej krainy: Koriaków, Goldów, Aleutów czy Kamczadów. Ekspozycja cieszyła się tak dużą popularnością, że „nawet w dniu powszednie trudno się docisnąć do niektórych szaf, zawierających okazy efektowniejsze”.

Gorzów wspiera Muzeum Pamięci Sybiru

Kolekcja Muzeum Pamięci Sybiru wzbogaciła się o 74 obiekty przekazane przez Oddział Związku Sybiraków w Gorzowie Wielkopolskim. Przekazane fotografie i dokumenty są związane z deportacjami z lat 1940-1941, a także deportacjami powojennymi. Są świadectwem losów różnych ludzi i rodzin zesłanych na Sybir. Na szczególną uwagę zasługują te przedstawiające zesłańców pracujących w tajdze, wychowanków Domu Dziecka czy młodzież w Szkole Polskiej w Katakach w Altajskim Kraju. Równie cenne są świadectwa szkolne czy książeczki pracy dokumentujące pracę na zesłaniu. Dziękujemy!



Podziękowania

Najważniejsze w każdym muzeum są zbiory, dlatego niezmiernie cieszymy się, że z każdym rokiem jest ich coraz więcej. Nie przybywałoby ich w takim tempie, gdyby nie życzliwość naszych Darczyńców, którzy przekazują nam swoje osobiste pamiątki, rodzinne fotografie i dokumenty. Od początku roku do końca września do muzeum trafiło ponad 700 nowych eksponatów! Serdecznie dziękujemy! Dbamy o to, by przekazane przedmioty i dokumenty były w odpowiedni sposób zabezpieczone i przechowywane, opracowujemy je również naukowo i udostępniamy szerokiemu gronu odbiorców.

Jeśli chcesz przekazać eksponat, skontaktuj się z nami: tel. **+48 795 650 760**, k.sliwowska@sybir.bialystok.pl

Krew i trawa

Żołnierze 2. Korpusu Polskiego, wchodzącego w skład brytyjskiej 8. Armii, wyposażeni byli w brytyjskie znaki tożsamości. Żołnierz dostawał też nieśmiertelnik, który złożony był z dwóch części. Pierwsza, okrągła, była w kolorze czerwonym, druga zaś była ośmiokątna i zielona. Na obu wybijano te same dane identyfikacyjne żołnierza. Nieśmiertelniki noszono nawleczone jeden nad drugim na bawełniany sznurek. W razie śmierci zielony (w kolorze trawy) zostawał przy ciele poległego, czerwony zaś (w kolorze krwi) zabierano. Nieśmiertelnik ze zbiorów Muzeum Pamięci Sybiru należał do Alfonsa Sobolewskiego.



Flora z łągrów Workuty

W 1954 roku do Workuty przyjechała grupa naukowców zajmujących się poszukiwaniem pokładów węgla. Był wśród nich prof. Konstantin Polikarpowicz, który wpadł na pomysł udokumentowania okazów flory z tamtejszych okolic. Zadanie to powierzono Piotrowi Adasiowi – więźniowi workuckiego łągru. W zielniku, który trafił do zbiorów Muzeum Pamięci Sybiru, jest ok. 130 wodorostów, grzybów, mchów i roślin nasiennych.



Orzeł i tygrys

Po podpisaniu układu Sikorski-Majski i ogłoszeniu amnestii dla obywateli polskich, rozpoczęła się masowa ewakuacja polskiego wojska i ludności cywilnej ze Związku Sowieckiego. Trafiali do różnych regionów świata – do Afryki, Meksyku, Nowej Zelandii, na Bliski i Środkowy Wschód. Część trafiła do Indii, gdzie w Valivade koło Kolhapuru powstał obóz dla sierot polskich i półsierot. Ogółem przez obóz przeszło 5 tys. Polaków, z czego połowę stanowiły dzieci. Jako opiekunka sierocińca 2. Korpusu Polskiego przebywała tam również przedwojenna gwiazda Hanka Ordonówna. W celu upamiętnienia pobytu Polaków w Valivade powstała bransoleta, z orłem w koronie w centralnej części i indyjskimi symbolami po bokach.



Bieg Pamięci Sybiru



Fot.: Aleksandra Dudziak

800 osób z Polski i zagranicy, malownicza, pięciokilometrowa trasa w lesie Pietrasze oraz historyczne inscenizacje. 10 lutego 2019 roku, czyli w 79. rocznicę pierwszej deportacji Polaków na Sybir, odbyło się niezwykle wydarzenie sportowe - 1. Bieg Pamięci Sybiru.

Podczas czterech masowych deportacji przeprowadzonych w latach 1940–1941 na Syberię i do Kazachstanu wywieziono tysiące mieszkańców Białegostoku i okolic. Musieli opuścić swoje mieszkania, kamienice, podwórka, miasto... Swój dom. Niemal każdą rodzinę bezpośrednio bądź pośrednio dotknęły sowieckie prześladowania. Skutkiem deportacji oraz lat wojny i okupacji były ogromne straty demograficzne, które doprowadziły do gospodarczego i kulturowego upadku miasta.

Edukacja, wystawy, zbiory

Muzeum to nie tylko miejsce, ale przede wszystkim ludzie, ich pamięć i związane z nią emocje. Oprócz gromadzenia zbiorów, w których zaklęta została pamięć wydarzeń sprzed blisko 80 lat, zespół Muzeum prowadzi działania mające na celu upamiętnienie bolesnych do-

świadczeń setek tysięcy Polaków oraz odkrycie i upowszechnienie historii, która łączy losy wielu rodzin w naszym kraju.

Rodzaj aktywności i ich charakter wyznaczają rocznice wydarzeń związanych z deportacjami. Oficjalnym obchodom towarzyszy każdego roku szereg wydarzeń kierowanych do różnych grup odbiorców. Muzeum organizuje wystawy, pane-



Fot.: Krzysztof Karpiński

le dyskusyjne, spotkania ze świadkami historii, animacje w przestrzeni miejskiej czy – jak w tym konkretnym przypadku – bieg po jednym z białostockich lasów.

Symbolika biegu

Tym, co odróżnia Bieg Pamięci Sybiru od innych biegowych inicjatyw, jest towarzysząca mu symbolika. Miejsce, data, historyczne inscenizacje, nawet logo, którym stała się niezapominajka – symbol pamięci oraz pożegnania. To również wyraz tęsknoty i miłości. W przypadku 1. Biegu Pamięci Sybiru niezapominajka przywołuje pamięć o pierwszej masowej wywózce na Sybir.

W biegu zorganizowanym przez Muzeum Pamięci Sybiru we współpracy z Fundacją Białostockiego Biega uczestniczyło blisko 800 osób ze 115 miast, zarówno z Polski, jak i z zagranicy. Wzdłuż pięciokilometrowej trasy biegu przygotowane zostały inscenizacje nawiązujące do zatrzymań przez NKWD i transportu Polaków na Sybir. Umieszczono na niej również tabliczki informujące o miejscach wywozek. Wszystko po to, by bieg stał się doświadczeniem zmuszającym do refleksji, na długo pozostającym w pamięci.



Fot.: Krzysztof Karpinski



Fot.: Aleksandra Dudziak



Fot.: Aleksandra Dudziak

W lutym znów biegamy

Miejsce, w którym odbywa się bieg, zostało wybrane nieprzypadkowo: las Pietrasze leży niecały kilometr od dworca, z którego w 1940 roku odprawiane były pociągi na Wschód. Na tych samych leśnych ścieżkach zobaczymy się również 8 lutego 2020 roku. Po zmroku wybiegną na nie uczestnicy 2. Biegu Pamięci Sybiru. To dzięki nim pamięć o ofiarach będzie nadal żywa.

Jan Roguz

Instalacja RzeczyViste, czyli o trudnej historii poprzez sztukę

W chłodny i wietrzny poranek 13 kwietnia 2019 roku niejedyn białostoczanin przechodzący Rynkiem Kościuszki ukradkiem ocierał łzy. Przygotowana przez Muzeum Pamięci Sybiru instalacja artystyczna *RzeczyViste* w dojmujący sposób przypominała o kolejnej rocznicy deportacji na Sybir.

Instalacja wywołuje wrażenie nieładu, chaosu, uderza różnorodnością przedmiotów codziennego użytku rozrzuconych w przestrzeni bez wyraźnego klucza. Mamy tu więc buty, naczynia, odzież, okulary, biżuterię, maszynę do szycia, fotografie, dziecięce ubranka i zabawki. Przed każdym z przedmiotów znajduje się czarna lub biała płytką z krótkim opisem losów jego właściciela. W koncepcji autorki – Karoliny Mosiej-Zambrano – cała instalacja jest metaforą otwartej walizki. Przedmioty dobrała tak, by przypominały te, które w pośpiechu zabierali ze sobą deportowani na Sybir. To dlatego aranżacja sprawia wrażenie chaotycznej. Każda tabliczka przypisana jest do przedmiotu codziennego użytku – takiego, jaki mógł się znaleźć w tobołku czy w walizce osoby deportowanej. W ten sposób tworzymy obraz pakowanej pośpiesznie rodziny, która gubi niektóre z przedmiotów w drodze do pociągu lub na trasie. Przedmioty zostały dobrane w taki sposób, by pokazać przekrój społeczny deportowanych poprzez ich status majątkowy, przynależność do

grupy wyznaniowej, zawodowej czy wiekowej (należy pamiętać, że deportowano całe rodziny, zarówno dzieci, jak i starców). Kolor każdej płytki symbolicznie dopełnia informacje o losie deportowanych: o ich życiu lub śmierci. Imiona, wiek, kierunek wywózki nie są przypadkowe i potęgują wrażenie autentyczności sytuacji.

W rocznicę deportacji

Pozbawienie bohaterów instalacji nazwisk oraz nazw konkretnych kotchozów czy *posioł-*





ków, do których trafili, miało w zamyśle Autorki ekspozycji stanowić swoisty margines bezpieczeństwa przed zarzutem operowania autentycznymi ludzkimi tragediami. By skrócić opis losów deportowanych, ograniczyła się do użycia dwóch haseł kojarzących się z wywózkami: Kazachstan i Syberia. Syberia jest tu trochę hasłem-wytrychem, oznaczającym wszelkie, poza Kazachstanem, miejsca w Związku Sowieckim, do których zsyłano Polaków.

Instalacja *RzeczyViste* jest rodzajem teatru, który gra na emocjach widza za pomocą najprostszych skojarzeń i rekwizytów, które są autentyczne, a przynajmniej nawiązują swoim wyglądem do czasów okupacji sowieckiej. Data jej pierwszej prezentacji została dobrana nieprzypadkowo, bo 13 kwietnia to rocznica drugiej masowej deportacji z 1940 r. Splata się ona ze Zbrodnią Katyńską: w czasie, gdy mężowie i ojcowie ginęli rozstrzelani w Katyniu, Twerze czy Charkowie, ich rodziny były ładowane do wagonów i wiezione na Wschód.

Wzruszenie i łzy

Instalacja była dla wielu przechodniów zaskoczeniem. Niektórzy pytali, czy cała akcja ma jakiś głębszy cel. Inni chodzili od przed-



miotu do przedmiotu, uważnie czytając napisy na tabliczkach, po czym dziellili się wrażeniami. O tym, jak głęboką reakcją wywoływała instalacja, świadczyły nie tylko wypowiedzi widzów, ale też widoczne głębokie wzruszenie. Jedna ze zwiedzających, starsza pani z Łotwy, która dość wnikliwie chodziła od tabliczki do tabliczki, podeszła do nas, pracowników Muzeum, i – nie kryjąc też – opowiedziała historię swojej rodziny, która także została wywieziona w głąb ZSRS. Jak się przekonaliśmy, przekaz instalacji okazał się na tyle uniwersalny, że wywoływał głębokie emocje pomimo bariery językowej.



We wrześniu instalacja została zaprezentowana także podczas XX Ogólnopolskiego Zjazdu Historyków w Lublinie. W związku ze znacznie większą powierzchnią ekspozycji, została też poszerzona o ponad 30 przedmiotów – tak, by każdy przechodzący Traktem Królewskim mógł na nią natrafić. I tu wywołane emocje były tak samo silne, co potwierdziło uniwersalność przekazu.

Jak widać, wystawy historyczne nie muszą być wyłącznie rozszerzeniem wiedzy podręcznikowej. Instalacja *RzeczyViste* w sposób przekonujący dowodzi, że przekaz symboliczny może być znacznie bardziej uniwersalny od dosłownego.

Paweł Kalisz

„Gdy maki kwitły na zboczach...”

Losy żołnierzy 2. Korpusu Polskiego

Władysław Auchimowicz,
Wielka Brytania, 1946 rok

Monte Cassino – nazwa znana chyba wszystkim Polakom. W 2019 roku przypada 75. rocznica bitwy o to wzgórze, w której kluczową rolę odegrali żołnierze 2. Korpusu Polskiego. Wielu z nich miało za sobą pobyt na zesłaniu lub w łagrach Związku Sowieckiego. Muzeum Pamięci Sybiru zorganizowało wystawę czasową upamiętniającą te wydarzenia i przybliżającą losy walczących we Włoszech polskich żołnierzy.

W tytule ekspozycji znalazł się fragment wiersza Feliksa Konarskiego, żołnierza 2. Korpusu i poety, autora słów m.in. do piosenki „Czerwone maki na Monte Cassino”. Wystawę podzielono na trzy części. Pierwsza, zatytułowana „Drogi do wolności”, przedstawia długi i trudny szlak, jaki musieli przebyć Polacy, by dotrzeć do Italii. Kulminacyjnym punktem ekspozycji jest część druga, prezentująca udział 2. Korpusu Polskiego w kampanii włoskiej, w tym – w bitwie o Monte Cassino. Trzecia część wystawy nosi tytuł „Gorzka chwała” i porusza temat powojennych losów żołnierzy gen. Andersa.

Kuratorzy wystawy – Karolina Mosiej-Zambrano i dr Piotr Poptawski – wybrali ponad 70 ekspona-

tów spośród znajdujących się w zbiorach Muzeum Pamięci Sybiru kilkuset przedmiotów związanych z Armią Andersa i 2. Korpusem Polskim.

Drogi do wolności

Wystawę otwiera gabłota, w której znajduje się mapa ukazująca szlak Armii Andersa od jej powstania w ZSRS, poprzez ewakuację na Bliski Wschód aż po wysłanie Polaków z Egiptu do Włoch. W ciągu dwóch i pół roku z tysięcy byłych więźniów i zesłańców udało się utworzyć pełnowartościowe wojsko.

Gdy w lipcu 1941 r. rozpoczęto formowanie polskiej armii w rejonie Buzułuku (w południowej Rosji), natrafiono na problemy. Sowietci utrudniali rozpowszechnianie informacji o tworzeniu wojska, więc dla usprawnienia rekrutacji polski rząd emigracyjny powołał sieć tzw. mężów zaufania. Raport jednego z nich znajdziemy w gablocie; obok – dwa przedmioty powstałe na pamiątkę wstąpienia do Armii: notatki jednego z żołnierzy i samodzielnie wykonany krzyżyk. Armię wyposażono w mieszankę sprzętu sowieckiego (jak widoczny w gablocie karabin Mosin), brytyjskiego i amerykańskiego oraz polskie oznaczenia.

Polskie dowództwo wiedziało, że wstąpienie do 2. Korpusu mogło być jedyną szansą na ucieczkę z „niehumanitarnej ziemi”, nie tylko dla mężczyzn, ale też kobiet i dzieci. Ta część wystawy prezentuje więc pamiątki po ochotniczkach Pomocniczej Służby Kobiet, takich jak fartuch i czepek sanitariuszki PSK czy książeczka wojskowa.

Przykładem tego, co spotykało żołnierzy gen. Andersa na szlaku od ZSRS po Bliski Wschód, są losy Henryka Prejznera. Na wystawie znajdziemy jego zesłańczą książeczkę pracy z okresu sprzed „amnestii”, obok zaś sprzęt otrzymany z zapasów brytyjskich w Armii Andersa, odręcznie narysowaną mapę części Iraku, zebrane na Bliskim Wschodzie monety.

Kampania włoska

Do działań wojennych we Włoszech żołnierze gen. Andersa przystąpili w grudniu 1943 r. Główne siły 2. Korpusu stanowiła 3. Dywizja Strzelców Karpaccich oraz 5. Kresowa Dywizja Piechoty, których odznaki możemy zobaczyć w gablocie. W przeciwieństwie do innych korpusów alianckich Polacy mieli bardzo rozbudowaną strukturę: liczną artylerię i saperów (odznaka grupy saperów znajduje się w tej części wystawy), jednostki pomocnicze i tyłowe oraz Pomocniczą Służbę Kobiet.

W gablocie widzimy mapę szlaku bojowego 2. Korpusu i eksponaty związane z walkami. Uwagę przykuwa ręczny karabin maszynowy Bren.

Tego modelu używano w jednostkach 2. Korpusu. Obok wyeksponowano przygotowane przez polskich artylerzystów szkice terenu w okolicach Monte Cassino. Nie było to jedyne miejsce we Włoszech, gdzie walczyli Polacy: nasi żołnierze wyzwolili też Ankonę (prezentujemy jeden z polskich rozkazów z walk o to miasto), walczyli na linii Gotów i oswobodzili Bolonię, gdzie zastał ich koniec wojny. Na mapie Włoch zaznaczono miejsca najważniejszych bitew oraz cmentarze wojenne, gdzie spoczywają żołnierze 2. Korpusu.

Walka toczyła się także na zapleczu linii frontu. Wojnę propagandową ilustruje instalacja, na której prezentujemy słynny plakat



Stanisława Westwalewicza „Za wolność waszą i naszą” oraz niemieckie ulotki, mające skłonić Polaków do dezercji. Kompania geograficzna 2. Korpusu prowadziła drukarnię, w której wydawano m.in. przewodniki mające pomóc Polakom odnaleźć się we włoskich realiach (widoczne w dolnej części gabloty).

Gorzka chwała

Zwycięstwo nad Niemcami, życzliwość Włochów, zdobyte doświadczenia, odznaczenia za zastęgi wojskowe – dla „andersowców” to wszystko wraz z końcem wojny nabrało gorzkiego smaku. Polska znalazła się za „żelazną kurtyną”, a żołnierze gen. Andersa doskonale znali sowieckie realia.

W ostatniej gablocie prezentujemy odznaczenia otrzymane przez żołnierzy 2. Korpusu, m.in. trzy Krzyże Pamiątkowe Monte Cassino. Powyżej widać niezwykle wymowną fotografię żołnierza siedzącego na wybrzeżu Anglii i zapatrzonego w dal. Dolna część ekspozycji to bagaże żołnierzy, których czekała trudna decyzja: wracać do Polski czy nie? Pokazujemy też dokumenty repatriacyjne tych, którzy postanowili wrócić do kraju.

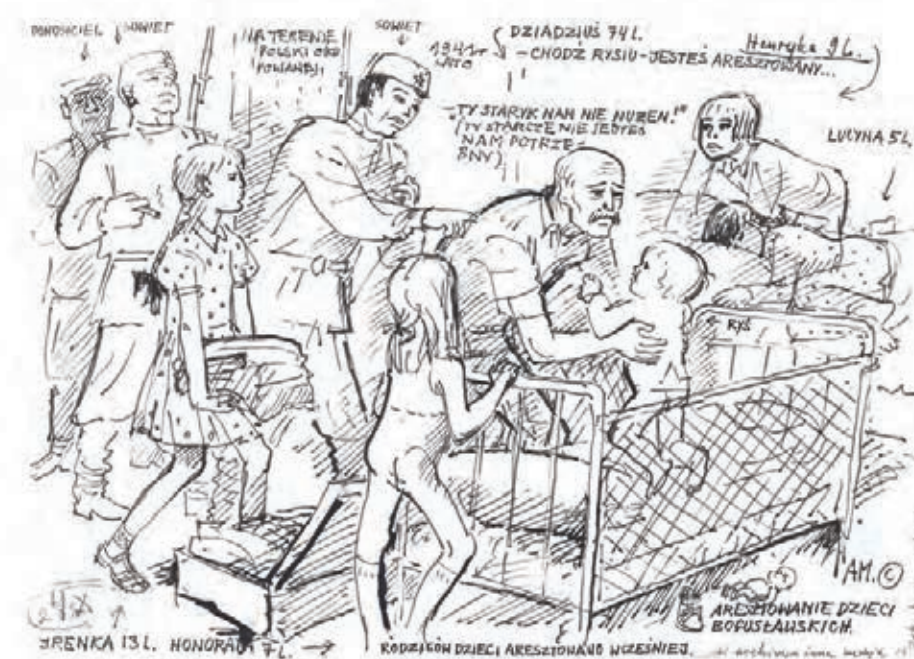
Większość żołnierzy gen. Andersa osiadła po wojnie w Wielkiej Brytanii, gdzie skierowano 2. Korpus w 1946 r. Władze brytyjskie starały się pomóc im w adaptacji do życia w nowej rzeczywistości, ale wielu byłych żołnierzy podążyło dalej, rozpraszając się po całym świecie. W gablocie widzimy ulotki przygotowane przez polski rząd emigracyjny, skierowane do żołnierzy m.in. 2. Korpusu, jak też dokumenty związane z poszukiwaniami bliskich.

Wystawa jest eksponowana w Centrum Edukacyjno-Wystawienniczym Muzeum Pamięci Sybiru przy ulicy Sienkiewicza 26 w Białymstoku. Towarzyszy jej kiosk multimedialny z rozszerzonymi informacjami o niektórych zagadnieniach związanych z Armią Andersa oraz filmy ze wspomnieniami polskich żołnierzy. Kuratorzy wytypowali też szereg dat związanych z wojskiem gen. Andersa, podczas których eksponowane są dwa manekiny w mundurach z różnych okresów funkcjonowania wojska.



Dr Piotr Popławski

Cierpienie szkicowane ołówkiem



„Sybir ołówkiem Aliny Maliszewskiej” to tytuł albumu oraz instalacji przygotowanych przez Muzeum Pamięci Sybiru. Stanowiły one część obchodów 79. rocznicy pierwszych masowych wywozków na Sybir.

Alina Maliszewska, twórczyni wielu postaci z filmów animowanych (na czele z dobrze nam znanym Koziołkiem Matołkiem), poznała trudy zesłania i ucieczki z „niehumanitarnej ziemi”. 13 kwietnia 1940 roku, wraz z matką i bratem, została wywieziona do Kazachstanu. Po wielu latach wykorzystała swój talent plastyczny, by opowiedzieć o doświadczeniu masowej wywózki. Rysunki Maliszewskiej stanowią wizualizację zarówno jej własnych przeżyć, jak i doświadczeń innych Sybiraków. Biurowateczka pełna czarno-białych rysunków okazała się skarbnicą tematów związanych z zesłaniem. Muzeum Pamięci Sybiru zdecydowało się wydać szkice w formie albumowej oraz przygotować aranżację wykorzystującą spuściznę Aliny Maliszewskiej. Projekt instalacji wykonała Iwona Kolasińska, ona też wybrała grafiki z obszernego zasobu udostępnionego Muzeum przez artystkę.

Autorka aranżacji zaproponowała projekt, którego kolorystyka i forma zbliżona jest do charakteru prac Aliny Maliszewskiej. Instalacja składa

się z podestu wystawienniczego, czterech plansz informacyjnych oraz swego rodzaju albumu, w którym zaprezentowano 6 wybranych ilustracji z książki.

„Witacze” i witani

Odbiorca odwiedzający instalację najpierw „przenosi się w czasie” do 17 września 1939 roku. Szkicując napad Sowietów na Polskę, Maliszewska skupiła się na grupie ludności, którą nazwała „witaczami” – byli to ci, którzy entuzjastycznie witali agresorów ze Wschodu. Podkreśliła ich obecność przy bramach powitalnych, obrysowując zdecydowaną, grubą kreską kontury postaci. Motywem powtarzającym się uczyniła kwiaty, którymi wymachiwali „witacze”. W centrum ilustracji widoczny jest czołg i pozdrawiający wszystkich zgromadzonych czołgista. Nad głowami ludzi powiewają flagi z sierpem i młotem.

Kolejna ilustracja przedstawia aresztowanie w domu Bogusławskich. Artystka naszkicowała uczestników aresztowania, podkreślając rolę

odegrane przez poszczególne osoby w trakcie aresztowania i zwracając uwagę na problem dzieci osieroconych wskutek represji sowieckich. Każdą postać opisała, a nieraz nawet „ożywiła” podanym tuż obok komentarzem.

Trudne chwile

Inna wykorzystana w instalacji karta z albumu ukazuje załadunek do, jak to określiła, „orbisowskiego” wagonu w Bielsku Podlaskim 13 kwietnia 1940 roku – kąśliwe określenie pociągu wiozącego deportowanych tłumaczyć można tragizmem sytuacji, która dotknęła kilkunastoletnią Alinę, i której chciała ona po latach nadać komiczny wydźwięk.

Kolejny rysunek prezentuje deportację rodzin ofiar zbrodni katyńskiej. Poza graficznym przedstawieniem specyfiki trzeciej wywózki (maj–lipiec 1940), w ramach której deportowano kobiety, dzieci i starców, artystka skupiła się na przedstawieniu konkretnej rodziny – bliskich Stanisława Eustachego Strzemeckiego, byłego legionisty i policjanta, zamordowanego w Twerze. Maliszewska zaproponowała scenkę rodzajową, identyfikując każdą narysowaną osobę imieniem i nazwiskiem oraz dodając „dymek” z tekstem.

Przedstawienie sytuacji zesłańców byłoby niepełne bez szkiców dotyczących ich ciężkiej pracy. Autorka instalacji wybrała więc rysunek przedstawiający wyręb lasu w rejonie sarolińskim (Krasnojarski Kraj) oraz dającą się we znaki deportowanym wszechobecną meszkę. Prezentację zamyka szkic domu zasypanego śniegiem zimą na przełomie 1942 i 1943 roku. Wokół domu widać ludzi odkopujących dach, wysoki i wąski tunel prowadzący do wejścia oraz człowieka z wiadrem w oddali. „Dookoła namiotu fekalia. Więc po czysty śnieg na wodę chodziliśmy dalej” – dopisała pani Alina. Odręczne podpisy i notatki wykonane przez artystkę potraktowane zostały jako integralna część szkiców.

Uroczysta premiera

Wprowadzenie i narrację uzupełniającą materiał artystyczny stanowią 4 plansze wykonane na tkaninie (nadającej instalacji lekkości) prezentowane w układzie wertykalnym ponad podestem z albumem. Plansza pierwsza spełnia rolę tytułowej, dwa środkowe panele to przedruk okładki albumu zawierającego rysunki Maliszewskiej, zaś ostatnia plansza to merytoryczny opis wysta-



wy wprowadzający odbiorcę zarówno do tematu masowych wywózek XX wieku, jak i losów autorki szkiców.

Premierowy pokaz instalacji oraz promocja albumu Aliny Maliszewskiej odbyły się 8 lutego 2019 roku w budynku Opery i Filharmonii Podlaskiej przy ulicy Podleśnej 2. Uczestnicy wernisażu mieli przy tym okazję spotkać się z córką autorki szkiców. Później odbył się koncert w 79. rocznicę pierwszych wywózek na Sybir pt. „Pamięć”. Orkiestrę Opery i Filharmonii Podlaskiej poprowadził Mirosław Jacek Błaszczuk.

Wystawa „Sybir ołówkiem Aliny Maliszewskiej” po miesięcznej ekspozycji w foyer filharmonii była prezentowana w Bielsku Podlaskim i w Wałbrzychu. Można ją też było zobaczyć w Centrum Konferencyjno-Wystawienniczym przy ul. Kościelnej w Białymstoku w ramach spotkania muzealników przygotowanego przez Muzeum Pamięci Sybiru w ramach cyklu „Kierunek Muzeum”.

Monika Szarejko

Drzewa otulone bielą



Fot.: Iwona Kolańska

Instalacja artystyczna „CO PIĄTY...” poświęcona jest pamięci białostoczan wywiezionych w głąb Związku Sowieckiego. Według szacunków historyków co piąty mieszkaniec miasta w okresie od lutego 1940 do czerwca 1941 roku został zesłany na Sybir.

Instalacja autorstwa Iwony Kolańskiej stanowiła część obchodów 80. rocznicy agresji Armii Czerwonej na Polskę we wrześniu 1939 roku, organizowanych przez Muzeum Pamięci Sybiru. Aranżacja, w nietypowy sposób przywołująca pamięć o tragicznych wydarzeniach, skierowana była do lokalnej społeczności. Wbudowana w miejski krajobraz, przez blisko miesiąc stanowiła jego nieodłączny element, pobudzający do refleksji nad wpływem historii i decyzji politycznych na ludzkie życie.

Niejedno drzewo w Parku Konstytucji 3 Maja pamięta zawieruchę II wojny światowej. Co piąte zostało otulone bielą, miękką tkaniną i blaskiem światełka. W ten sposób autorka instalacji przywołała pamięć o wywiezionych mieszkańcach Białegostoku: kobietach, mężczyznach i dzieciach. Zastonięte tkaniną drzewa symbolizują też deportowanych ludzi, którzy nagle, niespodziewanie zniknęli i mieli nigdy już nie powrócić do swoich domów. Zostali wyrwani, tak jak drzewa podczas karczowania lasu; potraktowani jak zbędny element, który nigdy już nie miał

się odrodzić. Każde z tak oznaczonych drzew w parkowej alejce to znak naszej pamięci o tych, których nieludzki reżim skazał na głód, chłód, tułaczkę, pracę ponad siły, tęsknotę za domem, rodziną, przyjaciółmi, odbierając wszystko i nie dając w zamian nic. Tysiące ludzi skazano na to, aby byli trybikami w totalitarnej maszynie. Dla wielu deportowanych syberyjska ziemia stała się końcem doczesnej wędrówki, część tam osiadła,





Fot.: Iwona Kojasławska

część przeszła szlak bojowy wraz z armią gen. Andersa lub gen. Berlinga. Wielu Sybiraków powróciło do kraju – czy jednak był to powrót do normalności?

Pierwsza masowa deportacja zaczęła się zimą nocą 10 lutego 1940 roku. Dotknęła przede wszystkim osadników wojskowych, służbę leśną, uciekinierów z Rosji po wojnie bolszewickiej. Potem były jeszcze trzy kolejne – w kwietniu i w czerwcu 1940 roku oraz w czerwcu 1941.

Każda z nich miała podobny przebieg – przychodzili nad ranem, wrywali ze snu. Popychali kolbami karabinów i popędzali krzykiem, nieprzytomnym ze strachu „życzliwie” doradzali spakować to, co najpotrzebniejsze, w ciągu kilkunastu minut. Rozpacz pozbawiała możliwości logicznego myślenia. Tułających się do siebie ze strachu, szepczących modlitwy, wywieźli w nieznaną, do obcej ziemi. Odarli z godności, pozbawili nadziei, siejąc strach i terror. Deportowanych z miejsca skazali na życie w nieludzkich warunkach i katorżniczą, niewolniczą pracę ponad siły. To, co budziło najpierw niepewność, coraz bardziej zbliżało się do przerażenia, pustki i osamotnienia.

Przelotna i migawkowa instalacja Muzeum Pamięci Sybiru w założeniu miała budzić potrzebę kontemplacji, refleksji i zatrzymania się, stając się w ten sposób działaniem społecznym, wspólną



sprawą podejmowaną ku pamięci ofiar bezdusznego reżimu. Parkowe drzewa stoją w wiecznym trwaniu niczym strażnicy ludzkiej pamięci i wspomnień pośród przechadzających się w zadumie mieszkańców miasta...

Instalacja „CO PIĄTY...” prezentowana była w Parku Konstytucji 3 Maja w Białymstoku od 14 września do 6 października 2019 roku. Podczas jej otwarcia uczestnicy i widzowie otrzymali Drzewka Pamięci – sadzonki dębów, które symbolicznie niosły przesłanie pamięci o deportowanych na Sybir mieszkańcach Białegostoku.

Urszula Wolfram



Twarze towarzyszy broni

W październiku „gościliśmy” w naszym Muzeum fascynującą wystawę: były to portrety żołnierzy z Armii Andersa, wykonane przez Tadeusza Wojnarskiego, także „andersowca”. Prezentowane w Białymstoku prace, stanowiące tylko część dorobku artystycznego ich twórcy, były pokazywane w Polsce po raz pierwszy.

Akwarele, które można podziwiać na wystawie „Tadeusz Wojnarski – żołnierz i artysta. Portrety towarzyszy broni z Armii Andersa”, są częścią rodzinnej kolekcji Wojnarskich. Udostępnił je Muzeum Pamięci Sybiru syn artysty Tadeusz Wojnarski junior. Prace pochodzą z „włoskiego” okresu twórczości artysty, tzn. z lat 1944–1945, czyli z okresu najcięższych walk prowadzonych we Włoszech w czasie II wojny światowej. Portrety były dominującą formą wśród prac Tadeusza Wojnarskiego w tym okresie.

Oglądane na wystawie twarze żołnierzy prezentowane są en face lub lekko odwrócone na bok. Emanują ogromną ekspresją, wyzierają z nich potężne emocje: napięcie, zawziętość, nadzieja, ale też strach i zwątpienie. Artysta znakomicie oddał osobowość portretowanych osób. Uwiecznianie frontowych kolegów stało się dla niego niemal misją, potrzebą zachowania nie tylko w pamięci żołnierzy, którzy w każdym momencie mogli zginąć. Była to dla niego zapewne próba odreagowania i poradzenia sobie z trudną emocjonalnie sytuacją. W warsztacie artysty można dostrzec w pewnym momencie zmianę – maluje tak, jakby brakowało mu czasu na dopracowanie szczegółów. Ekspresji obrazom dodaje zdecydowana kreska, która tworzy kontur twarzy

– dynamiczny, rozedrgany, ale i płynny. Pofalowane włosy podkreślone czarnymi lub ciemnobrunatnymi pociągnięciami pędzla czasami zakrywa wojskowy beret. Tło Wojnarski maluje zazwyczaj energicznymi ruchami, nakładając kolorowe plamy. Kompozycję kolorystyczną dopełnia ciemna zieleń mundurów wojskowych.

Akwarele Tadeusza Wojnarskiego są swego rodzaju plastycznym dokumentem, dzięki któremu możemy „poznać” żołnierzy walczących w Armii Andersa we Włoszech. Wielu z nich poległo na obcej ziemi. Artysta uwiecznił ludzi i ich emocje, które, wypisane na twarzach, są odzwierciedleniem napiętej sytuacji tamtych lat.

Tułaczka

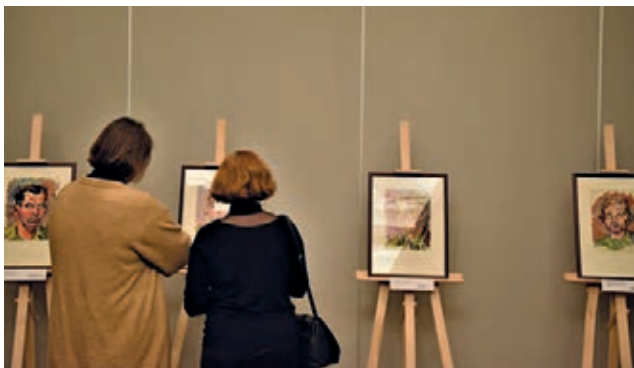
We wrześniu 1939 roku w młodzińcze życie Tadeusza Wojnarskiego brutalnie wdarła się wojna. Jego ojciec Witold został zmobilizowany i nigdy już nie wrócił do rodziny. Nie wiadomo, co się z nim stało. Tadeusz miał rozpocząć naukę w maturalnej klasie, ale zamiast tego razem z matką i młodszym bratem ewakuowali się na wschód, uciekając z Warszawy przed niemieckimi bombardowaniami. Po agresji sowieckiej 17 września 1939 roku zmuszeni byli do dalszego przemieszczania się i szukania pomocy u zna-

jomych i dalekich krewnych. W 1940 roku próbowali uzyskać zgodę na powrót do Warszawy, ale władze sowieckie (znajdowali się na terenach okupowanych przez ZSRS) nie chciały wydać im stosownych dokumentów. Tadeusz postanowił razem ze znajomymi przedostać się do stolicy nielegalnie. Niestety, wszyscy zostali złapani i uwięzieni pod zarzutem szpiegostwa. Wojnarski był przez rok przetrzymywany w Odessie, zanim w końcu usłyszał wyrok i został deportowany do łagru w głąb ZSRS. Dzięki amnestii został zwolniony. Udało mu się dostać do tworzonej przez Władysława Andersa armii, z którą opuścił „nie-ludzka ziemię”.

Malarska pasja

To właśnie po wyjściu z łagru Wojnarski zaczął tworzyć pierwsze prace. Okazało się, że ma wrodzony talent plastyczny. Z tego początkowego okresu jego twórczości zachował się tylko jeden obraz: niewielki portret jest dobrze skomponowany, model ma poprawnie oddane proporcje, a w rysach twarzy widać oddane indywidualne cechy portretowanego. Dzięki nowo odkrytym umiejętnościom Tadeusz zarabiał na życie. W armii zauważono jego talent plastyczny i zlecano m.in. tworzenie scenografii teatralnych. Tadeusz cały czas malował też portrety osób, które spotykał na swojej drodze, zarówno kolegów z obozu wojskowego, jak i nauczycieli z Junackiej Szkoły Kadetów. Spod jego ręki w tym okresie wyszedł cykl karykatur, który świadczy o niezwykłym darze obserwacji.

Po ukończeniu kursu maturalnego Wojnarski od razu trafił na front włoski, gdzie 2. Korpus Polski brał udział w zdobyciu Monte Cassino. Po zakończeniu wojny pozostał we Włoszech i podjął naukę w rzymskiej Akademii Sztuk Pięknych. Studiów jednak nie ukończył: już w 1946 roku rozpo-



Fot.: Karolina Mosiej-Zambrano

częto demobilizację żołnierzy Korpusu Polskiego, pozostawiając im wybór – wyjazd do Anglii lub powrót do Polski. Nie widząc możliwości powrotu do ojczyzny, Wojnarski skorzystał z programu stypendialnego hiszpańskiej katolickiej fundacji Pax Romana. Podjął studia w Madrycie, gdzie ukończył wydział malarstwa. W 1951 roku ożenił się z daleką krewną zamieszkałą w Szwajcarii. W 1958 roku przeniósł się z rodziną do Zurychu, gdzie pracował m.in. jako dekorator w największej sieci szwajcarskich sklepów spożywczych i nauczyciel malarstwa, edukujący i dzieci, i dorosłych. Był też aktywnym działaczem społecznym, udzielającym się na rzecz Polonii mieszkającej w Zurychu. Zmarł 7 sierpnia 1999 roku.

Malarstwo do końca życia pozostało jego największą pasją. Z trudnymi wspomnieniami radził sobie przelewając na papier i płótno obrazy zapamiętane z więzienia i łagru.

Prezentowane w Białymstoku obrazy Wojnarskiego zostały wypożyczone Muzeum na kilka miesięcy. Październikowa wystawa była ich premierowym pokazem. Kolejne ekspozycje planujemy w 2020 roku.

Magdalena Zięckowska-Tuchlińska



„Wielkopoleanie ku Niepodległej – w stulecie zwycięskiego powstania 1918–1919 roku”

W czerwcu mieliśmy przyjemność gościć w Białymstoku naszych poznańskich kolegów oraz przygotowaną przez nich ekspozycję. Znaczących rozmiarów wystawa plenerowa popularyzuje wiedzę o zwycięskim powstaniu wielkopolskim w rocznicę jego stulecia i jest ważnym elementem upamiętnienia setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku. Jej prezentacja w Polsce i za granicą to także element promocji idei budowy w Poznaniu nowej siedziby Muzeum Powstania Wielkopolskiego 1918–1919. Tym bardziej cieszymy się z tej współpracy. Po wernisażu odbył się koncert „Kartka z powstania” i panel dyskusyjny poświęcony porównaniu rozumienia i przywracania niepodległości w Wielkopolsce i na Kresach Wschodnich.



80. rocznica trzech wielkich deportacji (1940)

10 lutego 2020 roku, w związku z okrągłą rocznicą, proponujemy wystawę poświęconą 80. rocznicy trzech wielkich deportacji (1940). Zarówno w swej formie jak i treści (opartej na oryginalnych relacjach Sybiraków) wystawa będzie nawiązywała do ekspozycji stałej powstającej w budynku Muzeum przy ul. Węglowej w Białymstoku. Jej kompaktowość to szansa dla wszystkich szkół, instytucji, placówek kulturalnych, zainteresowa-

nych dziejami polskiego Sybiru i zatroskanych o edukację w tym zakresie. Zapraszamy do kontaktu już w lutym 2020 roku.



Memoriał Katyński – w 80. rocznicę zbrodni

Zanim po raz pierwszy zgromadzimy się w Memoriale Katyńskim powstającym w nowym budynku Muzeum przy ul. Węglowej, chcielibyśmy przedstawić jego ideę przyszłym odbiorcom, Sybirakom, Federacji Rodzin Katyńskich, mieszkańcom miasta. Dlatego też proponujemy aranżację w przestrzeni publicznej przypominającą o jeńcach zamordowanych przez funkcjonariuszy NKWD wiosną 1940 roku. Jej premierowy pokaz będzie towarzyszył obchodom rocznicy Zbrodni Katyńskiej w Białymstoku.

#Budujemy – Muzeum Pamięci Sybiru

Noc Muzeów 2020 to doskonała okazja, by wspominać akcję **#Budujemy – Muzeum Pamięci Sybiru**. Pod takim tytułem zaprezentujemy naszym odbiorcom historię powstania Muzeum, etapy jego budowy, osoby związane z okazałą architekturą przy ul. Węglowej, ciekawostki i tajemnice wydobyte z ziemi pod terenem budowy, wyjątkowe przedmioty, które choć zabytkami jeszcze nie są, to niosą ze sobą prawdziwą i ważną dla nas historię tworzenia się miejsca spotkania, dialogu, pamięci – Muzeum Pamięci Sybiru. Noc Muzeów 2020 roku będzie wyjątkowa, taka też ma być towarzysząca jej wystawa, na którą już teraz zapraszamy.

Nasze wystawy mogą do Was przyjechać

Dysponujemy coraz większą liczbą wystaw, które mogą być eksponowane w dowolnym miejscu – szkole, urzędzie, parku. Zachęcamy do zapoznania się z naszą ofertą w zakładce „wypożycz wystawę” na stronie www.sybir.bialystok.pl. Znajdziecie tam opisy wystaw, które można wypożyczyć. Zapraszamy do współpracy!



Turysta w kajdanach

Agaton Giller za antyrosyjską działalność konspiracyjną został w 1853 roku skazany na katorgę w batalionach karnych na Syberii. Przez 16 miesięcy maszerował na wschód w kajdanach. 8,5 tys. przebytych kilometrów w towarzystwie 250 kryminalistów nie zabito w nim fascynacji otaczającym światem. W swoich notatkach opisywał każdy fragment drogi. Gdy w pierwszych dniach tej morderczej trasy dotarł do Białej Podlaskiej, postanowił zwiedzić miasto. Przekupił więc jednego z konwojentów i o świcie, gdy oficerowie jeszcze spali, w kajdanach, pilnowany przez uzbrojonego kozaka, obszedł zamek, kościół i centrum miasta, po czym grzecznie dołączył do szykującego się do drogi konwoju.

Pokojowy Nobel dla Stalina!?

Pomimo tego, że co jakiś czas laureaci Pokojowej Nagrody Nobla budzą kontrowersje, jej prestiż jest wciąż ogromny. Czy byłaby tak nadal postrzegana, gdyby przed laty jej laureatem został... Józef Stalin? Chociaż może to szokować, taka kandydatura została oficjalnie zgłoszona, i to dwa razy. W 1945 roku generalissimus został nominowany „za wysiłki na rzecz zakończenia II wojny światowej”, a zgłaszającym był Halvdan Koht – były minister spraw zagranicznych Norwegii. Kolejne, krwawe lata rządów tyrana nie przeszkodziły czeskiemu naukowcowi Władisławowi Riegerowi, by w 1948 roku ponownie zgłosić Stalina do pokojowego „Nobla” z uzasadnieniem podobnym jak poprzednio. I tym razem się nie udało. Trzeciego zgłoszenia na szczęście już nie było.

Symbol telewizji, czy polskiej historii?

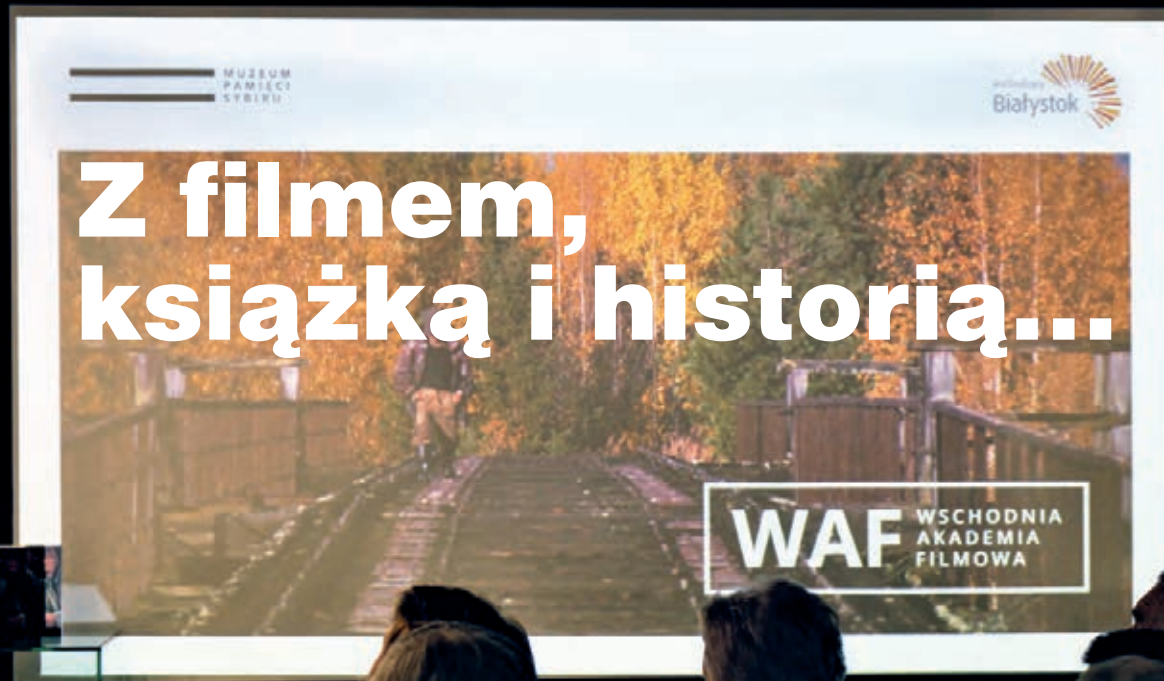
Jan Suzin był telewizyjną legendą – najbardziej charakterystycznym i cenionym prezenterem w historii polskiej telewizji. W 1955 roku, w pierwszym konkursie na stanowisko spikera telewizyjnego, pokonał 2 tys. kandydatów! Nikt się wówczas zapewne nie spodziewał, że rozpoczął w ten sposób ponad 40-letnią, spektakularną karierę medialną. Jego przodkowie również byli wybitni, chociaż na miano celebrytów z pewnością nie zasługiwali. Jego ojciec Leon w 1920 roku walczył przeciwko bolszewikom, a w 1939 roku przeciwko Niemcom. Z kolei pradziad, Adam Suzin, był członkiem Towarzystwa Filaretów na Uniwersytecie Wileńskim. Aresztowany w 1823 roku, ponad 10 lat spędził na syberyjskim zesłaniu. Jego niezłomną postawę w czasie śledztwa podziwiał sam Adam Mickiewicz, który upamiętnił go w III części „Dziadów”.



Odnaczenie pośmiertne za życia?

Wszyscy chyba słyszeli o tym, jak Józef Stalin wstrzymał ofensywę Armii Czerwonej i czekał, aż Niemcy stłumią Powstanie Warszawskie. Mniej osób wie, że niektóre oddziały 1. Armii Polskiej w ZSRS przepłynęły Wisłę i wzięły udział w walkach z Niemcami – ramię w ramię z powstańcami. Wśród „berlingowców”, którzy walczyli na warszawskich przyczółkach, była ppor. Janina Błaszczak, rodem z Wołynia. Jako córka legionisty i osadnika wojskowego, w lutym 1940 roku została deportowana na Sybir, a w 1943 roku wstąpiła do „ludowego” Wojska Polskiego. Uczestniczyła w desancie na przyczółek czerniakowski, skąd nie powróciła. Uznano więc, że zginęła w walce i pośmiertnie odznaczono ją orderem Virtuti Militari. W rzeczywistości, ciężko ranna, dostała się do niemieckiej niewoli. Uwolniona przez Armię Krajową chciała wrócić do wojska, lecz aresztowała ją NKWD. Tłumaczenia, że jest żołnierką nic nie dały. Miała zostać zesłana na Wschód ponownie. Uciekła... ale to już inna historia.





Różne aspekty polskich losów na Wschodzie, zwłaszcza zesłania i deportacje, ale również wielki wkład w odkrywanie Syberii, jej przyrody i rdzennych mieszkańców. Zróżnicowane narzędzia edukacyjne – od lekcji muzealnych po spotkania z literaturą, badaczami, podróżnikami oraz filmem. A wszystko to w ramach Wschodniej Akademii Filmowej i Klubu Edukacji Historycznej w Muzeum Pamięci Sybiru.

Podczas naszych spotkań edukacyjnych staramy się pokazać, jak fascynującym zajęciem może być poznawanie historii. Nawet jeżeli wypływa ona z trudnych doświadczeń, opowiada prawdę o człowieku, jego życiu, namiętnościach, konfrontacjach z systemami politycznymi, ale przede wszystkim zwycięskiej ludzkiej naturze. Bo odkrywanie historii nigdy się nie kończy...

Drogą umarłych do łagru „0”

Tomasz Grzywaczewski pasjonuje się poszukiwaniem i odkrywaniem zapomnianych opowieści. To podróżnik, dziennikarz. Jest pomysłodawcą Long Walk PLUS Expedition – głośnej wyprawy śladami ucieczki z gułagu Witolda Głińskiego (Peter Weir poświęcił tej ucieczce film „Niepokonani”). W 2013 roku uczestniczył w wyprawie w poszukiwaniu pozostałości łagrów i śladów po jednej z najbardziej absurdalnych inicjatyw Stalina. To tej podróży i książce „W poszukiwa-

niu Drogi Umarłych” poświęciliśmy styczniowe spotkanie w ramach Klubu Edukacji Historycznej. Podróżnika zainspirowała opowieść o kolei widmo: zarzuconej po śmierci Stalina Transpolarnej Magistrali Kolejowej na północy Syberii. Autochtoni, z którymi globtroterzy spotkali się już w Rosji, nie wierzyli w sukces wyprawy Polaków. Przemierzali oni jednak 1930 km z Krasnojarska do Janowego Stanu w poszukiwaniu pozostałości inwestycji, która pochłonęła blisko 100 tys. istnień ludzkich. Po całej Transpolarnej Magistrali Kolejowej nigdy nie przejechał żaden pociąg, do dzisiaj jednak na północy Syberii śmiałkowicie mogą odnaleźć jej pozostałości – szczątki torowisk, wykolejone lokomotywy i łagrowe baraki. Z prezentowanych na spotkaniu fotografii wyłonił się isticie księżycowy krajobraz „Drogi Umarłych” i tzw. Łagru „0” (miejsca pobytu pierwszych więźniów budujących kolej). Mimo upływu czasu i niszczącego działania natury, wiedza o tamtych wydarzeniach może jednak przetrwać. Wydoby-

wana z niepamięci dzięki zapaleńcom, którzy nie boją się podjąć ryzyka wyprawy w nieznaną, zaczyna żyć swoim życiem, inspirując do kolejnych poszukiwań.

W Kraju Sacha

Jedni z naszych tegorocznych gości przybyli z Jakucji. Jekatierina Romanowa i Lena Stepanowa (jakuckie historyczki i antropolożki) oraz Paulina Kopestyńska (malarka i portrecistka, Jakutka mieszkająca w Polsce) opowiedziały, jak wielki wpływ na historię Jakucji wywarli Polacy. Jakuci zawdzięczają im świadomość swojego dziedzictwa kulturowego, rozwój języka jakuckiego oraz inspirację dla działań inteligencji. Monograficzne dzieło Wacława Sieroszewskiego – „Jakuty”, traktowane jest przez mieszkańców Kraju Sacha jako dzieło narodowe. Sergiusz Jastrzębski napisał podręcznik do gramatyki języka jakuckiego, Mikołaj Witaszewski pozostawił po sobie prace dotyczące prawnej strony życia Jakutów, zaś Edward Piekarski napisał słownik języka jakuckiego, który uchodzi dziś za swoistą encyklopedię kultury Jakutów. Jakuckie badaczki realizują w Polsce i Jakucji projekt poświęcony spuściznie Piekarskiego. Pragną doprowadzić do postawienia badaczowi pomnika w Muzeum Miejskim w Żorach. Ma stanąć obok innych zasłużonych badaczy Syberii: Wacława Sieroszewskiego i Bronisława Piłsudskiego.

Piekarski, zesłany do Jakucji w 1881 roku, przebywał tam 24 lata, zajmując się głównie badaniami języka Jakutów i Tunguzów. W prace nad słownikiem języka jakuckiego zaangażował miejscowych wykształconych Jakutów, dając tym samym impuls do zbudowania grupy inteligencji. Lenę Stepanową i Jekatierinę Romanową zainteresował zwłaszcza ten aspekt działalności Piekarskiego, który w dużej mierze zdecydował



Fot.: Fot.: Władysław Tokarski

o odrodzeniu jakuckiej tożsamości. Jakucja pamięta o tym – w Jakucku znajduje się pomnik oraz ulica Edwarda Piekarskiego, a szkoła w Debdirge, gdzie był zesłany, nosi jego imię.

Wieczór z Eugeniuszem Bodo

Nostalgiczne szlagiery, charakterystyczne głosy przedwojennych aktorów, twarze filmowych amantów, spojrzenie spod długich rzęs pięknych aktorek – to symboliczne elementy starego polskiego kina. A opowiadał o nich w Muzeum Pamięci Sybiru znawca i popularyzator tego nieobecnego już dzisiaj świata – Stanisław Janicki. W majowej edycji Wschodniej Akademii Filmowej mogliśmy wysłuchać jego opowieści o Eugeniuszu Bodo, przedwojennym gwiazdorze kina, którego takie przeboje jak: „Sex appeal”, „Umówiłem się z nią na dziewiątą” czy „Już taki jestem zimny drań” nucą do dzisiaj coraz to młodszy fani jego talentu. Opowiadaliśmy o tym właśnie aktorze ze względu na jego tragiczne, syberyjskie losy. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych udało się opisać, co tak naprawdę stało się z nim w czasie wojny, a szczegóły ustalił właśnie nasz gość – Stanisław Janicki. Opowieść o tragicznym losie przedwojennej gwiazdy zamknął w filmie „Eugeniusz Bodo. Za winy niepopłacone”, który zaprezentowaliśmy na spotkaniu. Bodo zmarł z wycieńczenia w Kołtasie, w obwodzie archangielskim, skazany na pobyt w łagrach. Dziś znajduje się tam poświęcona mu tablica. Stanisław Janicki swoją opowieścią przeniósł widzów w przeszłość. Zauroczył, zaciekał i pozostawił niedosyt... Pokazał, że pasja dociekania i poszukiwania, nawet długoletniego, zawsze owocuje zbliżeniem się do prawdy.



Fot.: Agnieszka Pietrasz

Anna Kietlińska



Rowerem przez historię Białegostoku

Peleton Pamięci 17.09 to cykliczna impreza organizowana przez Muzeum Pamięci Sybiru przy wsparciu białostockich instytucji. 17 września już po raz trzeci, pomimo niesprzyjającej pogody, ponad setka uczestników w różnym wieku spotkała się, aby zachować pamięć o 80. rocznicy agresji sowieckiej na Polskę. Dlaczego rower? Bo jazda na rowerze to forma spotkania z ludźmi, która pozwala na aktywne poznawanie historii. Tegoroczne obchody 100. rocznicy odzyskania przez Białystok niepodległości dodały wydarzeniu jeszcze bardziej symbolicznego znaczenia.

Rowerowy przejazd stał się szczególną okazją do ukazania Białegostoku w okresie II wojny światowej. Przemierzając współczesne ulice miasta cofnęliśmy się w czasie do miejsc i ludzi ważnych dla historii stolicy Podlasia. Białystok jako jedyne duże miasto w obecnych granicach Polski został szczególnie doświadczony przez okupację sowiecką. Dlatego też tłumne, barwne i jeszcze beztrudne życie przedwojennego Białegostoku wzbudza wśród miejscowych tyle nostalgii i zainteresowania.

Ulica Kilińskiego w obiektywie Augustisa

Rowerową podróż przez historię Białegostoku rozpoczęliśmy od ul. Kilińskiego. Tam właśnie znajdował się zakład „Polonia Film” Bolesława Augustisa – fotografa, któremu zawdzięczamy bezcenny dziś zbiór zdjęć Białegostoku z lat 30.

Fotografował zarówno ważne chwile w dziejach miasta, jak i codzienność przechadzających się ulicą białostoczan. Augustis został aresztowany przez NKWD na przełomie 1939/1940 roku i deportowany na Syberię. Nigdy już nie wrócił do Białegostoku, zostawił po sobie jednak kilkadziesiąt tysięcy zatrzymanych na kliszach migawek z życia miasta. To właśnie te zdjęcia stanowiły główną oprawę ulicy Kilińskiego. Uczestnicy peletonu mogli przechadzać się wśród wielkoformatowych ekspozycji pokazujących przedwojenne miasto i jego mieszkańców „wyjętych” z fotografii. Wśród nich krążyli też uczniowie białostockich szkół w specjalnie stylizowanych staromodnych strojach. Przedwojenny klimat ulicy powrócił, ale tylko po to, by za chwilę zderzyć się z rzeczywistością sowieckiej okupacji. Na końcu deptaka stały smutne postacie z walizkami i to-

bołkami, symbolizujące tych, którzy siłą zostali wyrwani ze swoich domów i bardzo często już do nich nie powrócili.

Ryszard Kaczorowski – prezydent i chłopak z sąsiedztwa

Pierwszy przystanek przejazdu zaplanowano przy ul. Mazowieckiej. Tutaj przed wojną mieszkał i uczęszczał do szkoły Ryszard Kaczorowski, Honorowy Obywatel Białegostoku, sybirak i ostatni Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. Mundur harcerek, krzyż i lilijka towarzyszyły mu niemal przez całe życie. Po zajęciu Białegostoku przez Armię Czerwoną zaczął konspiracyjną działalność harcerską, za co został w 1940 roku aresztowany i skazany na karę śmierci. Po stu dniach pobytu w celi wyrok zmieniono na dziesięć lat łagrów na Kołymie. Odzyskał wolność po podpisaniu układu Sikorski-Majski i, jak wielu innych zesłańców, wstąpił do Armii Andersa, z którą przeszedł cały szlak bojowy, walcząc m.in. o Monte Cassino. Po wojnie został na emigracji w Londynie, ale nigdy nie zdjął munduru harcerskiego. Działał aktywnie, zostając przewodniczącym Związku Harcerstwa Polskiego na uchodźstwie. Wątek ten upamiętniliśmy terenową prelekcją poświęconą jego działalności.

W Muzeum Pamięci Sybiru

Następny przystanek zaplanowany był w miejscu szczególnym – w znajdującym się w budowie gmachu Muzeum Pamięci Sybiru przy ul. Węglowej. Budowane na terenie starych magazynów wojskowych muzeum symbolizuje wspólne starania białostoczan o zachowanie w pamięci losów ludzi dotkniętych zsyłkami i deportacjami. Wydarzenia te nie tylko wpłynęły na dzisiejszy kształt miasta, ale także na współcześnie żyjących w nim obywateli. Przedwojenny świat odszedł bezpowrotnie, ale wciąż żyją świadkowie tamtych wydarzeń i wspólna pamięć o traumie Sybiru, która buduje naszą tożsamość. O tym, jak bardzo jest silna, świadczy niestabnące zainteresowanie działalnością Muzeum ze strony białostoczan, również poprzez udział w takich akcjach jak Peleton Pamięci 17.09.

Biały przystanek

Zwieńczeniem Peletonu była wspólna modlitwa i złożenie wieńców przy dawnym Dworcu Pole skim, skąd wyjeżdżały transporty na Wschód.



Fot.: Żaneta Kisiel



Fot.: Fly Away Plus

Delegacja pracowników Muzeum Pamięci Sybiru i innych instytucji zaangażowanych w wydarzenie, Członkowie Związku Sybiraków oraz okoliczni mieszkańcy uczcili pamięć o zesłanych wspólnie odśpiewanym Hymnem Sybiraków. Tydzień później spotkaliśmy się raz jeszcze (tym razem w Akademii Teatralnej im. A. Zelwerowicza), aby zakończyć obchody 80. rocznicy agresji sowieckiej na Polskę. Wspólnie obejrzelśmy wyjątkowe widowisko muzyczne, którego kanwą stanowiły wspomnienia Ireny Bujalskiej oraz wiersze Anny Rudawcowej. Wzruszeń dostarczyły nam teksty i muzyka skomponowana przez Michała Jarmoszuka, aktora i wykładowcę białostockiej Akademii Teatralnej. W nostalgicznej aranżacji Marcina Nagnajewicza, wyśpiewane przez Annę Marię Zawadzką, Renatę Tuszyńską, Martynę Jarmoszuk, Dorotę Kalinowską oraz braci Michała i Daniela Kamińskich, poruszyły wszystkich słuchaczy i przeniosły w czas wydarzeń sprzed 80 lat.

Żaneta Kisiel

Miś Wojtek na żołnierskim szlaku



Fot.: Żaneta Kistel

Urodził się w 1941 lub 1942 roku w pobliżu miejscowości Hamadan, w jednej z jaskiń gór Elbrus, obecnie w zachodnim Iranie, jako perski niedźwiadek brunatny. Jego matkę zastrzelił kłusownik. W kwietniu 1942 roku trafił do Armii Andersa. Żołnierze 22. Kompanii Zaopatrywania Artylerii odkupili go od przygodnie napotkanego perskiego chłopca za konserwę wołową, parę sucharów, tabliczkę czekolady, trochę pieniędzy oraz szwajcarski nóż oficerski.

W maju minęła 75. rocznica bitwy o Monte Cassino. Wpisując się w upamiętnienie tej rocznicy Muzeum Pamięci Sybiru przygotowało warsztaty skierowane do przedszkolaków i uczniów szkół podstawowych. Ich bohaterem został Miś Wojtek – maskotka Armii Andersa, ale i dzielnie uwijający się na polu wielu bitew niedźwiadek. Poprzez historię sympatycznego misia Wojtka opowiadamy losy żołnierzy 2. Korpusu Polskiego dowodzonego przez gen. Władysława Andersa.

Kapral Wojtek

„Andersowcy” troskliwie opiekowali się niedźwiakiem. Był on bardzo łagodny. Szybko przywiązał się do żołnierzy, szczególnie do swojego

opiekuna Piotra Prendysza, który nazwał go Wojtkiem. Początkowo karmiono go skondensowanym mlekiem zmieszonym z wodą. Wojtek uwielbiał owoce, słodkie syropy, marmoladę, miód oraz piwo, które dostawał za dobre zachowanie. Jadał razem z żołnierzami i spał z nimi w namiocie. Niedźwiadek otrzymał nawet stopień kaprała. Dzięki temu dostawał dodatkowy przydział racji żywnościowych, bez uszczerbku dla porcji opiekunów. Przeszedł cały szlak armii z Iranu, przez Irak, Syrię, Palestynę, Egipt do Włoch, a po demobilizacji - do Wielkiej Brytanii. Wstąpił się zamitowaniem do piwa, siłowania się z żołnierzami, jazdy ciężarówkami i kąpeli.

Pośród licznych opowieści o misiu znajduje się również taka, jak to podczas działań pod Mon-

te Cassino kapral Wojtek pomagał żołnierzom w noszeniu ciężkich skrzyń z amunicją artyleryjską i nigdy nie zdarzyło mu się żadnej upuścić. Jest to najpewniej jedynie anegdota, ale dzięki niej symbolem 22. Kompanii stał się niedźwiędź z pociskiem w łapach. Odznaka taka pojawia się na samochodach wojskowych, proporczykach i mundurach żołnierzy. Niedźwiędź był odskocznią od wojennej codzienności. Gdy skrajnie zmęczeni żołnierze wracali do miejsca postoju kompanii, Wojtek zawsze witał ich radośnie, co wszystkim bardzo poprawiało nastrój.

W październiku 1946 roku trafił z towarzyszami broni do szkockiego obozu Winfield Camp koło Berwick-upon-Tweed. Wojtek został ulubieńcem okolicznej ludności, wspominano go w licznych publikacjach prasowych. 15 listopada 1947 roku został umieszczony w edynburskim zoo. Miał przebywać tam czasowo, niestety nigdy już nie opuścił ogrodu. Żołnierze nie zapomnieli jednak o swoim towarzyszu broni. Wielokrotnie odwiedzali misia i nie bacząc na obawy pracowników zoo, przekraczali ogrodzenie, żeby się z nim przywitać. Miś zmarł w Szkocji w 1963 roku.

Przez zabawę do wiedzy

Warsztaty edukacyjne poświęcone Wojtkowi przeznaczone są dla najmłodszych. Na zajęciach przypominamy losy jedyne misia-żołnierza na świecie. Przedszkolaki na podstawie historycznych zdjęć poznają biografię misia, szlak bojowy żołnierzy gen. Władysława Andersa, pomniki niedźwiędka w Polsce i na świecie oraz pamiątki z nim związane. Wspólnie malujemy i układamy puzzle z jego charakterystyczną sylwetką z pociskiem w łapach. Dzieci rysują w nie przygody misia Wojtka: jazdę ciężarówką, zapasy i zabawy z jego kompaniami z wojska czy kąpiel w morzu. Przedszkolaki angażują się niezwykle emocjonalnie, przeżywają smutne wątki historii misia-sierotki, a szczególnie jego pobyt w szkockim zoo. Szukają odpowiedzi na liczne pytania. Co robił niedźwiędź w wojsku? Jak to się stało, że nadano mu stopień kaprala? Czy naprawdę nosił pociski i walczył pod Monte Cassino? Zajęcia o misiu Wojtku wyzwalają w małych uczestnikach wiele emocji – dzieci wnikają w trudną historię polskiego oręża, utożsamiając misia z żołnierzami 2. Korpusu. Losy misia Wojtka okazały się doskonałym sposobem na zbudowanie opowieści o histo-



Fot.: Żaneta Kisiel

rii obywateli polskich deportowanych w głąb Związku Sowieckiego.

Dzieje niedźwiędka Wojtka przyciągniętego przez żołnierzy 2. Korpusu Polskiego są dziś znane na całym świecie. W 2015 roku odsłonięto jego pomnik w Edynburgu. Statuetki Wojtka znajdują się w Imperial War Museum w Londynie i w Canadian War Museum w Ottawie. W Polsce doczekał się kilku pomników, m.in. w Krakowie, Szczecinie, Żaganiu, Szymbarku. W Pabianicach, na jednej z kamienic, powstał ogromny mural z misiem pod Monte Cassino. O Wojtku pisano książki, nagrywano piosenki, powstało również kilka filmów dokumentalnych. Instytut Pamięci Narodowej przygotował grę planszową poświęconą kudłatemu bohaterowi.

Można dziś z całą pewnością stwierdzić, że miś Wojtek ma na całym świecie rozbudowany fanklub. Dzięki naszym warsztatom dołączyły do niego również dzieci z Białegostoku.

Beata Mróz

„A do Ritza to chodziliśmy się bawić”



Z archiwum rodzinnego
Janiny Lewczyk

Drobna, starsza kobieta z impetem wkracza do Muzeum Pamięci Sybiru, zatrzymuje się przed wystawą i mówi „Dzień dobry mamó”. Zatrzymane w obiektywie aparatu sceny z beztrudnego dzieciństwa pani Janiny Lewczyk z domu Ejsmont oraz ostatnie zdjęcia jej matki wkomponowano w barwny obraz przedwojennego życia białostoczian, stanowiący wprowadzenie do muzealnej ekspozycji o sowieckich deportacjach.

Pani Janina, urodzona w 1925 roku, doskonale pamięta przedwojenny Białystok i potrafi o nim barwnie opowiadać, bo – jak sama o sobie mówi – „wszędzie było jej pełno”. W jej opowieściach ożywają kamienice z ul. Kilińskiego, przy której mieszkała, białostockie Planty, Park Poniatowskiego z pawilonem Raj i nieistniejący już hotel Ritz, gdzie bawiła się jako mała dziewczynka. W przedwojennych wspomnieniach często przywołuje fotografa Bolesława Augustisa, z którego rodziną bardzo się przyjaźniła. Niejednokrotnie pomagała „Bolusiowi”, jak mówi dzisiaj o fotografe, i jego siostrze w zakładzie fotograficznym przy ul. Kilińskiego 16. We wrześniu 1939 roku do tego świata brutalnie wkroczyła wojna.

Deportacja

Podobnie jak setki tysięcy Polaków, pani Janina, jej matka oraz młodsze rodzeństwo: siostra Wacława i brat Ryszard, zostali wywiezieni w głąb Związku Sowieckiego w jednej z czterech masowych deportacji. Ojciec został aresztowany już w październiku 1939 roku i – jak przekazano rodzinie – osadzony w białostockim więzieniu. Zgodnie z obowiązującymi przepisami, raz w miesiącu pani Janina dostarczała tam paczki. Na początku kwietnia 1940 roku wszystkie siedem paczek zwrócono, tłumacząc, że takiego osadzonego nie ma. Ślad po ojcu zaginął, rodzina nigdy nie uzyskała informacji, co się z nim stało. O losie Ejsmontów przesądził zawód ojca – pracował

w Policji. I chociaż matka, pielęgniarka w rosyjskim szpitalu wojskowym, zapewniała dzieci, że wywózka im nie grozi, ostatecznie doszło do tej tragedii. Pani Janina pamięta tę zimną kwietniową noc i precyzyjnie odtwarza ją minuta po minucie. Już wieczorem, gdy bawiła się z koleżanką, widziała ciężarówki z uzbrojonymi żołnierzami stojące od ul. Sienkiewicza aż do Kilińskiego i na ul. Kościelnej. Czy mogła przeczuwać, że za kilka godzin będzie jechała jedną z nich? Z niepokojem czekała w domu na powracającą ze szpitalnego dyżuru matkę. Chwilę po jej przyjeździe, ok. 22.20, do drzwi zaczęto dobijać się NKWD. Standardowa procedura: rewizja, pośpieszne pakowanie i krótka informacja, że jadą do ojca do Mińska. Niewiele pozwolono im spakować, większość zrabowali żołnierze. Pani Janinie udało się jeszcze przekazać znajomym informację, że zabierają ich Sowietci. Mama z trojgiem dzieci została wciśnięta do towarowego wagonu. 31 kwietnia 1940 roku rodzina dotarła do Pawłodaru.

Jadąc przez step do oddalonego o 112 km od Pawłodaru *sowchozu* oznaczonego numerem 499, a tam na fermę nr 3, rodzina Ejsmontów widziała tylko jedno drzewo – klon, a przez 6 lat pobytu w Kazachstanie żadne z dzieci nie dostrzegło ani jednego ptaka. Otaczał ich obcy, nieprzyjazny świat: lepianka z darniny, ciężka praca przy owcach w *sowchozie*, wszy, pluskwy i wszechobecny głód, który nasilił się po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Najbardziej traumatycznym wydarzeniem była jednak śmierć matki. Kilka dni przed Bożym Narodzeniem 1942 roku pani Ejsmont wyruszyła do sąsiedniej miejscowości, by ratować przed śmiercią głodową swoje dzieci. Wracając, zabłądziła w burzy śnieżnej. Rodzeństwo czekało głodne kilka dni na jej powrót. W Wigilię, zamiast opłatkiem, podzielili się gotowaną wątrową padłej owcy, otrzymaną od kazachskiej gospodyni. Po ponad dwóch tygodniach matkę z odmrożonymi rękami, nogami i twarzą przywiózł saniami młody Kazach. Zmarła po niespełna dwóch miesiącach. Siedemnastoletnia Janina szybko musiała dorosnąć, pochować matkę i zaopiekować się młodszym rodzeństwem. Nawet teraz mówi o nich „moje dzieci”.

Powojenna rzeczywistość

Ejsmontowie wrócili do Polski w 1946 roku. Pokonując, część drogi pieszo, 16 marca dotarli do Poznania, a stamtąd wyruszyli do Białegosto-

ku. Podróżując pociągiem do rodzinnego miasta, spotkali się z niezwykłą życzliwością ludzi: dyżurny ruchu przydzielił im osobny przedział, konduktor poprosił ludzi o pomoc dla dzieci jadących z Syberii, a pasażerowie pociągu podzielił się jedzeniem, jednocześnie wyrażając obawę, że jadą do zrujnowanego miasta, gdzie nic dobrego ich nie czeka. Rzeczywiście, Białystok nie przypominał już miasta ze zdjęć Augustisa. Ejsmontowie zastali ruiny i spalony dom, nie odnaleźli nawet śladów dawnego życia. Przewodnik przechodzień skierował ich do punktu Państwowego Urzędu Repatriacyjnego przy ul. Częstochowskiej. Młodsza z sióstr, Wacławę, przygarnęła jej matka chrzestna – cioteczna siostra ojca. Janina z bratem Ryszardem zatrzymali się w zorganizowanym przez Miejski Komitet Opieki Społecznej schronisku dla repatriantów przy ulicy Św. Rocha. Po kilku tygodniach otrzymała zatrudnienie w schronisku, tam też poznała swojego przyszłego męża, zdemobilizowanego żołnierza z Wołkowyska. Budując swoje powojenne życie, pani Janina musiała ukrywać sybiracki życiorys, podobnie jak inni, którzy dzielili jej los. Tak jak przyrzekła sobie przed laty, centralne miejsce w jej domu zajęła mała figurka Matki Boskiej, która towarzyszyła jej w Kazachstanie, i którą zamierza przekazać do zbiorów Muzeum Pamięci Sybiru.

Pani Janina Lewczyk była jedną z naszych głównych bohaterek podczas tegorocznej Nocy Muzeów. Przypomnieliśmy jej biografię, snując zarazem opowieść o przedwojennym Białymstoku i jego mieszkańcach, z których wielu deportowano w głąb Związku Sowieckiego.

Agnieszka Pietrasz



Z archiwum rodzinnego
Janiny Lewczyk



„Opowiem Ci historię pradziadka – legionisty”

W 2020 roku zapraszamy szkoły podstawowe im. Sybiraków w Netcie i Rafałówce oraz grodzieńską Szkołą Społeczną im. Stefana Batorego przy Związku Polaków na Białorusi do udziału w projekcie edukacyjnym „Opowiem Ci historię pradziadka – legionisty”. Sto lat po Bitwie Warszawskiej uczniowie szkół pochylił się nad losami tych spośród swoich przodków, którzy jako legionieści angażowali się w walkę o obronę niepodległości a potem zostali deportowani w głąb Związku Sowieckiego. Efekty projektu zostaną zaprezentowane podczas Peletonu Pamięci 17.09.

Międzynarodowy Marsz Pamięci Zesłańców Sybiru

Marsz odbywa się co roku w przededniu Dnia Sybiraka. To międzynarodowe przedsięwzięcie gromadzi Sybiraków, ich rodziny w Polsce i za granicą, młodzież szkolną, przedstawiciele instytucji wojewódzkich, stowarzyszeń i związków sybirackich oraz mieszkańców Białegostoku. Towarzyszą mu imprezy i wystawy okolicznościowe oraz uroczystości religijne. Muzeum Pamięci Sybiru jest współorganizatorem tej uroczystości, która w 2020 roku odbędzie się w Białymstoku po raz 20.



Peleton Pamięci 17.09

Ze względu na obchody 100-lecia wojny polsko-bolszewickiej podczas Peletonu Pamięci 17.09 w 2020 roku zostaną wyeksponowane miejsca i osoby związane z legionistami i osadnikami wojskowymi, deportowanymi wraz z rodzinami z Zacisza i Netty oraz Grodzieńszczyzny. Planujemy przejazd rowerowy do miejsc związanych ze znakami pamięci „Golgoty Wschodu”, takimi jak np. Grób Nieznanego Sybiraka czy dawny Dworzec Poleski, skąd odchodziły transporty na Wschód.

TONTONIUTAK znaczy dla Buriatów „ojczyzna”

Nowa oferta zajęć edukacyjnych w Muzeum Pamięci Sybiru adresowana jest do przedszkolaków i dzieci klas początkowych szkoły podstawowej. Uczestnicy zajęć odbędą wirtualną podróż po odległej Syberii, krainy zesłań i deportacji, ale także wielu tajemnic i sekretów. Dzieci poznają jezioro Bajkał – serce Syberii – odkryją jego wyjątkowość i dowiedzą się, jakie ludy syberyjskie zamieszkiwały tereny nadbajkalskie, a także poznają buriacką legendę „Angara, córka Bajkała”. Zobaczą znajdujące się wśród muzealnych eksponatów stroje buriackie i dowiedzą się, jak rozszyfrować ich symbolikę. Poznają też zwyczaje Buriatów. Uczestnicy warsztatów zaprojektują i wykonają strój buriacki, a efekty swojej pracy będą mogli zabrać. Liczba uczestników to jednorazowo maksymalnie 25 osób. Czas trwania warsztatów: ok. 60 min. Konieczne jest dokonanie wcześniejszej rezerwacji. Zapisy pod numerem tel.: 795 650 802.



Polak, zesłaniec, carewicz?

Kim był Gustaw Ehrenberg? Kim był Gustaw Ehrenberg? Niewiele osób zna to nazwisko. A był warszawskim, XIX-wiecznym poetą i konspiratorem. W 1836 roku wstąpił do Stowarzyszenia Ludu Polskiego; wtedy też napisał pieśń o Powstaniu Listopadowym *Gdy naród do boju wystąpił z orężem*. Aresztowany i skazany na śmierć, zachował życie na mocy aktu łaski cara Mikołaja I. Ułaskawienie 20-letniego konspiratora nie budziłoby zapewne emocji, gdyby nie pewien szczegół. Jest wiele dowodów na to, że był on... nieślubnym synem cara Aleksandra I oraz generałowej Heleny z Dzierżanowskich Rautenstrauchowej. Cóż, Mikołaj I, młodszy brat i następca Aleksandra na polskim tronie, mógł być bardziej łaskawy w stosunku do bratanka, który ostatecznie trafił na Sybir na ponad 20 lat.



Polska historia dalekowschodniego Harbinu

Mało jest na świecie miast z tak niesamowitą historią jak Harbin w Chinach. Powstał jako rosyjskie miasto w Mandżurii w 1898 roku. Carska Rosja wymogła na Państwie Środka zgodę na budowę Kolei Wschodniochińskiej przez jego terytorium, by uzyskać najkrótsze połączenie Syberii z Władywostokiem. W Harbinie miała być rosyjska stacja kolejowa. W czasie rewolucji do miasta zbiegło wielu przeciwników bolszewizmu, z których większość wróciła do sowieckiej już Rosji w latach trzydziestych, gdy miasto zajęli Japończycy. Nazwani przez bolszewików „harbińcami” i oskarżeni o szpiegostwo na rzecz Japonii, stali się ofiarami „Wielkiego Terroru”. Dobrze, ale gdzie tu polska historia? Otóż miasto założył polski budowniczy Kolei Wschodniochińskiej Adam Szydłowski. Przez lata zamieszkiwali je liczni Polacy, z których wielu w 1945 roku, po zdobyciu regionu przez Armię Czerwoną, trafiło do łagrów.



Katolicy i prawosławni

Od 1898 roku do osady Łakino w Kraju Krasnojarskim przybywali dobrowolni przesiedleńcy z Juskowego Grodu, Zaleszan, Radunina w guberni grodzieńskiej oraz ze wsi Bambaty w powiecie oszmiańskim. Podobne grupy osiedlały się także w innych wsiach: Entaulski, Wierchnie-Podemski, Chmielewski, Łomowski i Jełowski. Zarówno przybyłych katolików, jak i prawosławnych odróżniało od miejscowych brzmienie imion, np.: Agata, Józef, Franciszek czy Stefania. Niebawem kilkuset osadników wyznania katolickiego poprosiło gubernatora o zgodę na budowę w Łakinie kościoła. Mimo sprzeciwu władz cerkiewnych, wierni i tak wybudowali kościół, co – paradoksalnie – ożywiło życie duchowe wśród prawosławnych. Dopiero kiedy w 1915 roku także i oni zdecydowali się na budowę domu modlitwy, władze zalegalizowały kościół.

Pionierzy podniebnych rajdów

Tytuł Bohatera Związku Sowieckiego przyznano po raz pierwszy w 1934 roku. Otrzymało go siedmiu lotników, którzy uratowali załogę statku „Czeluskin”, uwięzionego w lodzie w rejonie Cieśniny Beringa. Ewakuacja lotnicza była jedynym możliwym ratunkiem po tym, jak Sowieci odrzucili propozycję pomocy ze strony Amerykanów. Wśród odznaczonych był Zygmunt Lewoniewski, który wychowywał się w Sokółce na Białostocczyźnie. Jego brat Józef był w II Rzeczypospolitej wybitnym pilotem wojskowym. Obaj zginęli w katastrofach podczas prób pobicia lotniczych rekordów.

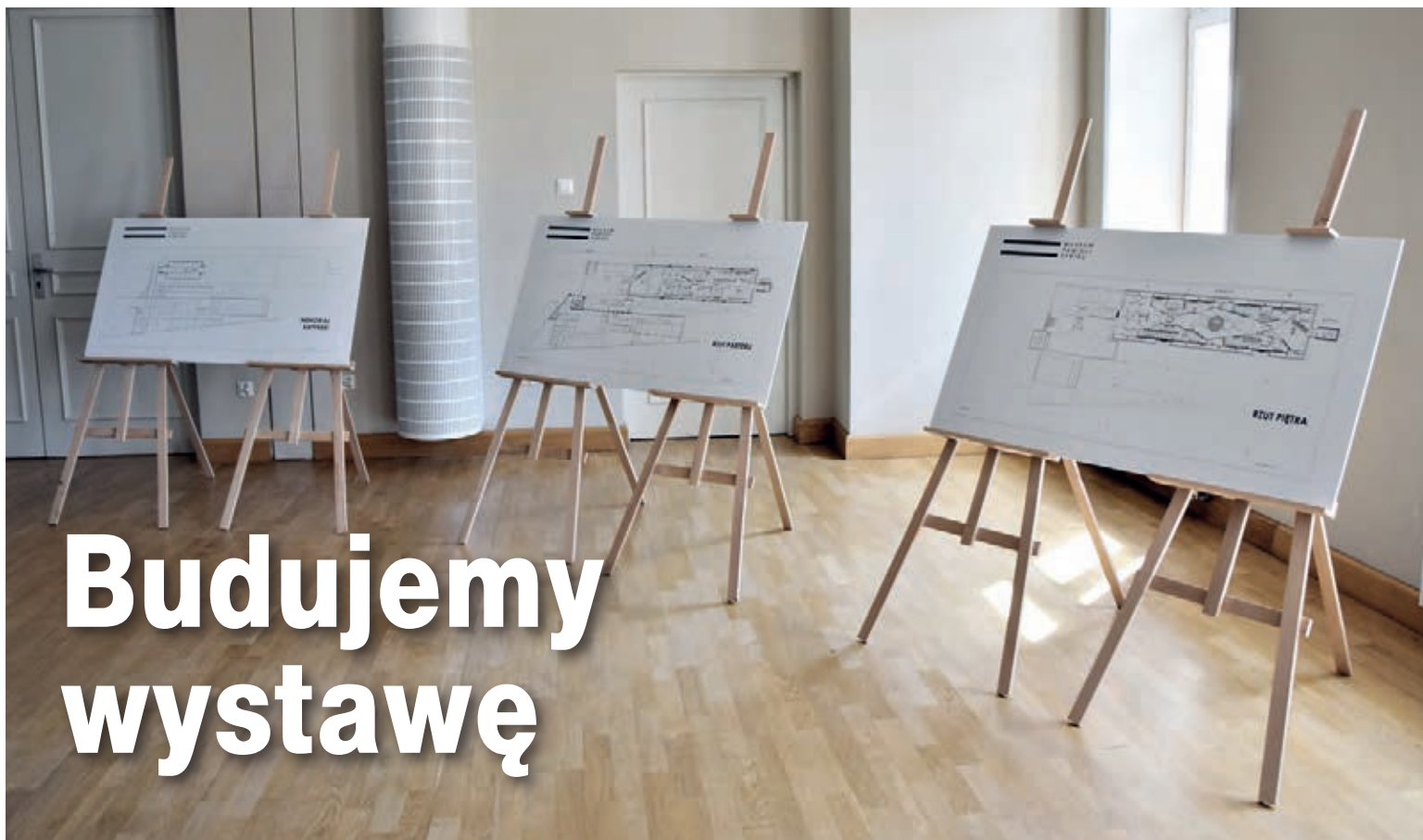
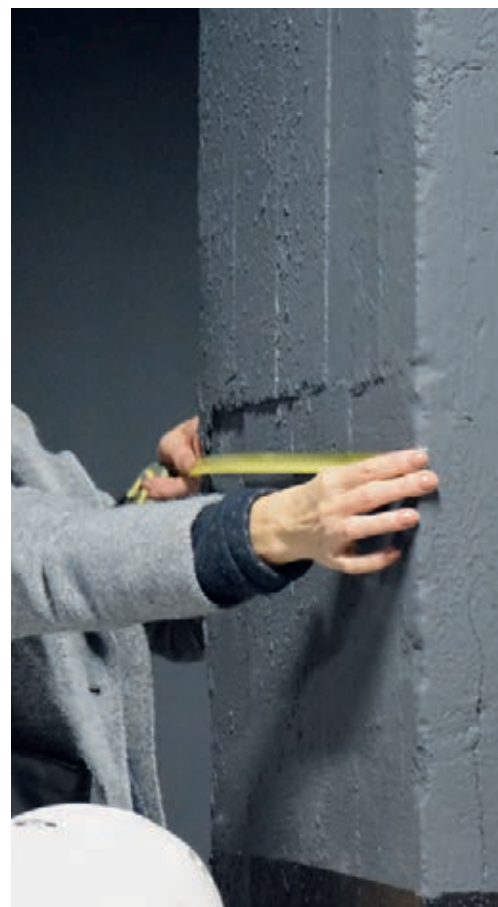




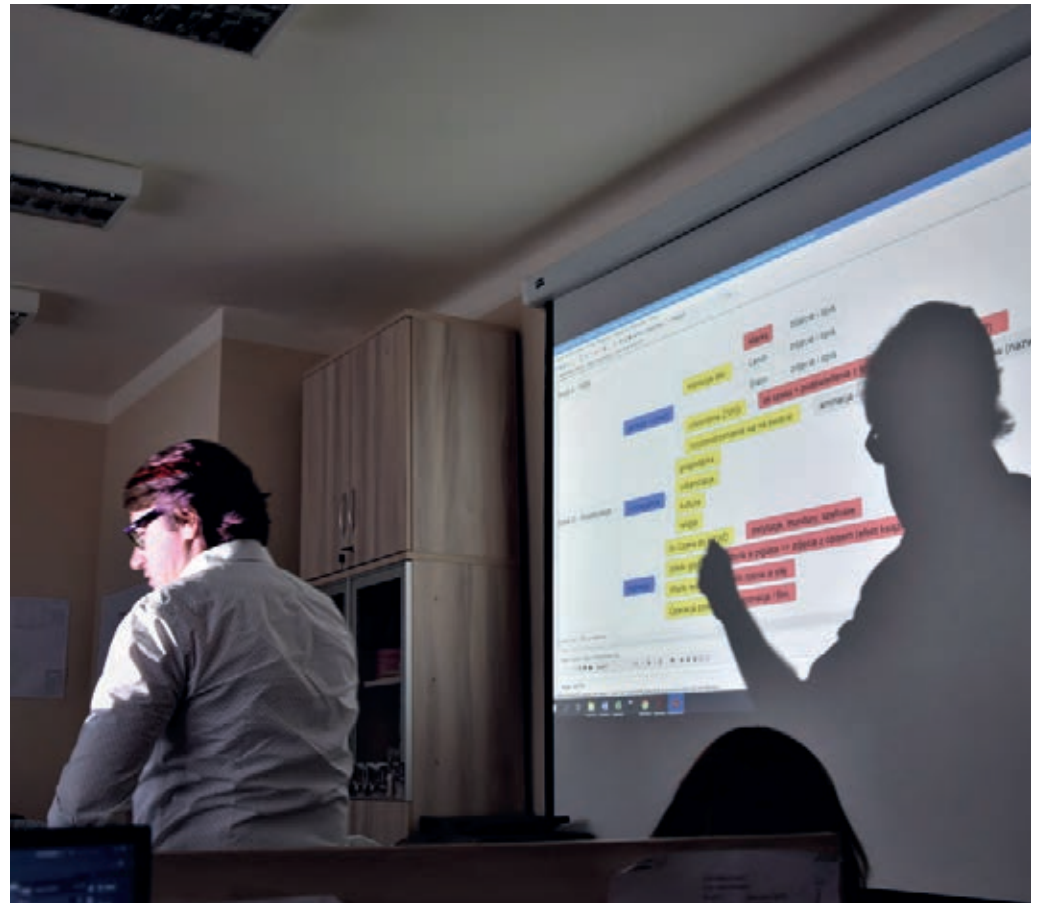
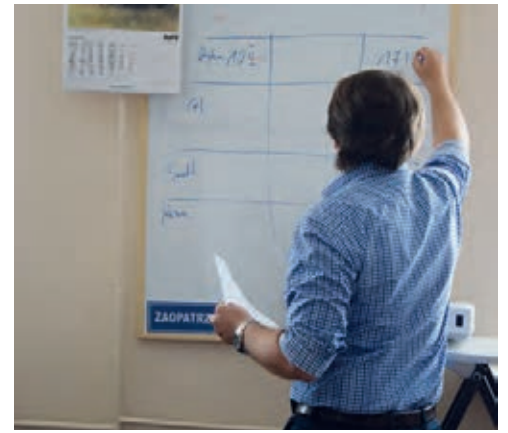
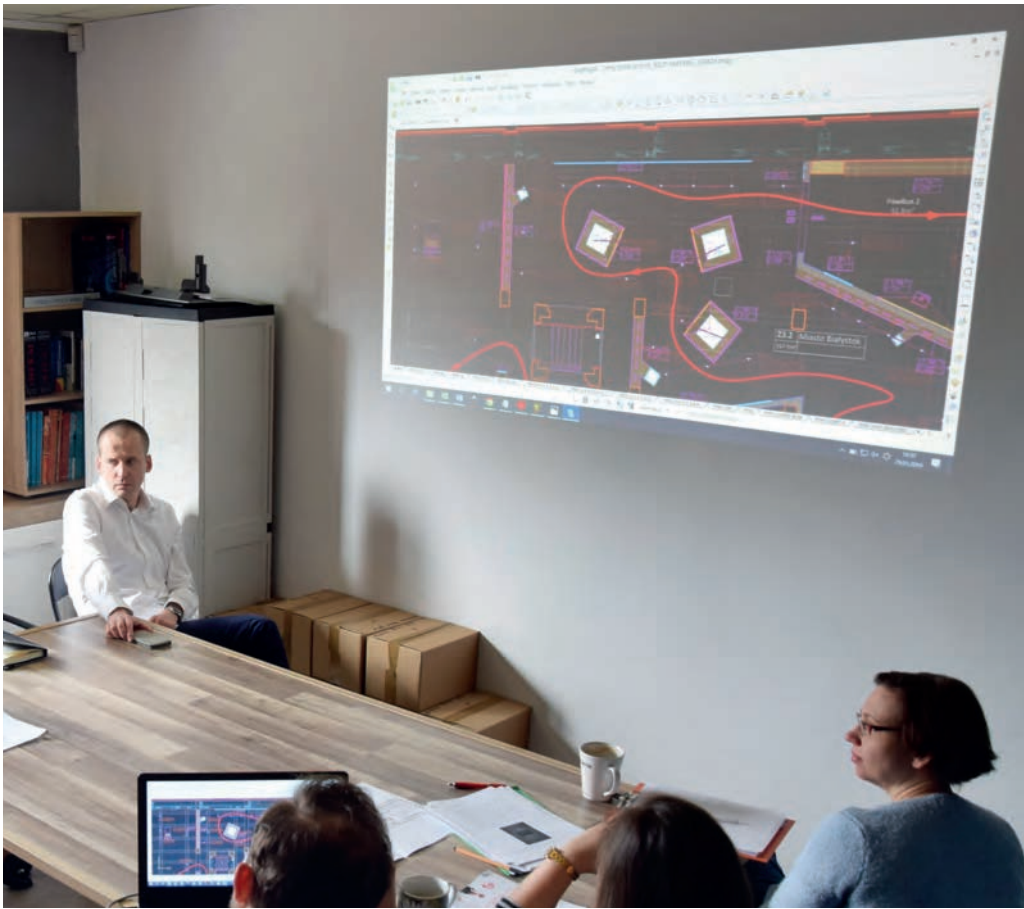
ZBUDOWALIŚMY MUZEUM







**Budujemy
wystawę**





LUDZIE Z LODU...

„Sposób rzeźbienia postaci i ich surowa faktura nawiązuje do historii ześląńców...” – to założenie zapewniło Martynie Pająk wygraną w konkursie na projekt instalacji artystycznej „Ludzie z lodu”. Gotowa praca będzie częścią wystawy stałej w nowej siedzibie Muzeum Pamięci Sybiru.

Monika Szarejko: Jak została Pani rzeźbiarką?

Martyna Pająk: Wydaje mi się, że od wczesnych lat czułam, że moja droga będzie związana z jakimś rodzajem obszarem twórczym. Z rzeźbą pierwszy raz zetknęłam się właściwie w domu rodzinnym, modelując kształty w glinie, która z jakiegoś powodu znalazła się w moich rękach. Naukę w tym kierunku rozpoczęłam w Liceum Plastycznym w Lublinie, na zajęciach z rzeźby i snycerstwa. Od tamtego momentu całkowicie się na tym skoncentrowałam. W liceum miałam możliwość uczyć się od wspaniałych nauczycieli, którzy rozwijali we mnie tę pasję. Kilka lat później wybór kierunku studiów stał się oczywisty – wiedziałam, że będzie to wydział rzeźby. Bardzo szybko zdecydowałam się na Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu. Wiele się tam nauczyłam, rozwinęłam swoje spojrzenie na rzeźbę.

Aktualnie na tej właśnie uczelni Pani pracuje.

Tak, rozpoczęłam pracę niedługo po ukończeniu studiów magisterskich. Mam niezwykłą możliwość być świadkiem rozwoju studentów, towarzyszyć im w drodze twórczej, obserwować ich i pomagać w zachodzących w nich samych zmianach. Nie zawsze te zmiany przychodzą łatwo, wiem to również z własnego doświadczenia. Stu-

dia są wymagające, w przypadku rzeźby często zmagamy się z wieloma aspektami powstawania pracy jednocześnie, np. poszukujemy rozwiązań formalnych, ale i technologicznych. Jest to często bardzo dynamiczny proces.

Czego wymaga Pani od studentów?

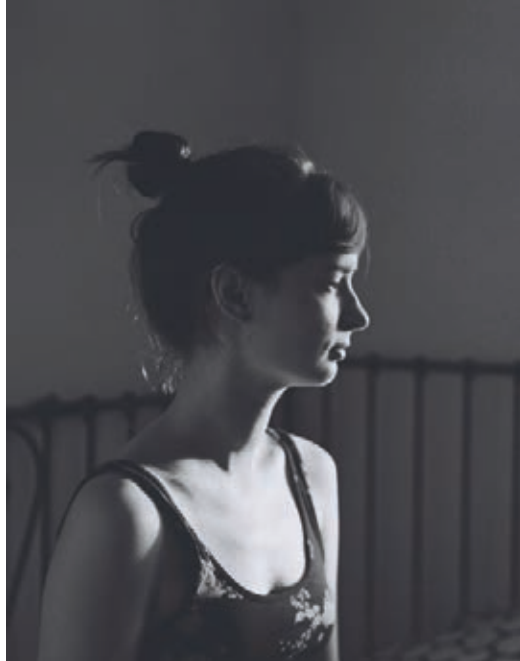
Powiedziałabym raczej, że życzę im, aby każdy z nich sam stawiał przed sobą wyzwania, wymagał od siebie z każdym dniem i z każdym projektem więcej. Rozwijał się w tym, co robi, czerpał satysfakcję ze swojej pracy i realizował w niej swoje cele.

A czego wymaga Pani od siebie?

Obecnie – chyba najbardziej „uważności” i otwartości.

Jak rodziła się koncepcja projektu instalacji „Ludzie z lodu”?

Początkowo szczegółowo poznawałam historię, która była podstawą idei konkursu. Zainteresowałam się też koncepcją powstania Muzeum Pamięci Sybiru. Następnym etapem było przygotowanie szkiców koncepcyjnych realizacji, początkowo w formie rysunkowej, później w modelu przestrzennym. Powstało wiele możliwości i rozwiązań. Ważne było dla mnie odniesienie do



sugestii projektowych związanych z rzeźbą, zawartych w warunkach konkursu. Jest to istotne ze względu na spójność przestrzeni wystawieniowej Muzeum z instalacją rzeźbiarską, która ma stanowić jej integralną część.

Co jest dla Pani najważniejsze w procesie tworzenia?

Bardzo ważna jest dla mnie spójność koncepcji: zgodność tego, co forma ma wyrażać, z jej efektem wizualnym.

Ta równowaga projektu „Ludzi z lodu” przekonała komisję konkursową.

Przy projektowaniu instalacji ważne były dwa kryteria: warstwa wizualna otoczenia oraz kontekst historyczny. Pierwsze piętro Muzeum Pamięci Sybiru, na którym znajdzie się rzeźba, jest poświęcone życiu na Syberii. Oczywiście zatem stało się dla mnie stworzenie kompozycji grupy postaci „wykutyh” z lodu. Kilkanaście figur rozmieszczonych w bliskiej odległości – tak, by zarysy postaci nakładały się na siebie, budowały między sobą relację. Te postacie są anonimowe, bez cech indywidualnych – chodzi o podkreślenie masowości zsytek i powiązanie ze scenografią (na ścianach wokół instalacji pojawią się zdjęcia zesańców). Symbolicznie zbiór pojedynczych postaci staje się grupą, wspólnie mierzącą się z narzuconą im trudną rzeczywistością. Sposób rzeźbienia postaci i ich surowa faktura nawiązuje do historii zesańców. Ich struktura ma być kształtowana ręcznie, przy użyciu prostych narzędzi. Pomimo surowej formy, nada im to

„ludzki”, „żywy” charakter. Nie będzie to proste. Wysokość każdej z nich to ok. 180 cm. Zbliżenie ich wymiaru do wzrostu człowieka powinno pomóc utożsamić się widzowi z tłumem postaci.

Czy wyłonienie Pani pracy jako zwycięskiej w konkursie ogłoszonym przez Muzeum Pamięci Sybiru zmieniło coś w Pani życiu?

Tak. Nagrodzenie mojego projektu i wybranie go do realizacji to wyjątkowe wyróżnienie. Tego rodzaju osiągnięcie daje poczucie spełnienia, jednocześnie będąc motorem napędowym do kolejnych działań. Jest to świetna mobilizacja do rozwoju. Nagroda to także możliwość wzięcia udziału w kreowaniu przestrzeni Muzeum, bycia częścią unikatowego przedsięwzięcia. Odczuwam to jako ważny etap mojego rozwoju jako rzeźbiarki.

Jak wygląda dzień Martyny Pająk?

W ostatnim czasie, mimo intensywnej pracy, mój dzień rozpoczyna się w raczej spokojnym tempie. W pracowni jestem około godziny 10 rano i pozostaję w niej 8–10 godzin. Najczęściej pracuję nad kilkoma projektami jednocześnie, co pozwala mi przenosić moje skupienie pomiędzy różne realizacje. Cenię sobie ten system ze względu na możliwość zyskania często niezbędnego dystansu do powstającej rzeźby. Pozwala mi to dostrzegać nowe drogi jej rozwoju.

Dziękuję za rozmowę i życzę tego rozwijającego dystansu!



Fot. Kinga Świątek

Tiepluszka już jest!

Oficjalna nazwa: wagon towarowy, dwuosiowy, kryty, znormalizowanej konstrukcji rosyjskiej typu 1892. Potocznie – tiepluszka, przez którą wkrótce pierwsi goście wejdą do nowej siedziby Muzeum Pamięci Sybiru.

Oryginalny wagon jest pierwszym eksponatem, który już teraz znalazł się w budynku Muzeum. Sam transport wagonu na miejsce był dość skomplikowany pod względem logistycznym. Po pierwsze: nie mógł być przetaczany torami kolejowymi ze względu na duże ryzyko uszkodzenia. Musiał więc „jechać” na lawecie. Po drugie, ten sposób transportu odbywał się przy sporym natężeniu ruchu w Białymstoku. Sam dojazd lawety wiozącej wagon na ul. Węglową był wyzwaniem, ponieważ droga wiodła przez wąskie, osiedlowe uliczki. Następnie *tiepluszka* została przestawiona na tory prowadzące do wnętrza Muzeum i wtoczona do środka. Wkrótce stanie się symboliczną bramą, przez którą będą przechodzić wszyscy odwiedzający wystawę stałą; swego rodzaju łącznikiem pomiędzy współczesnym światem a tym z opowieści deportowanych. Wewnątrz wagonu wyświetlana będzie prezentacja multimedialna.

Pozyskana w 2010 r. przez Muzeum Wojska w Białymstoku (z którego wydzielone zostało Muzeum Pamięci Sybiru) *tiepluszka* przybyła z Jaworzyny Śląskiej. Jeszcze w tym samym roku została poddana renowacji w Zakładach

Naprawy Pojazdów Szynowych w Malborku. Po kilkuletniej ekspozycji u zbiegu ulic Legionowej i Kilińskiego w Białymstoku, jej stan wymagał ponownej wizyty w ZNPS w Malborku. Wagon trafił tam w 2018 r. Prace obejmowały m.in. usunięcie instalacji elektrycznej i metalowych tablic na bokach wagonu, wymianę i naprawę poszycia dachowego, polakierowanie nadwozia, odtworzenie oryginalnych opisów znajdujących się na zewnętrznych ścianach wagonu, konserwację i odnowienie podwozia. Po remoncie zabezpieczony wagon trafił do Łap, ponieważ w budynku przy ul. Węglowej trwały prace uniemożliwiające bezpieczne przechowanie naszego największego eksponatu.

Historia tego konkretnego wagonu nie jest do końca znana: nie wiemy, gdzie i kiedy został wyprodukowany (brak tzw. tabliczki znamionowej), a szczątkowe oznaczenia zachowane na mocno zniszczonym wagonie niosły ze sobą informacje o jego wojennych i powojennych losach. Zarysy oznaczeń i napisów wskazują, że przed 1941 rokiem używany był przez koleje sowieckie i został przejęty przez Niemcy. Po II wojnie światowej był używany w PKP, ale tylko jako wagon „letniskowy”.



Wagony typu 1892 składały się z dwuosiowej stalowej lawety oraz drewnianej paki transportowej z drzwiami przesuwными umieszczonymi obustronnie. Używane były do przewozu różnego rodzaju towarów, w tym bydła, stąd ich potoczne określenie: „wagony bydłce”. Były one używane powszechnie w przedrewolucyjnej Rosji, a potem produkowane i modernizowane do początku lat 20. XX w. Używano ich także na ziemiach polskich przed 1914 rokiem (w zaborze rosyjskim). Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości korzystały z nich Polskie Koleje Państwowe – używano ich we wschodnich dyrekcjach PKP, jak też w komunikacji międzynarodowej z ZSRS przy zastosowaniu urządzeń przestawczych systemu Breitsprechera (umożliwiającego używanie zarówno na wąskich jak i szerokich torach).

W okresie II wojny światowej, szczególnie po zajęciu ziem wschodniej Polski przez Armię Czerwoną, wagony te w szerszym zakresie trafiły na tory w tej części kraju (po ich przebudowie na tor 1524 mm). Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku wagony zdobyte przez Niemców były przebudowywane na standardową szerokość szyn (1435 mm), przy czym z reguły kierowano je na tereny okupowanego Związku Sowieckiego.

Paweł Kalisz



O odbiorcach i granicach



Fot. Krzysztof Karpieński

Kapcie na nogach, zakaz dotykania i fotografowania, do tego pani pilnująca przestrzegania tych reguł – taki obraz muzeów już dawno przeszedł do lamusa. Dziś zarówno odbiorca, jak i sposób narracji są równie ważne jak eksponaty. O roli widza oraz o granicach w przekazie muzealnym dyskutowaliśmy podczas kolejnych spotkań z cyklu „Kierunek Muzeum”.

Tworząc dziś Muzeum Pamięci Sybiru, kładziemy ogromny nacisk na formy działania. To kwestie, które są co najmniej tak samo ważne jak nowoczesny budynek i stała ekspozycja. Wypracowaniu nowych i atrakcyjnych dla widza form przekazu służyć ma organizowany przez nas od trzech lat cykl spotkań pod nazwą „Kierunek Muzeum”. Podczas każdego z nich, razem z najlepszymi specjalistami z kraju i zagranicy, próbujemy rozwiązywać problemy funkcjonowania placówek muzealnych w gwałtownie zmieniających się czasach.

Ubiegłoroczne spotkanie poświęciliśmy odbiorcy, którego rola nie może obecnie ograniczać się tylko do kontemplowania prezentowanych za szkłem eksponatów. W dyskusji, którą prowadził prof. dr hab. Wojciech Śleszyński, dyrektor Muzeum Pamięci Sybiru, udział wzięli: dr hab. Piotr Majewski, dyrektor Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów, dr Karol Nawrocki, kierujący Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, Jacek Salwiński, zastępca dyrekto-

ra Muzeum Historycznego Miasta Krakowa oraz Sebastian Tyrakowski – zastępca dyrektora Muzeum Emigracji w Gdyni. Dyskusja koncentrowała się wokół dwóch zagadnień: diagnozy potrzeb publiczności oraz ich efektywnego przełożenia na praktykę działalności muzealnej. Dyskutanci zgodnie stwierdzili, że najlepszym wariantem są konsultacje z widzami prowadzone już na etapie przygotowania ekspozycji. Piotr Majewski apelował, by nie zapominać przy tym o dochowaniu wierności zasadom warsztatu zawodowego historyka. Sebastian Tyrakowski przekonywał z kolei, że uwzględnienie potrzeb odbiorców musi być poprzedzone analizą własnej instytucji: jej misji i profilu odbiorcy.

W ostatniej edycji „Kierunku Muzeum” (odbyła się 22 listopada 2019 roku), której tematem były granice w nowoczesnym przekazie muzealnym, uczestniczyli: Roman Romanow (Muzeum Historii Gułagu, Moskwa), dr Julia Kocur (Muzeum Narodowe „Pamięć Ofiar Hołodomoru”, Kijów), Eugenijus Peikštenis (Muzeum Okupacji i Walk o Wolność, Wilno), Robert Kostro (Muzeum Historii Polski, Warszawa), dr hab. Hubert Chudzio (Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń Uniwersytetu Pedagogicznego, Kraków), prof. Wojciech Śleszyński (Muzeum Pamięci Sybiru, Białystok). Dyskusję moderował dr hab. Piotr Majewski (Narodowy Instytut Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów, Warszawa).

Uwaga o tym, że granice w przekazie muzealnym są obecnie systematycznie przesuwane



padła już na początku spotkania. Kluczowym problemem jest jednak określenie miejsca, w którym to przesuwanie należy zatrzymać. Próbując sformułować wnioski dotyczące tego wątku, paneliści stawiali wiele konkretnych pytań, wynikających z doświadczeń własnych placówek. Dla przykładu: jak pokazać okres po 1956 roku, który wiele osób wspomina bardzo dobrze, zupełnie nie pamiętając np. o wszechobecnej cenzurze, donosicielstwie itp.? Albo: jak w zrozumieli sposób pokazać okupację niemiecką czy sowiecką? Na ile dosłowny ma być przekaz, aby informacja nie budziła zbędnych skojarzeń? Dyskutanci podawali przykłady na to, jak muzea radzą sobie z tzw. „trudną tematyką” (np. martyrologiczną) podkreślając, że zawsze istotne jest jasne pokazanie kontekstu zdarzeń.

Paneliści podkreślali, że przekraczanie granic jest dziś może nie tyle pożądane, ile bardziej akceptowalne niż jeszcze niedawno, co w przypadku muzeów generuje specyficzne wyzwania: co zrobić, aby ich przekaz był atrakcyjny, aby „nadażały” one za współczesnymi wyzwaniami, nie starając się przy tym bezkrytycznie dostosować do aktualnych trendów w celu pozyskania odbiorców.

Kilkogodzinna, zajmująca debata nie doprowadziła do sformułowania ostatecznych wniosków, jednak paneliści zgodzili się, że granicą przekazu muzealnego jest zróżnicowana wrażliwość odbiorcy, że muzeum to emocje, i że często lepiej działa komunikat pośredni niż dosłowny. Zgodzili się też, że podstawą wyznaczania granic

musi być dialog z odbiorcami. Tym, co może ten dialog zakłócić jest słaba edukacja historyczna i nieprzygotowanie publiczności, zwłaszcza najmłodszej. Podsumowaniem dyskusji było zdanie: Muzealnik musi dobrze przyrzeć się tematowi, którym się zajmuje, i odbiorcy, do którego chce trafić. Wówczas problem granicy zanika.

Ostatnią część spotkania, zatytułowana przewrotnie: „Jak sprzedać muzeum?”, dotyczyła kwestii marketingowych. Jej uczestnicy (Judyta Ścigała z Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku w Radzionkowie, Sławomir Frątczak z Muzeum Katyńskiego - Oddziału Martyrologicznego Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, Bartłomiej Garba z Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i Jan Roguz z Muzeum Pamięci Sybiru) debatowali nad tym, jak skutecznie promować muzea. Czy każdy współczesny sposób promocji (media społecznościowe, zatrudnianie „celebrytów”, nietypowe akcje itp.) może być wykorzystany przez każde muzeum? Jak unikać infantylizacji przekazu? Czy da się zapanować nad przekazem w internecie? Co zrobić, aby pierwsza wizyta w muzeum nie była ostatnią? Ta nietypowa rozmowa pokazała, że choć każda placówka ma własne doświadczenia, to i tak sprowadzają się one do wspólnego mianownika: muzeum nie może dziś funkcjonować samo dla siebie, w oderwaniu od odbiorcy.

**Justyna Owłasiuk
Anna Pyżewska**



Muzealnicy na warsztatach

O zasadach obowiązujących w muzealnictwie, ludowych przedstawieniach Zagłady, krytycznej muzeologii dziecięcej i materialności pamięci kolonialnej dyskutowano pod okiem wybitnych specjalistów podczas trzeciej edycji projektu Laboratorium Muzeum, która odbywała się od października do grudnia 2018 roku w Warszawie.

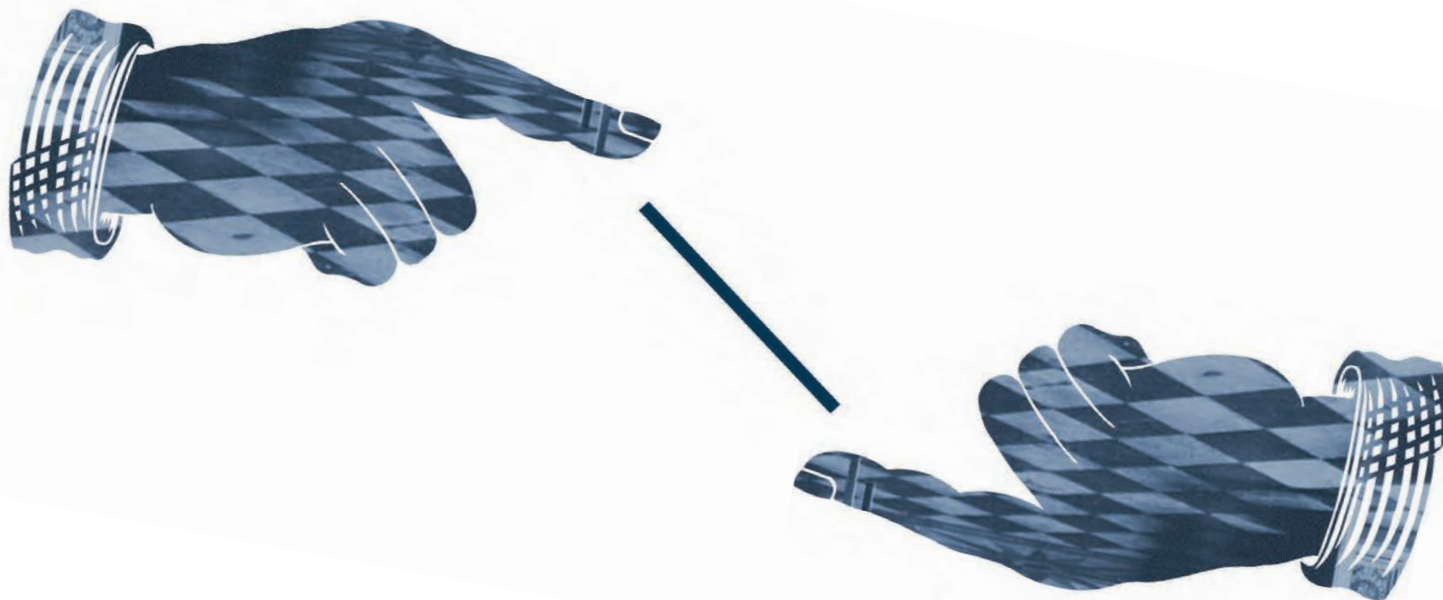
Projekt Laboratorium Muzeum skierowany jest do pracowników instytucji kultury, którzy podczas wykładów i warsztatów z zaproszonymi ekspertami mają szansę wymienić się wiedzą i doświadczeniem. Uczestnicy i wykładowcy zmagają się z teoriami i rozwiązaniami współczesnego muzealnictwa, próbując jednocześnie dostosować odpowiednie praktyki do specyfiki poszczególnych instytucji.

Kuratorzy projektu: Anna Banaś, Aleksandra Janus i Hanna Radziejowska podkreślają, że dynamiczny rozwój polskiego muzealnictwa, który obserwujemy od dekady, zmusił pracowników instytucji muzealnych do postawienia nowych pytań: w jaki sposób budować efektywne i zrównoważone relacje ze swoimi odbiorcami? Jak angażować ich zarówno w fizycznej przestrzeni instytucji, jak i poza nią? W jaki sposób budować i rozwijać społeczność odbiorców? Projekt, dofinansowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a wspierany przez Dom Spotkań z Historią, Muzeum Warszawy i Narodowy Instytut Muzealnictwa

i Ochrony Zbiorów, skierowany jest do muzealników i pracowników sektora GLAM (*galleries, libraries, archives, museums* – galerie, biblioteki, archiwa, muzea) i ma na celu poszerzenie kompetencji ich kadr.

Ideą Laboratorium Muzeum jest dzielenie się wiedzą, a także możliwość wypracowania konkretnych narzędzi i koncepcji do zastosowania i wdrożenia w poszczególnych instytucjach. Pierwsza edycja programu odbyła się w 2015 roku pod hasłem „Społeczność”; druga pod hasłem „Tożsamość”. W trzeciej edycji zatytułowanej „Pamięć”, która odbywała się na przełomie października i grudnia 2018 roku, uczestniczyło także Muzeum Pamięci Sybiru.

Wykłady i spotkania warsztatowe trzeciej edycji programu prowadzone były przez wybitnych historyków, antropologów, kulturoznawców, literaturoznawców i muzealników z USA, Kanady i Holandii. Uczestnicy spotkań, reprezentujący różne placówki kultury z całej Polski, w trakcie projektu stawiali czoła wezwaniom współczesnego muzealnictwa.



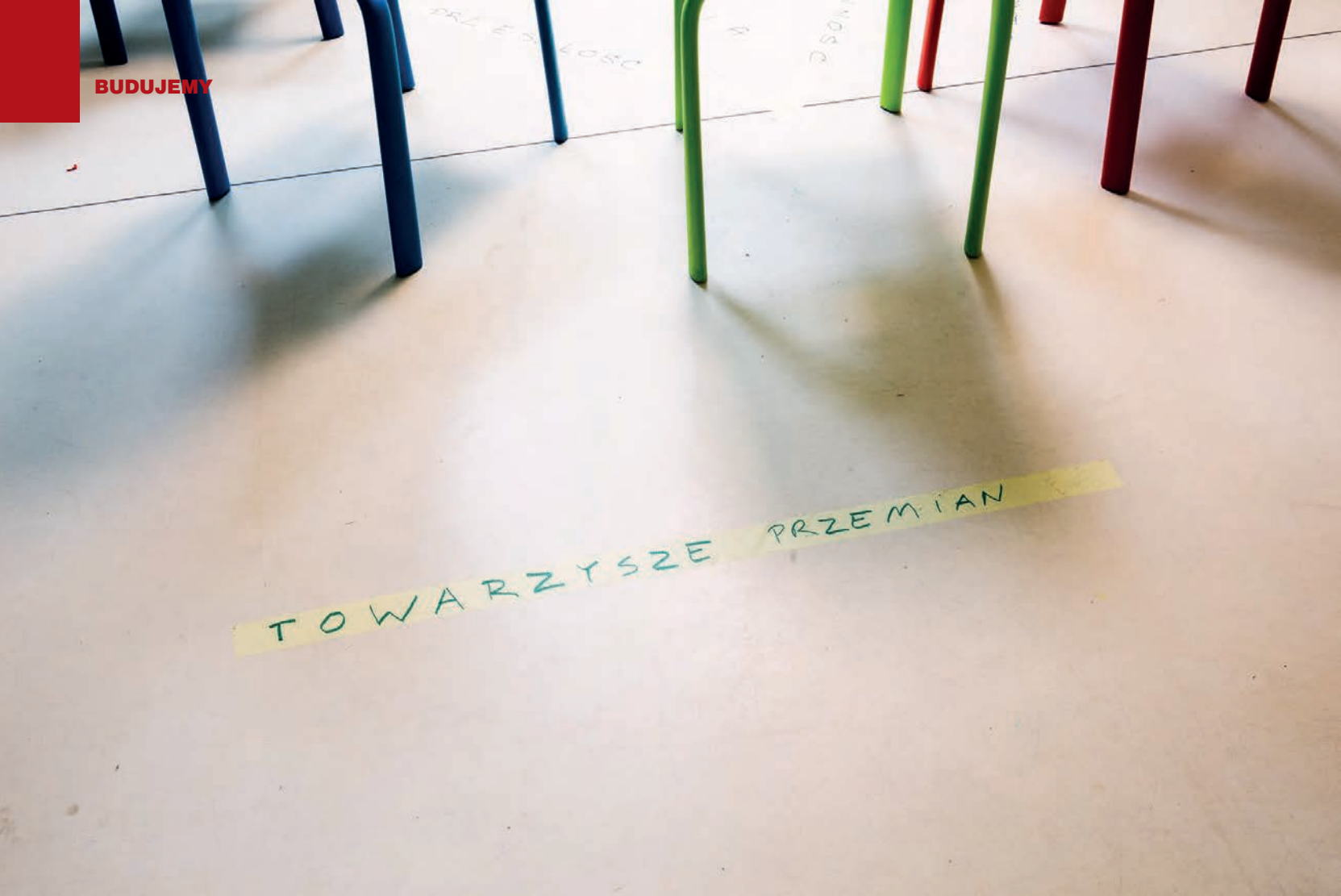
Podczas wykładu i warsztatów na temat norm w muzeum, które były prowadzone przez Angelę Failler i Heather Milne – wykładowczynie z Uniwersytetu w Winnipeg (Kanada), uczestnicy starali się przyjrzeć zagadnieniom związanym z pojmowaniem tożsamości narodowej i historii.

Zastanawiano się też, jakie działania w muzeach mogą być sposobem na dostrzeganie tego, co wykluczone, np. specyficznej kwestii sytuacji mniejszości seksualnych w różnych momentach historii, i jak w owych przestrzeniach mogą funkcjonować nowe techniki kuratorskie i edukacyjne. Do prób zmierzenia się z tym problemem coraz częściej dochodzi na Zachodzie, czego przykładem są działania Canadian Museum for Human Rights. Podczas spotkania pracowano także nad tym, jak uzupełniać luki w wystawach, nie naruszając ich dotychczasowej formy. Warsztaty były ciekawą konfrontacją dla wszystkich uczestników, przynoszącą interesujące wnioski, które następnie zostały poddane wspólnej analizie.

Podczas zajęć z Eriką Lehrer, wykładowczynią reprezentującą Uniwersytet Concordia (Kanada), dyskutowano na temat migracji ludzi i rzeczy. Ponieważ „kulturowa autentyczność” coraz bardziej wykracza poza ramy którejkolwiek konkretnej

społeczności narodowej lub/i kulturowej, zastanawiano się, jak wypracować etyczny sposób opieki nad obiektami, zawierający wiele znaczeń i kontekstów. Lehrer wraz z uczestnikami analizowała, co może przyczynić się do powstania przyszłych, a także zorientowanych na przeszłość wspólnot, które w owych obiektach odkryją swoje dziedzictwo. Tę zawiłą problematykę omawiano na podstawie wystawy *Widok z za bliska. Inne obrazy Zagłady*, której kuratorką była Erica Lehrer wraz z Romą Sendyką, Wojciechem Wilczykiem i Magdaleną Zych, i którą można było oglądać od grudnia 2018 roku do marca 2019 roku w Muzeum Etnograficznym w Krakowie.

Z Moniką Patterson z Uniwersytetu Carleton (Kanada) zastanawiano się nad tym, czym jest krytyczna muzeologia dziecięca oraz kiedy najmłodszy odbiorcy stają się aktywnymi uczestnikami i współtwórcami muzealnej tematyki. Badaczka prezentowała przykłady aktywności muzealnych stworzonych dla dzieci i z dziećmi w różnych muzeach na świecie. Patterson komentowała owe przedsięwzięcia, silnie podkreślając wyjątkowość dziecięcej wyobraźni oraz ich percepcji, które stanowią niewyeksplorowane, jak dotąd, pole działań we współczesnym muzealnictwie.



TOWARZYSZE PRZEMIAN

Wayne Modest – badacz kultury materialnej oraz dziedzictwa na Uniwersytecie Vrije w Amsterdamie, a zarazem dyrektor Research Center for Material Culture w Holandii, w wyjątkowo charyzmatyczny sposób opowiadał o materialności pamięci postkolonialnej na podstawie praktyk muzealnych w Tropenmuseum w Amsterdamie. Zwrócił szczególną uwagę na fakt, że pamięć postkolonialna jest różna w różnych częściach świata, toteż obiekty muzealne z nią związane wymagają szczególnego przemyślenia związanego ze sposobem pracy z nimi, ze strategią ich eksponowania, a także samej ich obecności w muzeum. Problem ten został również poruszony przez holenderskiego pisarza i dziennikarza Franka Westermana w jego znakomitym reportażu *El Negro i ja*, przełożonym z niderlandzkiego przez Małgorzatę Woźniak-Diederer, wydany w 2015 roku przez Wydawnictwo Dowsy na Istnienie w Serii Reporterskiej. Podczas

wykładu Modest zwrócił także uwagę na występowanie tzw. wrażliwych słów potwierdzających istnienie norm, za które odpowiedzialni są muzealnicy, którzy muszą być owych norm świadomi.

Podsumowanie dotychczasowych edycji Laboratorium Muzeum, wraz z materiałami teoretycznymi i dokumentacją projektu, zostało opublikowane na stronie internetowej projektu: <http://laboratoriummuzeum.pl/materialy/>

Dr Sylwia Szarejko

Zdjęcia zamieszczone za zgodą kuratorki projektu – Aleksandry Janus

Dziękujemy naszym przyjaciółom!

W niedzielę poprzedzającą rocznicę kwietniowej deportacji z 1940 roku w kościele pw. Ducha Świętego w Białymstoku odprawiona została uroczysta msza święta w intencji Sybiraków i ich rodzin oraz wszystkich Przyjaciół i Darczyńców Muzeum Pamięci Sybiru. Była to forma podziękowania i wyraz pamięci pracowników Muzeum o wszystkich tych, którym idea powstania tej instytucji jest bliska.

Budowa siedziby Muzeum przy ul. Węglowej nie byłaby dziś zakończona, gdyby nie ogromne wsparcie, zaangażowanie i życzliwość wielu osób. Muzeum to jednak nie tylko budynek. To przede wszystkim zbiory, które przekazywane są głównie przez Sybiraków i ich rodziny. Dzięki nim muzealna kolekcja ciągle się powiększa – trafiają do niej cenne rodzinne pamiątki, fotografie, dokumenty. Ponieważ na co dzień Muzeum styka się z ogromnym wsparciem osób z zewnątrz, powstał pomysł, aby wszystkich naszych Przyjaciół honorować pamiątkową statuetką, będącą wyrazem wdzięczności i głębokiego szacunku. Statuetkę zaprojektowała Iwona Kolańska z Muzeum Pamięci Sybiru. Jak podkreśliła, przy pracy nad nią inspirowała się Syberią, która stała się dla setek tysięcy deportowanych i zesłanych w głąb Związku Sowieckiego bezkresnym więzieniem. Forma statuetki nawiązuje do surowego klimatu Syberii.

Podczas kwietniowej uroczystości prof. dr hab. Wojciech Śleszyński, dyrektor Muzeum Pamięci Sybiru, wręczył statuetki osobom, które w sposób szczególny wspierały inicjatywę powstania placówki, dziękując w ten sposób za przychylność i udzielone wsparcie. Uhonorowani zostali:

- ks. kanonik Józef Wiśniewski, duszpasterz Związku Sybiraków w Białymstoku
- Stanisława Kozłowska, skarbnik Miasta Białegostoku
- Tadeusz Chwiedź, prezes białostockiego oddziału Związku Sybiraków

Intencją Muzeum Pamięci Sybiru jest, by od tej pory każdego roku statuetka trafiała do kolejnych jego Przyjaciół i Darczyńców. Chcemy

w ten sposób podziękować wszystkim osobom prywatnym, firmom i instytucjom, dzięki którym powstało Muzeum Pamięci Sybiru i które poprzez swoje zaangażowanie w działalność przyczyniają się do popularyzacji szeroko pojętej „tematyki sybirackiej”.





Sybir ołówkiem Aliny Maliszewskiej,

Białystok: Muzeum Pamięci Sybiru 2019, s. 141

Ołówek, papier, zręczna ręka, ogromna wrażliwość, oko do szczegółów i umysł, w który wryły się przeżycia sprzed dekad – to gotowy przepis na niezwykle wydawnictwo. Wydane przez Muzeum Pamięci Sybiru rysunki Aliny Maliszewskiej przyciągają uwagę każdego, kto tylko zerknie na okładkę. To tegoroczny hit wydawniczy Muzeum. Obojętnie, czy ktoś szuka wrażeń artystycznych, emocji, chwili refleksji, czy rzetelnej wiedzy historycznej – i tak będzie usatysfakcjonowany lekturą tego albumu. Lekturą, bo te nietypowe rysunki zawierają również warstwę tekstową. Zresztą, tego nie da się opisać – to trzeba po prostu zobaczyć.

W całym wydawnictwie najmniej jest informacji o samej Autorce. Owszem, opowiada ona własne, osobiste historie, ale jakby z zewnątrz, jakby była ich świadkiem, a nie bohaterką. Trzeba to nadrobić. Poniżej kilka słów wyłącznie o Alinie Maliszewskiej i jej rodzinie.

Życiorys na marginesie książki...

„Ojciec, Alojzy Maliszewski, ochotnik, oficer 35. Pułku, odznaczony Krzyżem Walecznych i innymi odznaczeniami. W święta państwowe maszerował często z szablą na czle drużyny strzeleckiej, toteż od razu o tym Sowietaom doniesiono... Został osadzony najpierw w starostwie, potem przewieziony z Bielska do Białegostoku. Był torturowany. Zginął w 1943 r. od niemieckich kul”.

Wielicznych miejscach Alina Maliszewska pozwoliła sobie na tak obszerne zapisy dotyczące swoich bliskich. Sobie przy żadnym z rysunków nie poświęciła tyle miejsca. Pisała raczej o tych, których spotkała



w czasie zesańczej tułaczki. A życiorys ma pasjonujący.

Była córką Julii i Alojzego. Rodzice prowadzili w Bielsku Podlaskim sklep z alkoholami. Byli poważanym przedsiębiorcami i obywatelami miasteczka. Szczególnie znany był ojciec – byłemu legionście i komendantowi lokalnych struktur Związku Strzeleckiego w niewielkim miasteczku kłaniał się każdy. Duża rozpoznawalność w środowisku, niekiedy zapewne przydatna i przyjemna, po wybuchu wojny okazała się dla niego zgubna. Był jednym z pierwszych, których zatrzymali Sowieci po zagarnięciu Białostoczczyzny we wrześniu 1939 roku.

Alojzy trafił do więzienia w Białymstoku. Można się tylko domyślać co tam przeszedł. A przebywał w nim długo, bo do czerwca 1941 roku. Po ataku Niemiec na Związek Sowiecki okolice białostockiego aresztu zostały zbombardowane, obsługa więzienia uciekła, a mieszkańcy rozbili drzwi więzienia i uwolnili osadzonych. Alojzy dotarł do domu, nie mógł jednak opowiedzieć rodzinie, jak Sowieci go traktowali. W domu nie zastał bowiem nikogo. Pozbawiony rodziny, postanowił poświęcić się walce o niepodległość. Wstąpił w szeregi Armii Krajowej. W skutecznej działalności ponownie przeszkodziła jego rozpoznawalność. Niemcy, podobnie jak Sowieci, wiedzieli, z kim mają do czynienia. Alojzy Maliszewski był dwukrotnie aresztowany. Za pierwszym razem uszedł z życiem, za drugim już nie. Został rozstrzelany w lesie Pilickim, niedaleko Bielska Podlaskiego.

Ale dlaczego po powrocie z więzienia do domu nie zastał w nim rodziny? Otóż jego patriotyczna, wojskowa przeszłość przesądziła nie tylko o jego losie, ale także o losie jego najbliższych. Rodziny aresztowanych i będących w niewoli żołnierzy i przedstawicieli innych służb mundurowych stały się ofiarami drugiej, masowej deportacji przeprowadzonej na zagarniętych przez Sowieców ziemiach II Rzeczypospolitej. 13 kwietnia 1940 roku Julia Maliszewska z córką Aliną i synem z pierwszego małżeństwa – Stefanem Śliwowskim zostali zapakowani do wagonów, które ruszyły do Kazachstanu.

W tym momencie dziecięce życie Aliny (miała zaledwie 13 lat) definitywnie się zakończyło. Musiała błyskawicznie dorosnąć i wziąć odpowiedzialność za siebie i swoją rodzinę. Poszła do pracy, gdzie nie traktowano jej ulgowo. Jako

młoda i zdrowa osoba była posyłana do najcięższych zadań fizycznych, m.in. przy budowie mostu i w kamieniołomach. „Tam było piekło, a my w nim” – wspominała po latach.

Po amnestii w 1941 roku brat opuścił siostrę i matkę, aby dołączyć do Armii Andersa. Długo jeszcze dawały sobie radę, zanim powiedziały: „dość”. W 1944 roku uciekły i przez Czelabińsk oraz Kijów dotarły do domu, do Bielska Podlaskiego. Nie uwolniły się od Sowieców – miasteczko było już w ich rękach. Mimo to, udało się uniknąć dalszych represji, pozostawiono je w spokoju.

W Polsce „ludowej” Alina wznowiła edukację, zatajając swój sybiracki życiorys. Po maturze dostała się na studia do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, które ostatecznie ukończyła w 1954 roku w Warszawie, jako magister sztuki i laureatka kilku nagród za prace malarskie. Poza malarstwem, zajmowała się rysunkiem i ceramiką artystyczną, ale prawdziwą sławę i uznanie przyniosła jej animacja. W 1958 roku zatrudniono ją w Studiu Miniatur Filmowych, gdzie przez 25 lat zrealizowała ponad 40 filmów animowanych dla dzieci i dorosłych jako reżyserka, plastyczka, scenarzystka i scenografka. Współtworzyła tak kultowe serie, jak „Baśnie i waśnie”, „Proszę słońca” czy „Dziwne przygody Koziołka Matołka”, ale najbardziej cenione są jej autorskie filmy krótkometrażowe dla dzieci i dorosłych, m.in. nagrodzona na festiwalach w Krakowie i Wenecji „Przygoda w paski” czy wielokrotnie prezentowane w Polsce i za granicą „Plugawe słowo”. Za całokształt działalności została odznaczona medalem „Zasłużony Kulturze – *Gloria Artis*”. W pełni zasłużyła na miano ikony polskiej animacji filmowej, którym często się ją określa.

Rysunki, które ukazały się w książce *Sybir otówkiem Aliny Maliszewskiej*, narysowała na emeryturze. Pani Alino! Raz jeszcze dziękujemy, że nam je Pani powierzyła.

Dr Marcin Zwolski

Książki z Australii

W 2019 roku bibliotekę Muzeum Pamięci Sybiru wzbogacił szczególny dar: po pierwsze – przybył do nas aż z Australii, po drugie – liczył blisko sto pozycji dokumentujących losy Polaków poza granicami kraju. Książki przekazała nam *Kresy-Siberia Foundation* (Fundacja Kresy-Syberia).

Większość otrzymanych książek to wydawnictwa anglojęzyczne, trudno dostępne w krajowych bibliotekach. Dzięki książkom przekazanym za pośrednictwem Anny Pacewicz, Przewodniczącej Zarządu Fundacji, nasi czytelnicy będą mogli zaznajomić się z literaturą, która stanowi zbiór unikatowy. Wśród woluminów znajdują się książki z dedykacjami od autorów, albumy, a także publikacje, które osiągnęły współcześnie na aukcjach internetowych zawrotne ceny.

No Place to Go Home. A Polish Soldier's WWII Memories to książka napisana przez Stanley'a J. Kowalskiego i Alexandrę Kowalską Everist. Została opublikowana w wydawnictwie Publish America, a jej pierwsze wydanie ukazało się w 2010 roku. W 1941 roku, na mocy układu Sikorski-Majski, 21-letni Stanisław (później Stanley) został zwolniony z łagru. Jego marzeniem było wsparcie sił alianckich. Został wcielony do 1. Dywizji Pancerniej i w jej szeregach był świadkiem takich wydarzeń, jak zatonięcie transatlantyku *The Empress of Canada*, bitwa pod Falaise, a także londyńska Parada Zwycięstwa w 1946 roku. Swoje wspomnienia zredagował z pomocą córki – Alexandry. Książka stanowi pasjonującą relację polskiego emigranta wojennego napisaną na obczyźnie w języku angielskim.

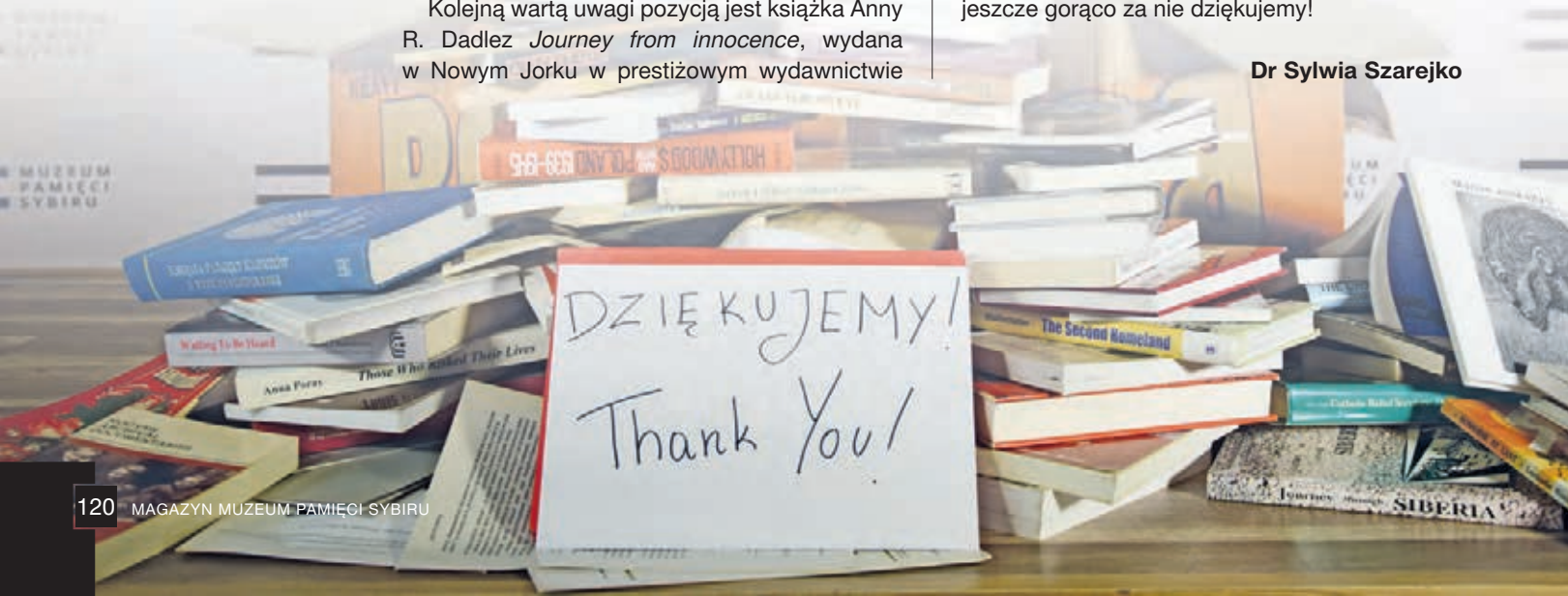
Kolejną wartą uwagi pozycją jest książka Anny R. Dadlez *Journey from innocence*, wydana w Nowym Jorku w prestiżowym wydawnictwie

Columbia University Press. Autorka urodziła się w dwudziestoleciu międzywojennym w Polsce, a w książce rekonstruuje etapy swojego życia, które od samego początku było swoistą podróżą – najpierw deportacja w głąb Związku Sowieckiego, następnie ewakuacja na Bliski Wschód, przeniesienie do Wielkiej Brytanii, aż w końcu emigracja do Stanów Zjednoczonych. Książka Dadlez to nie tylko świadectwo losu polskich emigrantów wojennych. To także niezwykle studium psychologiczne człowieka, który, oderwany od swojej ziemi, musiał tworzyć swoją „nową” tożsamość na obczyźnie.

Do muzealnych zbiorów bibliotecznych trafił także bogato ilustrowany album zatytułowany *Poland's lost generation* pod redakcją Wacława Starosteckiego. Autor urodził się w 1944 roku w Szkocji i mając 7 lat wyemigrował wraz z matką, bratem i ojczymem do Stanów Zjednoczonych. Historię swojej rodziny, silnie zaangażowanej w walkę na rzecz Polski, zaczął odkrywać jako dorosły mężczyzna. Efektem jego pracy jest przepiękny album, zawierający wiele wspomnień, przedstawiający losy Polaków tułających się po świecie – od Syberii przez Iran, Bliski Wschód, Wielką Brytanię, aż po Stany Zjednoczone.

To tylko trzy z niemal setki tych wspaniałych wydawnictw. Cieszymy się ze wszystkich. I raz jeszcze gorąco za nie dziękujemy!

Dr Sylwia Szarejko



Na dziejów odłogu – wiersze z ziemi zapomnianych grobów

Poezja z Sybiru – to znacznie więcej niż słowa... Prezentacje wierszy z wygnańczego szlaku zaczynamy od *Suplikacji* Beaty Obertyńskiej. Urodziła się w 1898 roku w Storożce pod Skolem. Aresztowana przez NKWD we Lwowie w lipcu 1940 roku, z tysiącami więźniarek włączonych przez więzienia Kijowa, Odessy, Charkowa, Chersonu, Starobielska, Moskwy, trafiła do łagru na dalekiej północy, do oślawionej Workuty. Uwolniona na mocy amnestii w 1941 roku, wyszła ze Związku Sowieckiego wraz z Armią Andersa. W 1946 roku opublikowała w Rzymie książkę-wspomnienie *W domu niewoli*, w której wróciła do dramatu tułaczki *na dziejów odłogu*. Zmarła w Anglii w 1980 roku.

Jerzy Binkowski
Białystok

Suplikacje

Od głodu,
od pochodów,
od deszczu,
od wszy,
od powietrza na wichrze w skos prutego twarzą,
od ognia - kiedy nocą odejść ci go każą,
od tajgi, co do kolan moczarem namaka,
od urwanej podeszwy,
od skradzionego chlebaka
- wybaw nas, Panie!

od tundry twarzą w niebo leżącej na wznak,
od zmory białych nocy,
od komarzych młak,
od nagłych a niespodzianych wymarszów po-
nocnych,
od świtów ołowianych
i zmroków popielnych
- Święty Boże,
- Święty Mocny,
- Święty a Nieśmiertelny,
wybaw nas, Panie!

My grzeszni,
my zmęczeni,
my obszarom wydani,
my zamarłej przestrzeni na żer żywcem rzućeni,

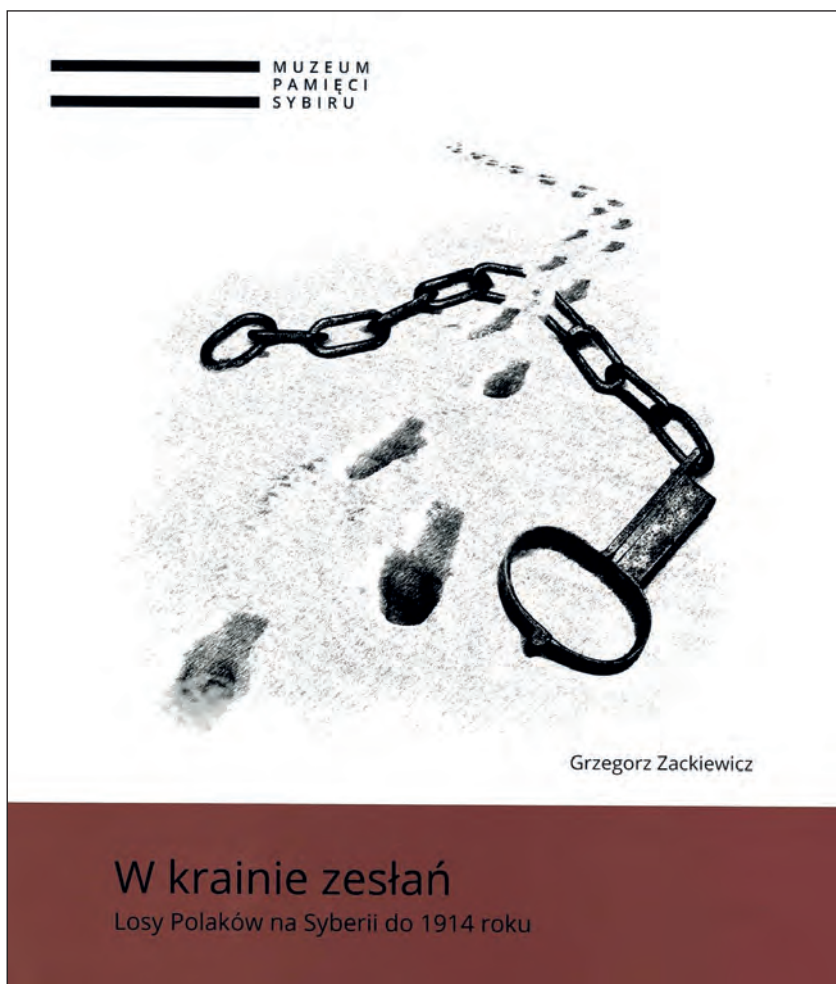
my wyjęci spod prawa,
z człowieczeństwa wyrzuci,
my deptani jak trawa,
zaganiani i szczuci -
my nędzarze zawszeni,
my, co głód nas ogłupia,
my rzesza bezimienna
do dna krzywdą otruta,
my brudni,
my obdarci,
my aż śmieszni chwilami,
my pocieszni,
my grzeszni,
Ciebie Boga błagamy,
coś jest Wierny i Żywy,
Jeden i Niepodzielny
- Święty Boże,
- Święty Mocny,
- Święty a Nieśmiertelny,
zmiłuj się nad nami!

Przez ostatnią,
pośmiertną
Syna Twego ranę,
przez Jego Krew i Mękę
Amen - amen - amen.



Beata Obertyńska

Polski Sybir w pigułce!



Grzegorz Zackiewicz,
*W krainie zesań. Losy Polaków na Syberii
do 1914 roku*, Białystok 2019, s. 160

Wyobrażenie Syberii jako terytorium, na którym spotykały Polaków przede wszystkim cierpienia i nieszczęścia, jest bardzo mocno ugruntowane. Duży wpływ na taki stan rzeczy miały utwory poetyckie epoki romantyzmu, tworzone przez ludzi obdarzonych wielkim talentem, którzy jednak – jak Adam Mickiewicz czy Juliusz Słowacki – nigdy na Syberii nie byli. Nie znaczy to bynajmniej, że kreowane przez nich wyobrażenia powstały zupełnie bez związku z rzeczywistością. Przed 1914 roku masowe zesłania Polaków na te obszary były faktem, a nazwa krainy nie przypadkiem powszechnie kojarzyła się z „więzieniem bez dachu”.

Losy Polaków na Syberii to nie tylko głód, bieda, cierpienie i życie w warunkach zanikającego człowieczeństwa. To także spektakularne kariery, pasjonujące odkrycia naukowe oraz niepowtarzalne historie, w których brali udział polscy zesłańcy. To właśnie o ich losie na Syberii do 1914 roku opowiada ta książka.

No, może nie w jednej, tylko w pięciu, i nie w pigułkach, tylko tomach. Ale za to jakich! W sumie będzie to około ośmiuset stron. Ale ta objętość nie powinna nikogo przerażać. Wręcz odwrotnie! Pierwsze dwa, opublikowane właśnie tomy udowadniają, że historia nie musi być zmorą ze szkolnych lat, lecz może być pasjonująca, logiczna i przystępna dla każdego. Najnowsza seria wydawnicza Muzeum Pamięci Sybiru ma pokazać tę piękną, a zarazem złowrogą krainę przez pryzmat losów Polaków, którzy przez wieki trafiali tam zarówno jako więźniowie, zesłańcy, jak i dobrowolni kolonizatorzy, przemysłowcy, odkrywcy i poszukiwacze przygód. Jak w prawdziwym życiu: dramat miesza się tu z suk-

cesem, łzy smutku ze łzami radości. Poszczególne, wartko napisane teksty dopełniają kolorowe zdjęcia, mapy i reprodukcje dzieł sztuki. Seria zaczyna się od opisu syberyjskich losów Polaków przed I wojną światową, pióra znawcy Rosji – Grzegorza Zackiewicza. Ukazał się także tom poświęcony okupacji sowieckiej. Serię zakończy tom autorstwa Marcina Zwolskiego, dzięki któremu będziemy mogli poznać losy ostatnich Polaków deportowanych na Sybir już po zakończeniu II wojny światowej. Pomiedzy nimi będą jeszcze tomy autorstwa znanych i uznanych historyków: Wojciecha Śleszyńskiego i Eugeniusza Mironowicza. Seria „Sybir” będzie wspaniałym prezentem na każdą okazję!

Wojciech Śleszyński, Marcin Zwolski,
Przyszli ze Wschodu. Okupacja sowiecka ziem wschodnich II Rzeczypospolitej (1939–1941), Białystok 2019, s. 160

17 września o godz. 3.00 w nocy w Komisariacie Spraw Zagranicznych w Moskwie zjawił się wezwany pilnie ambasador Rzeczypospolitej Polskiej Wacław Grzybowski. Zaskoczony wysłuchał noty Władysława Mołotowa odczytanej mu przez zastępcę sowieckiego komisarza spraw zagranicznych – Władimira Potiomkina. Polski dyplomata nie zgodził się z argumentami mówiącymi o „rozpadzie rządu polskiego” i konieczności „wzięcia pod obronę” zamieszkujących polskie Kresy Ukraińców i Białorusinów, odmówił przyjęcia noty i wprost nazwał zachowanie Związku Sowieckiego agresją. Protesty Grzybowskiego nie mogły jednak niczego zmienić. Armia Czerwona wtargnęła do Polski ogromnymi siłami – granicę przekroczyło ponad 600 tys. żołnierzy, niemal 5 tys. czołgów i ponad 3 tys. samolotów.

Okupacja sowiecka wschodnich ziem II Rzeczypospolitej w latach 1939–1941 jest szczególnym wątkiem w historii Polski. Utracone zostały, jak się później okazało – bezpowrotnie, niezwykle bogate kulturowo tzw. Kresy Wschodnie. Niniejsza książka jest próbą przybliżenia w możliwie przystępny sposób najważniejszych aspektów sowieckiej okupacji polski ziem wschodnich w latach 1939–1941.



Wojciech Śleszyński, Marcin Zwolski

Przyszli ze Wschodu
Okupacja sowiecka ziem wschodnich
II Rzeczypospolitej (1939–1941)

Misja – popularyzacja!

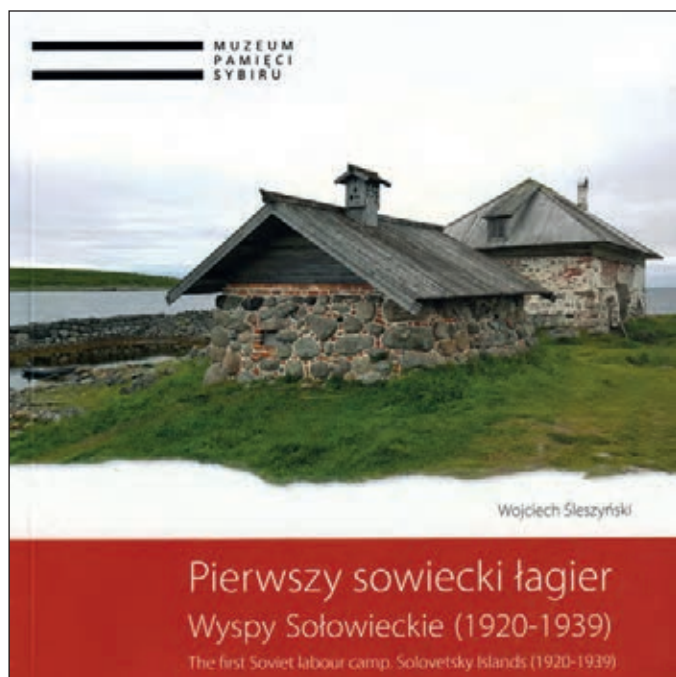
Jak skutecznie popularyzować wiedzę o przeszłości w czasach galopującej teraźniejszości? Nad tym problemem łamią sobie dziś głowy nie tylko historycy, ale i specjaliści od polityki historycznej czy marketingu nauki. Prostej odpowiedzi ciągle brak, ale kilka elementów zawsze warto brać pod uwagę jeśli chce się dotrzeć do zabieganego, zajętego codziennością odbiorcy. Warto zacząć od chwytliwego tematu i dobrego autora, który nie tylko doskonale zna materię, o której pisze, ale też używa precyzyjnego, a zarazem obrazowego i przystępnego języka. Jeśli doda się do tego atrakcyjne ilustracje w postaci archiwalnych fotografii, map, kolorowych reprodukcji obrazów, nad którymi

dobrze popracuje grafik komputerowy, możemy w efekcie otrzymać dziełko, które nie tylko chce się potrzymać w dłoni, ale też pooglądać i poczytać. Taka jest właśnie seria popularnych książeczek historycznych wydawanych przez Muzeum Pamięci Sybiru, których dodatkowym atutem jest dwujęzyczna, polsko-angielska narracja. Pierwsze trzy poświęcone są początkom budowy systemu łagrowego, który miał miejsce na wyspach Sołowieckich, tzw. bieżenstwu i znanym polskim XIX-wiecznym Sybirakom. A kolejne? Czas pokaże. Na pewno warto do nich zajrzeć. Jednego nie znajdziecie w nich z pewnością – nudy!

Wojciech Śleszyński,
Pierwszy sowiecki łagier. Wyspy Sołowieckie (1920–1939), Białystok 2017, s. 64

Archipelag wysp Sołowieckich leży na Morzu Białym w odległości 55 km od najbliższego portu. Do najbliższego dużego miasta, Archangielska, jest 236 km. Archipelag sześciu dużych i ponad stu małych wysp zajmuje łączną powierzchnię 300 km². Woda jest wszędzie. Otacza wyspy, wypełnia setki większych i mniejszych jezior. W okresie letnim komary wciskają się w każdy zakątek ludzkiego ciała. Zimą niskim temperaturom nierzadko towarzyszy silny, morski wiatr.

W XVIII i XIX wieku na wyspy zsyłani byli polityczni przeciwnicy władzy carskiej. Początki komunistycznego systemu obozów pracy przymusowej sięgają 1919 roku, kiedy to wydano dekret, na mocy którego miały powstać miejsca zesań. Pierwszy obóz dla przeciwników politycznych utworzono w 1920 roku właśnie na wyspach Sołowieckich. Kompleks łagrowy został zlikwidowany w 1937 roku, ale wypracowane w nim metody stosowano później na masową skalę w innych obozach na obszarze Związku Sowieckiego.



Eugeniusz Mironowicz,
Wielka tułaczka (1915–1921),
 Białystok 2018, s. 100

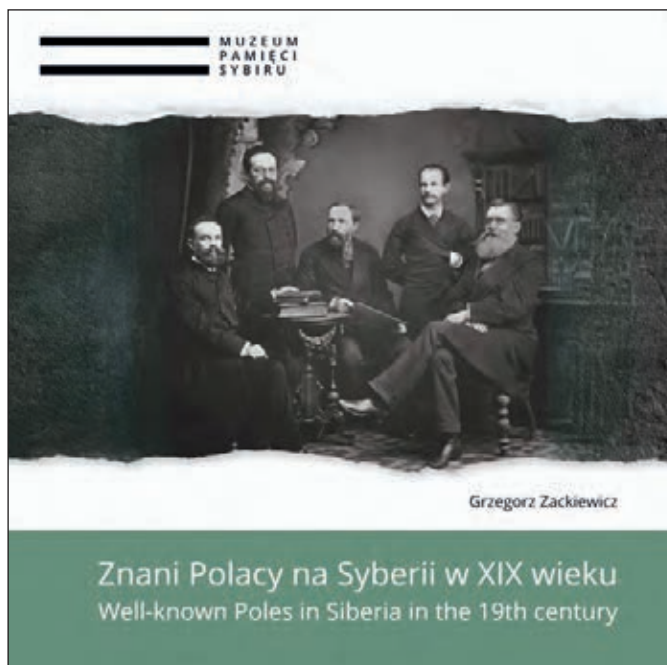
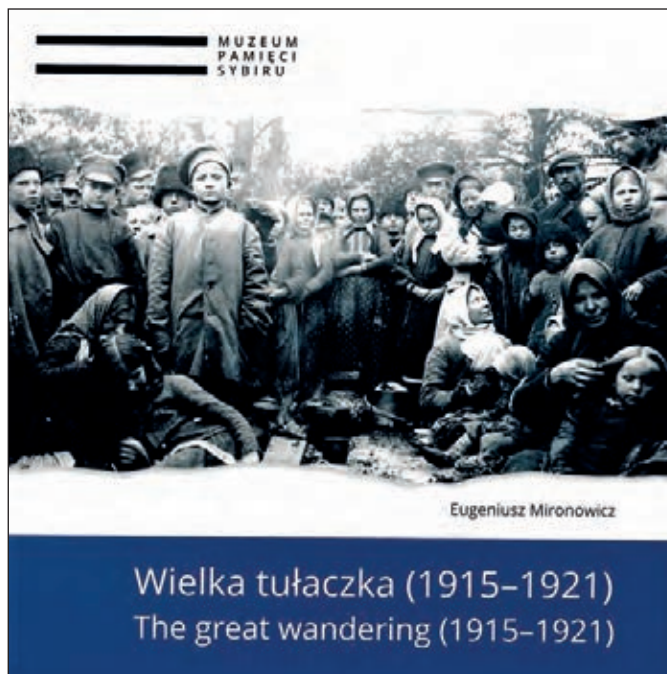
Wojna! Zbliżające się działania zbrojne I wojny światowej wzbudzały strach wśród społeczeństwa. Obawy podsycały także władze carskie, ostrzegając przed zbliżającymi się wojskami. 1915 rok stał się początkiem masowej i często tragicznej w skutkach ucieczki mieszkańców wschodnich ziem Cesarstwa Rosyjskiego.

Gdy w czasie I wojny światowej wojska pruskie i austro-węgierskie wdarły się na polskie tereny wchodzące w skład Cesarstwa Rosyjskiego, władze rosyjskie nawoływały do ucieczki przed zbliżającym się frontem. Ich propagandzie uległa głównie ludność prawosławna. Do czerwca 1916 roku z opuszczonych przez wojska rosyjskie zachodnich guberni Cesarstwa Rosyjskiego uciekło na wschód 2 750 000 osób – najwięcej, bo ponad milion, z guberni grodzieńskiej. Krajobraz wsi uległ zmianie, miejscowości opustoszały. Ich mieszkańcy ruszyli na wielką tułaczkę.

Grzegorz Zackiewicz,
Znani Polacy na Syberii w XIX wieku,
 Białystok 2019, s. 88

Syberia to kraina, która od stuleci związana jest z dziejami narodu polskiego. Przesądziły o tym wydarzenia mające miejsce w XIX wieku, kiedy na bezkresne obszary syberyjskie trafiły tysiące polskich zesłańców, wśród których znajdowali się np. Benedykt Dybowski, Wacław Sieroszewski, czy Bronisław Piłsudski. To dzięki ich pracy naukowej i poświęceniu poznaliśmy m. in. syberyjską faunę i florę, a także tradycje mieszkających tam autochtonów.

Warto sięgnąć po książkę o pasjonujących losach polskich zesłańców na Syberię, którzy nie poddali się biernie niewolniczej niedoli, a także o naszych rodakach szukających tam lepszego życia, przekuwających swój zły los na imponujące kariery.



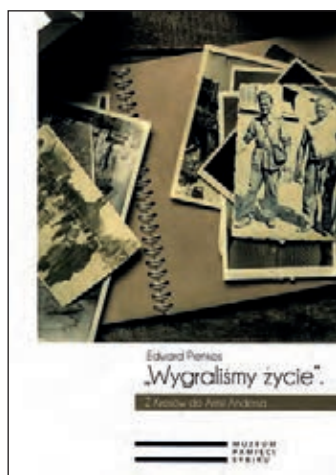
Książki, książki, książki!!!



Sybir ołówkiem Aliny Maliszewskiej, Białystok 2019, s. 104

Niezwykłe rysunki Aliny Maliszewskiej stanowią wizualizację jej własnych przeżyć i doświadczeń innych Sybiraków. Alina Maliszewska jest ikoną polskiej animacji filmowej, współautorką rysunkowych seriali i reżyserką czterdziestu filmów

animowanych, w tym dla dorosłych. To też plastyczka, scenarzystka i scenografka. Zanim stała się uznaną artystką, przeszła gehennę związaną z zesłaniem. Przelanie obrazów z pamięci na papier, w formie rysunków, było jej metodą na poradzenie sobie z zesańczą traumą.



Edward Pieńkos, „Wygraliśmy życie”. Z Kresów do Armii Andersa, red. nauk. Justyna Owłasiuk, Marcin Zwolski, Białystok 2018, s. 108

Razem z Edwardem Pieńkosem podróżujemy po kresowych miejscowościach, przenosząc się na chwilę na ulice Stonima, Lipniszek, czy Lidy. Opis pobytu w Kazachstanie to swego rodzaju studium przemiany człowieka. Na step trafił niewinny nastolatek, nienagannie wy-

chowany i wierzący w ideały. Kolejne miesiące spędzone na „niehumanitarnej ziemi” sprawiły, że szybko dorósł i wyrzekł się wielu z wyznawanych wartości. Historia drogi, jaką odbył w celu dołączenia do Armii Andersa, jest tak nieprawdopodobna, że napisać ją mogło tylko samo życie. Warto ją poznać.

Henryka Bogusławska, Była taka rodzina, red. Wojciech Śleszyński, Marcin Zwolski, Białystok 2017, s. 141

Unikatowość wspomnień Henryki Pagniello (wydanych na jej życzenie pod panięńskim nazwiskiem) polega na niezwykłym przedstawieniu zachowanych w pamięci faktów. Losy dziecka, któremu przyszło żyć w niezwykłych czasach, spisała osoba już dorosła. Dzięki temu potrafiła spojrzeć na zdarzenia

z przeszłości zarówno okiem dziecka, którym targają ogromne emocje i podstawowe instynkty, jak i osoby dojrzałej, która stara się wszystko zrozumieć. Piękny, literacki język opisu ostro kontrastuje z prostotą przedstawienia dramatycznych nieraz faktów. Ta „arytmia” narracji zmusza do oderwania wzroku od kart książki i poświęcenia paru chwil na refleksję.



GUŁag. Struktury – Kadry – Więźniowie, red. Dariusz Rogut i Wojciech Śleszyński, Białystok 2018, s. 236

Niniejsza publikacja przybliży nieznaną kartę z historii GUŁagu. Zaprezentowano fakty związane z wykorzystaniem niewolniczej pracy więźniów, jeńców wojennych i internowanych do budowy sowieckiej gospodarki. Artykuły historyków z Polski i zagranicy dotyczą wielu niezbadanych dotąd tematów.





Monika Szarejko, Wojciech Śleszyński, *Niepodległa – ziemia wschodnie II Rzeczypospolitej*, Białystok 2018, s. 150

Niniejszy album przywołuje sentymentalny, idylliczny wręcz obraz Kresów z dawnych pocztówek i fotografii. Ich dobór podyktowany został próbą ukazania architektury i wnętrza chłopskiej

chaty, dworu i miasta kresowego z okresu międzywojennego. Autorom zależało na zaprezentowaniu obiektów, których historia stanowi jednocześnie historię Kresowian. Dlatego też ilustracje kresowych gmachów potraktowano jako okazję do zarysowania szeregu zjawisk, zagadnień politycznych i społecznych związanych z międzywojnem.



Bogusław Kosel, Monika Szarejko, Wojciech Śleszyński, „Operacja polska” NKWD 1937–1938, Białystok 2017, s. 103

Wydarzenia lat 1937–1938 w Związku Sowieckim należą nadal do stosunkowo słabo poznanych epizodów

dwudziestowiecznej historii. Oddajemy w Państwa ręce przewodnik, którego celem jest zarysowanie kontekstu historycznego i przebiegu jednej z najtragiczniejszych akcji represyjnych, skierowanej przeciwko przedstawicielom narodu polskiego. Wierzymy, że zachęci on do dalszego zgłębiania tematu.



Informator Muzeum Pamięci Sybiru, Białystok 2019, s. 72

W niniejszym informatorze prezentujemy etapy powstawania budynku Muzeum Pamięci Sybiru, projekt wystawy stałej, fotografie wybranych eksponatów, główne

wydarzenia organizowane w ramach działalności instytucji, a także informujemy o możliwościach wsparcia Muzeum. Opowiadamy też pokrótce o ofercie edukacyjnej skierowanej do różnych grup docelowych.

Sybir. Wiara – Nadzieja – Przetrwanie, red. nauk. **Wojciech Śleszyński**, Białystok 2017, s. 128

Dla setek tysięcy polskich zesłańców utrzymanie wiary i uczestniczenie choćby w namiastkach praktyk religijnych stanowiło jedyną szansę na zachowanie nadziei. Był to czas prawdziwej religijnej próby. Niejednokrotnie dochowanie wiary katolickiej na Syberii jednoznacznie było z utrzymaniem polskiej tożsamości narodowej. W przypadku zesłańców modlitwa i kontakt z Bogiem podtrzymywały nadzieję na przetrwanie i powrót do Ojczyzny.



Album rocznicowy ze znaczkiem pocztowym, Białystok 2019

1 i 17 września 1939 roku to daty wyznaczające początek XX-wiecznej gehenny Polaków. Dokładnie 80 lat temu dwa zbrodnicze totalitaryzmy, niemiecki i sowiecki, na dobre rozpoczęły swoją ekspansję, zmierzając ostatecznie do zagarnięcia całego świata. Polska stała się pierwszą ofiarą ich zbrodniczych, militarnych planów. W 80. rocznicę agresji sowieckiej Muzeum Pamięci Sybiru wyemitowało specjalny kolekcjonerski album ze znaczkiem pocztowym. W folderze znajdzie Państwo również wyjątkową pocztówkę.



Zapraszamy do naszego sklepu internetowego: www.sklep-sybir.pl

KOŁYMA. POLACY W SOWIECKICH ŁAGRACH pod redakcją Sebastiana Warlikowskiego, czyli o donośnych głosach płynących z nieludzkiej ziemi.



Kołyma, Magadan, Orotukan, Atka – tajemnicze nazwy, które pobudzają wyobraźnię w nie mniejszym stopniu, co anonimowy „30 kilometr”. A jednak wystarczy odrobina historycznej orientacji, aby bardziej budziły grozę, a jeśli już inspirują do stawiania pytań, to takich, które emanują niepokojem: jak można przeżyć w takich warunkach, gdy mróz spada do -50°C , wokół hula wiatr, zamiast jedzenia – jakieś resztki, zamiast odzieży – łachmany, zamiast pracy – syzyfowa walka z wieczną zmarzliną, w którą trzeba się wkuć w poszukiwaniu złota i innych minerałów, zawierających pierwiastki najcenniejsze z całej tablicy Mendelejewa. Dodajmy do tego przymus, jaki towarzyszył skazańcom – w części kryminalistom, a w części niewinnym, politycznym ofiarom komunistycznego terroru. Słowo „człowiek” nigdy nie zabrzmiało tam dumnie.

I w to mroźne piekło od lat trzydziestych XX wieku trafiali Polacy – wywożeni i w czasie sowieckiej okupacji lat 1939–1941, i „za drugiego Sowietu”, czyli od 1944 roku. Żołnierze Września i partyzanci, konspiratorzy i „cywile” trafiali w tryby bezdusznego systemu, w którym często wystarczyło być Polakiem, by stać się „wrogiem ludu”. Piętnaście relacji i wspomnień, gęstych od szczegółowych opisów, czasem prostych, innym razem wręcz literacko wyrafinowanych, zebrał Sebastian Warlikowski. Znajdziemy w nich opisy śledztw i pobytu w więzieniach, podróży na nieludzką ziemię, katorżniczej pracy, wreszcie chwili uwolnienia i powrotu do cywilizacji.

To mocna lektura, wciągająca i niepokojąca swą bezpośredniością. Ludzkie losy, ludzkie postawy, ludzkie charaktery. Dramatyczne opowieści przesiąknięte tęsknotą a bywa, że i fascynacją niezwykłą przyrodą tego miejsca.

Dr Waldemar Brenda
Pisz



NIEZAREKWIROWANE. HISTORIE LUDZI, KTÓRZY PRZEŻYLI TO, CZEGO BOIMY SIĘ NAJBARDZIEJ, czyli relacje ofiar i pracowników GUŁagu zebrane przez Annę Artemjewą i Jelenę Raczewą, porażające, zaskakujące, zastanawiające...

Więzień: „Strażnicy mnie zobaczyli, śmieją się: »Cha, cha, cha, dziennikarz, a w odpadach grzebie«. Słyszę ich i czuję, że się zamieniam w bydło, ale nie mogę się powstrzymać. Było mi wszystko jedno: czy będę żył, czy nie, czy mam rodzinę, czy jej nie mam. (...) O żonie zapominasz, o dzieciach! Zapominasz, że jesteś człowiekiem. Tak wygląda łagier”.

Strażniczka: „Co się dziwicie, że milczałam. No co, młoda byłam, ze wsi przyszałam. Wujek mi pracę załatwił, całe życie pracowałam w sklepiku więziennym. I dał mi radę na całe życie: »Nic nie mów, patrz i bądź cicho«”.

Przywołane cytaty stanowią bardzo sugestywny obraz GUŁagu, a zarazem w sposób niemal namacalny opisują machinę systemu, w którym znajdowali się zarówno skazańcy, jak i pracownicy stojący na warcie, konwojenci i lekarze. Książka rosyjskich autorek, genialnie przetłumaczona przez Marcina Szczycińskiego i wydana przez Ośrodek Karta oraz Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, składa się z 47 relacji świadków stalinowskiego terroru. Zarówno wypowiedzi więźniów, jak i pracowników obozów poruszają swoją wymownością, dokumentując piekło i bezwzględność GUŁagu, gdzie każdy człowiek stawał się ofiarą.

Dramatyzm relacji potęgują zdjęcia przedstawiające ludzi, którzy zdecydowali się dać świadectwo prawdzie... pytanie tylko jakiej? Stalinowskie represje podzieliły bowiem pokolenia, niszcząc – wydawać by się mogło – więzi nie do przerwania. Książka spełnia założenie autorek, które chciały, aby stanowiła opowieść o historii „tamtego czasu i pokolenia” – historii zarówno miłości, jak i potworności, aby stanowiła opowieść o życiu.

Dr Sylwia Szarejko

Od redakcji:

W numerze 2 magazynu „Sybir”, w artykule Karoliny Mosiej-Zambrano *Stanisław Westwalewicz – artysta w szeregach Armii Andersa*, zabrakło informacji o tym, że wydawnictwo Fundacji Rzymskiej im. J. Z. Umiastowskiej *Malarz i żołnierz 2. Korpusu Polskiego – Stanisław Westwalewicz* (Rzym 2016) było nie tylko źródłem cytatów i ilustracji, ale też jednym z podstawowych źródeł wiedzy o Artyście. Fundacja obdarowuje nasze Muzeum wieloma wspaniałymi publikacjami, za które serdecznie dziękujemy.

W artykule Moniki Szarejko *Kresy w przedmiotach zakłęte* wśród wymienionych partnerów cyklu filmowego zabrakło Jadwigi i Henryka Bielawców z Tykocina. Przepraszamy, serdecznie dziękujemy za współpracę i pomoc.



PRZEKAŻ EKSPONAT

wejdź na stronę:

www.sybir.bialystok.pl/pl/wesprzyjmuzeum

wesprzyjmuzeum



XIX MIĘDZYNARODOWY
MARSZ PAMIĘCI
ZESŁAŃCÓW SYBIRU

17.09
PAMIĘTAMY

80. ROCZNICA AGRESJI SOWIECKIEJ
NA POLSKĘ 1939-2019

DZIEŃ SYBIRAKA 2019

PELETON PAMIĘCI 17.09